Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 32 ROK XXV 12 LISTOPADA 1982 ROKU 20 ZŁ

Rockowisko

Stoi w kotłowni lokomotywa...

Więcej smagłych niż pijanych

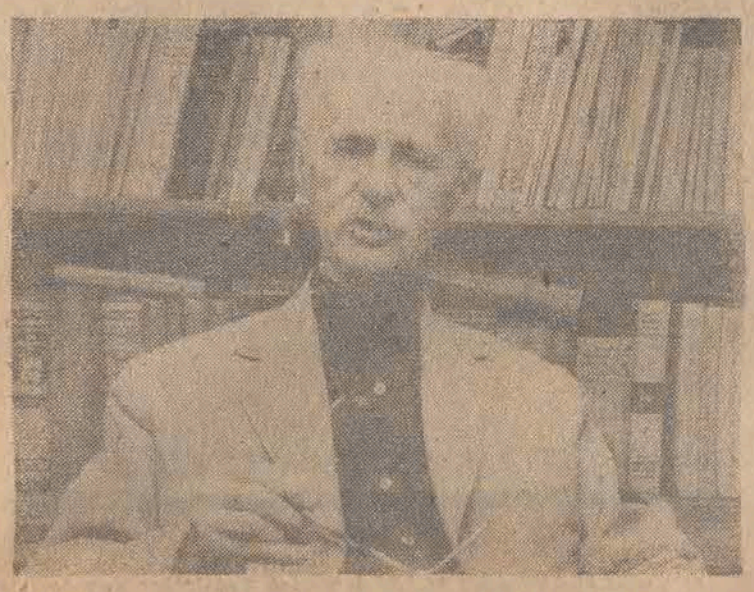

Nieznane listy prof. T Kotarbińskiego

„I tak jestem szczęściarzem"!

Przyjaźń Tadeusza Kotarbińskiego i Winicjusza Łachacińskiego zaczęła się gdzieś w końcu lat sześćdziesiątych. Winicjusz Łachaciński syn polskiego emigranta pracującego przez kilka lat w zakładzie włókienniczym w Amiens, już jako dziecko pokochał Francję. W drugiej ojczyźnie spędził właściwie tylko sześć lat życia, ale wspaniałe wspomnienia z dzieciństwa zostały na następnych kilka dziesięcioleci. Rozmiłowany w kulturze francuskiej, z pasją rozczytujący się w książkach poświęconych kulturze i filozofii musiał w końcu zetknąć się z jednym z najznakomitszych uczonych polskich, wybitnym humanistą — profesorem Tadeuszem Kotarbińskim. Pretekstem była kolejna książka Profesora, która trafiła właśnie do rąk Łachacińskiego. Tak się zaczęła niezwykła przyjaźń, której ślady zachowały się w licznych listach.

6 grudnia 1969 r. Profesor pisał:

„To należy do największych satysfakcji dla autora, jeżeli jego myśli znajdują zrozumienie i uznanie u czytelników myślących i wrażliwych na ludzkie kłopoty. Cieszyłbym się, gdyby to, co próbuję mikikować, trafiało do rąk większej liczby osób podobnie usposobionych, niż na to pozwala nikła liczba egzemplarzy nakładów. I tak jestem szczęściarzem bo od czasu do czasu coś mi drukują i to i owo dochodzi do ludzi z troską poszukujących, tak jak i ja, odpowiedzi na pytanie, jak żyć, żeby żyć godziwie."

To ostatnie zdanie z listu prof. T Kotarbińskiego można uważać za motto kilkunastoletniej korespondencji krążącej co jakiś czas między Pabianicami i Warszawą. Były oczywiście wyjątki bo profesor czasami nadsyłał kartkę z jakiejś odległej miejscowości, gdzie właśnie spędzał wakacje i korzystał z porad lekarzy. 26 lipca 1971 r. nadesłał kartkę z Lądka Zdroju. Zapisana drobnym, ledwo czytelnym pismem świadczy o zainteresowaniu się postacią spawacza z Pabianic.

„Z radością czytuję listy Pana świadczące o uporczywości i gorliwości w stopniowo coraz poważniejszym przyswajaniu sobie (...) obcych języków. Gorąco życzę dalszego trwania w tym zamiarze i dalszych na tej drodze postępów. (...) Czy mógłbym wiedzieć, jakie są Pana aspiracje, jaką chce pan wydoskonalić specjalność zawodową, bo języki to środki, a środki są po to, aby służyć celom".

10 października 1971 r. Profesor jeszcze raz wraca do pasji Łachacińskiego.

„Pan obrał zamiar budzący szacunek. Dąży Pan bowiem nie tylko do tego, by opanować kilka języków świata cywilizowanego i w ten sposób otworzyć sobie drogę na szeroki świat, ale jak widać z pańskich listów, chce Pan współdziałać w opanowaniu przez kulturę prymitywizmu i zdziczenia, panoszących się dokoła.

(...) Wcale nie jest prawdą, że jedyną drogą do prawdziwego wyższego wykształcenia umysłu jest normalny tok studiów szkolnych. Iluż mamy w dziejach znakomitych samouków, przykładem Edison. A umiejętność rzemieślniczo robotnicza to też rodzaj mądrości. Reymont celowo opanował krawiectwo, o czym świadczy tablica cechu krawców wystawiona na Krakowskim Przedmieściu."

W wielu listach Profesor ubolewa, iż nie starcza mu czasu na korespondowanie. Oto 12 stycznia 1972 r. tak o tym wspomina.

„Jedną z prawdziwych satysfakcji późnego wieku jest bogactwo nawiązanych w ciągu życia łączności z życzliwymi ludźmi. A urzeczywistniają się one w korespondencji. Niestety, ta zdobycz życiowa ma w sobie coś groźnego. Mianowicie korespondencja tak się rozrasta, że człowiek z czasem przestaje mieć możność

4

Mgliste perspektywy teatralnej Łodzi

JERZY PANASEWICZ

Leży przede mną dokument opracowany przez Wydział Kultury i Sztuki UMŁ, a poświęcony ocenie minionego sezonu w łódzkich teatrach dramatycznych. Z niektórymi sądami można by się spierać, inne opinie — choć o tym później nieco — są tak karkołomne, jakby miały służyć li tylko wsparciu z góry przyjętej tezy, całość opracowania (pomijając językowo-logiczne wygibasy) zdaje się być jednak wyważona i rozsądna, przepojona szczerym niepokojem o mglistą przyszłość teatralnej Łodzi. Cytuję:

„(...) Sezon przebiegał pod znakiem niepokojów i rozterek o przyszłość modelu strukturalnego i ekonomicznego teatru, które zresztą funkcjonują w świadomości ludzi teatru nadal i pytania nadal pozostają otwarte. Skutki działania reformy gospodarczej, mimo iż nie dotknęła ona bezpośrednio samego teatru, dały się odczuć w sposób wyraźny i niekorzystny. Symptomy kryzysu ujawiły się w postaci zagubienia i zniechęcenia twórców i artystów teatru. Autorytet moralny i artystyczny kierowników teatrów osłabł wyraźnie, co osłabiło wątłe także dotychczas indywidualne oblicza teatru. Nie sprzyjało to skupieniu wokół własnych teatrów publiczności, tym bardziej, iż proces odchodzenia widza pojawił się dużo wcześniej.

(...) Teatry wymagają jak najszybszego podjęcia działań reorganizacyjnych, nie tylko systemowych, ustalonych centralnie, lecz także miejscowego działania kierownictw artystycznych. Niezbędną wydaje się potrzeba podjęcia w każdym z teatrów szerokich rozmów na tematy podstawowe, dotyczące struktury, kształtu organizacyjnego, artystycznego i konieczności nowych rozwiązań modelowych na własny użytek. Dyskusja taka jest niezbędna po to, aby nie czekać na gotowe rozwiązania, lecz zanim powołane zostaną nowe formy strukturalne, kierownictwa teatrów miały sprecyzowane wyobrażenie, jak ich własna placówka może i winna funkcjonować w nowych warunkach. Także po to, aby sprecyzować również jasno zadania artystyczne, jakie winna pełnić w dużym, wieloteatralnym mieście, jakim jest Łódź".

DYSKUTUJMY, ALE O CZYMI

Dyskutujmy więc, proszę bardzo, jednak w miarę możliwości publicznie — łamy „Odgłosów" stoją przed wszystkimi otworem — nie widzę bowiem żadnego powodu, iżby smętny stan większości łódzkich teatrów, jak również poczynania administracji pragnącej sytuację odmienić, owiane były mgiełką niedopowiedzeń, czy wręcz otoczone tajemnicą.

Uprzednio warto by wszakże ustalić, o czym dyskutujemy właściwie. Czy o sztuce teatru rozpatrywanej niejako „w stanie czystym", o premierach, prapremierach i tak zwanych wydarzeniach artystycznych, czy też o siermiężnej rzeczywistości, realnych gustach i potrzebach

8

Foto.: Archiwum

ZOFIA NAŁKOWSKA

Moje najgłębsze troski

(z dzienników)

Górki, 11.XI. 1918

Józefowa przyszła z miasta i mówi: „ojej, żandarmom odebrali strzelby, konie, w ogóle wszystko. Masę tam znaleźli mięsa, kaszy, wszystkiego pilnują, nie wolno nikomu nic wziąć. Pijane już były i jeden strzelił, ale go zranili i felczer robi opatrunek. A te, to same takie młode, palta pozdejmali, pod spodem już miały mundury, przypasywali sobie strzelby i weśli na konie". — Wczoraj jeszcze przyjechał Janu, chociaż już prawie nie miał czasu; powiedział o powrocie Piłsudskiego i swojej nominacji. Rząd ludowy z Lublina ma zwyciężyć. — Ach, napatrzyłam się tu tylu rzeczy nienawistnych przez ten ostatni rok, że się nie umiem cieszyć ani wierzyć w trwałość zwycięstwa. Tyle pracy żelaznej, tyle pochmurnego uporu w nadziei, tyle krwawej udręki — czyż takie rzeczy kiedykolwiek naprawdę zwyciężają. Dzieliłam z nimi nie trud niestety, ale wszystkie jego gorycze — a dziś pozostaję w tyle, pełna niedowierzania i głuchej, kobiecej trwogi o to, co pewno będę musiała przecierpieć. Pożegnałam Jana dziś rano na dłużej, zostałam tu. Przez dni ostatnie matka była ciężko chora na epidemiczną teraz, groźną, często śmiertelną grypę. Pielęgnuję ją i kocham. Na to samo chory Jan pojechał na pracę ciężką i bardziej, niż dotąd, niebezpieczną. (...)

Górki, 13.XI.1918

W Warszawie zrzucenie okupacji odbywa się mniej gładko, krew się leje. Ale wcale nie to już dla mnie jest teraz najgorsze. Wojna i Jan oduczyli mię czułostkowości. Ważne są inne sprawy. Polska, szalona i radosna z odzyskanej wolności, leży dziś między Rosją bolszewicką i zrewolucjonizowanymi, socjaldemokratycznymi Niemcami. Ogromne, tak ciężko okupione zwycięstwo partii Piłsudskiego wydaje mi się już teraz zakreślone na krótką metę. Ich socjalizm nie może mieć tych wywrotowych, niszczących aspiracji, dla nich zbyt jeszcze jest cenne odzyskanie kraju. I tym razem los chciał, że Polska jest spóźniona. Gdy w Niemczech zrzucono Wilhelma, to na gmachach rządowych zamiast barw narodowych wywieszono czerwony sztandar. Nie jest wcale dziwne ani niesłuszne, że Polacy u siebie z tym samym nakładem rewolucyjnej energii zawieszają barwy narodowe; chciałabym nawet ja osobiście, aby przecież pozwolono im wisieć choćby parę miesięcy. — Ale czuję w tym niebezpieczeństwo nowe i nietrwałość. W rewolucjach zwycięża to, co najjaskrawsze, najdalej idące. Rewolucja musi dojść ad absurdum, aby się sama wyczerpać i zniszczyć. Jeżeli nie zawsze tak jest, to jednak zdaje mi się, że tak być powinno. Ale nie jestem temu rada, sama jestem też jak gdyby nieco spóźniona. — Nie idzie mi w szczególności o (...) formy rewolucji rosyjskiej, przypuszczam skwapliwie, że niemiecka potrafi tego jakoś uniknąć. Że Austria niemiecka, Węgry, Holandia będą innym terenem przewrotu niż (...) Rosja. Ale ten ogólny kryzys Europy niejako obowiązuje Polskę. A tu źle się dzieje. — Dekret rządu lubelskiego brzmiał tak mocno, jego program był w całości do zaakceptowania — a jednak przyjazd Piłsudskiego nie uratował go od dziwacznego, niezrozumiałego dla mnie rozbicia. Widok odezwy, podpisanej przez Radę Regencyjną, już niby zwaloną przez dekret lubelski, z Piłsudskim łącznie, był dla mnie okropną niespodzianką, chociaż dowództwo całej siły zbrojnej oddawała wreszcie w jego ręce. Zupełnie to nie było potrzebne już teraz, ostatnie dni warszawskie i bez tego dawały mu tę władzę od ludu. — Jestem daleko i niedokładnie wszystko wiem, zapewne były jakieś ważne względy. Ale na tę chwilę postulat jedności narodowej, w ten sposób salwowany, jest znikomy wobec wagi, jaką miałoby dla ościennego socjalizmu zapanowanie Piłsudskiego, jako jednak socjalisty, na drodze przewrotu, a nie legalnego przejęcia władzy. Piłsudski i wszyscy z nim idący, tworzą z mozołem i ofiarami tę budowę rządu, by dać materiał do zniszczenia dalszemu etapowi ściśle socjalnej rewolucji. Rząd Piłsudskiego, o ile się utworzy z tej sytuacji, będzie miał los podobny do rządu Kiereńskiego w Rosji, Karolyego na Węgrzech i Maksymiliana Badeńskiego w Niemczech. Ach, obym się myliła. — Czekam tu, samotna z matką, odcięta od rzeczywistości, z niesłychanym łaknieniem gazet, które z rzadka przynoszą piechotą z Warszawy. Dziś wiem to, co działo się tam przedwczoraj. — O jednym jeszcze myślę ratunku, aby w miarę przejmowania i gruntowania swej władzy Piłsudski sam wobec własnego stanowiska dokonał niejako zamachu stanu i stworzył rząd do tyla socjalistyczny, by nowy przewrót z interwencją Niemiec i Rosji był zbyteczny. Komplikacja jest jednak tego rodzaju, że skrajny socjalizm rosyjski i związana z nim tutejsza partia SD nie pragnie wcale socjalistycznego rządu, tylko dyktatury proletariatu. Czuję się w obowiązku być jak najbardziej nowoczesna, a jednak wobec tej tezy bolszewickiej uczuwam wewnętrzny protest, wyraźną wrogość. Zaraz jednak myślę sobie: może to właśnie samoobronny odruch każdego ancien régime'u wobec głuchego pomruku żądającej swoich praw (...). — Takie są moje teraźniejsze najgłębsze troski — obok choroby matki i pewnego niepokoju o los Hani, a zwłaszcza Jana, będącego w samym sercu zachodzących teraz w Warszawie spraw. (...)

Górki, 14.XI.1918

Z paru przyczyn jestem spokojniejsza. Dostałam dziś pierwszą wiadomość od Jana. Przeczytałam numer „Robotnika", z którego widzę, że stanowisko PPS mi wystarcza. Z pism też widzę, że socjaldemokracja Niemiec jest jednak bardzo odmienna od rosyjskiej w technice rewolucji i w formie rządu. Z tym można się całkowicie solidaryzować. Wreszcie dowiaduję się, że Piłsudski mianował prezesem gabinetu Daszyńskiego, tego samego, który stworzył rząd lubelski. Wczorajszy strajk i manifestacje PPS miały jako rezultat zawieszenie na Zamku czerwo-

3

TAK SĄDZĘ

Realizm nie wyklucza wątpliwości

Odnoszę wrażenie, że powoli do głosu zaczynają dochodzić realiści. To bardzo dobrze. Należałoby się z tego cieszyć. Realista — jest to bowiem taki człowiek, który w swoim rozumowaniu, myślenia i działaniu, które tego myślenia jest wynikiem, bierze za podstawę obiektywną analizę rzeczywistości. Realista liczy się z faktami, stara się odrzucać wszelkie mity, mrzonki i oderwane od rzeczywistości marzenia. Realizm nie wyklucza jednak ani wątpliwości, ani wyobraźni. Czasem mówi się o płaskim, przyziemnym realizmie, jako przeciwstawieniu fantazji, romantycznych wizji, puszczonej na wodze wyobraźni. W życiu potrzebne jest wszystko, i wyobraźnia, i fantazja, i marzenia, ale bez poczucia realizmu nie zbuduje się niczego trwałego Potrzebny jest więc również realizm. Szczególnie dziś, kiedy wszyscy chcemy wyjść wreszcie z kryzysu, a ciągle nie bardzo wiemy jeszcze jak to zrobić.

Zaczynają dochodzić do głosu realiści, ale oto Mieczysław F. Rakowski na spotkaniu z autorami listów do rządu powiada, że w historii Polski nie było jeszcze takiego faktu, aby zwyciężyli realiści, aby ich posłuchano. Nie chcę się spierać. Myślę jednak, że można wśród polskich polityków różnych czasów znaleźć realistów i wcale nie przegranych. Poza tym historii nie można traktować jako fatum zawisłego nad naszym narodem. Z tego, że realiści tu i ówdzie w przeszłości przegrywali, że ponosili klęski, nie musi wcale wynikać, że i teraz muszą przegrać. Historia nie ciąży w sposób fatalistyczny nad teraźniejszością i przyszłością. Jeśli jest nauczycielką życia, to trzeba to rozumieć w taki sposób, że poznanie jej pozwala spadkobiercom na właściwe, realistyczne wyciągnięcie wniosków, a nie stałe powtarzanie błędów. Pojętni uczniowie błędów nie powinni popełniać, chyba, że nie są pojętnymi.

Minioną sobotę spędziłem w Ozorkowie. Byłem w „Latonie" na konferencji zakładowej PZPR. Konferencja przebiegała sprawnie. Dyskusja koncentrowała się wokół dwóch spraw: wychowania młodzieży i 10 listopada. W „Latonie" przeważają kobiety. Załoga na ogół młoda, ale są i ludzie w zaawansowanym wieku, jak też renciści czy emeryci. Nie dziwi mnie ich zaniepokojenie sprawami wychowania młodego pokolenia, to, co się niedawno w Ozorkowie zdarzyło zaniepokojenie owo w pełni uzasadnia. Oto grupa uczniów szkoły podstawowej obrzuciła kamieniami pociąg osobowy, raniąc pasażerów, oto trzech 16-latków uplanowało napad na taksówkarza, który miał akurat utarg w wysokości.... 300 zł. A napad miał być rabunkowy. Oto z przyzakładowej szkoły uciekają uczennice w poszukiwaniu lepszego życia. I dlaczego tak się dzieje? Czy takie były cele naszego wychowania? Kto jest temu winien? Gdzie popełniono błąd? Czy młodzi są w stanie zrozumieć, że na nich ciąży odpowiedzialność za przyszłość kraju? Niektórzy sądzą, że wychowywaliśmy młodych w kulcie walki i oto mamy tego skutki. Wychowywaliśmy romantyków, a nie realistów.

To dobrze, że dostrzegamy złe skutki naszego wychowania. Na ogół jednak dostrzegamy je u innych, a rzadko u siebie. Szukamy winnych z dala od siebie. Proponujemy zmiany w stosunku do młodzieży również z dala od siebie. Niech się zmieni szkoła. Surowiej karać. Więcej się troszczyć o młodzież. Realizm nakazuje powiedzieć, że odpowiedzialność za młode pokolenie ponosimy wszyscy. Choćby przez to, że służymy im przykładem. A więc przez to, co robimy i jak robimy. Czy potrafimy być zdyscyplinowani. Oni przecież muszą na czymś się wzorować.

10 listopada. Akurat „Odgłosy" ukażą się w kiosku. To, co więc napiszę teraz, będzie tylko rejestracją myśli i wątpliwości sprzed kilku dni. A dotyczą one jakby dwu spraw: po pierwsze — co nam da strajk? — i po drugie — jak żyć dalej? Strajk nam nic nie da, przyniesie tylko szkody. Taką była opinia tych, co mówili w „Latonie". Nie wiem, czy tak myśli cała załoga. Ale sądzę, że pytanie to zadaje sobie wielu ludzi. Po co nam to? Co zmieni się przez to, że będziemy strajkowali, do czego nawołuje opozycja i zagraniczne rozgłośnie? Może się tylko pogorszyć.

I pytanie drugie — jak żyć dalej? Jak długo można żyć w warunkach ciągłych napięć, zagrożeń, nękania władzy, ale i społeczeństwa? Nie przypadkiem dają się słyszeć — i to wcale nie odosobnione — głosy, że szybkie zniesienie stanu wojennego będzie błędem. Coś podobnego zresztą powiedział Artur Sandauer w wywiadzie dla „Tu i Teraz" (ukazał się ten wywiad w 22 numerze z 27 października 1982 roku). Ten niepokój bierze się stąd, że opozycja nie posiada żadnego pozytywnego programu, a jedynie nieprzepartą chęć do działania destrukcyjnego. Ale z drugiej strony w społecznej świadomości nie dokonały się jeszcze takie zmiany, które gwarantowałyby przeciwstawianie się większości ludzi destrukcyjnym poczynaniom. Ludzie są już tym wszystkim zmęczeni, ale ciągle jeszcze obojętni. Proces przemian trwa. A ściślej — dopiero się zaczyna. Oby to był proces uczenia się realizmu tak w życiu, jak i w polityce.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Przegląd prasy

SEKRETARZ OSOBISTY WŁADYSŁAWA GOMUŁKI

w latach 1956 — 1970 Walery Namiotkiewicz opowiada na łamach „ZDANIA" (nr 7 z października 1982 r.) o swoim byłym szefie. Władysław Gomułka w najnowszych naszych dziejach odegrał znaczną rolę. Stanął na czele PPR w trudnych, okupacyjnych czasach. Był przywódcą tej partii po wyzwoleniu. Miał znaczny wpływ na ukształtowanie programu PPR, jak też współtworzył podwaliny socjalistycznego państwa, określał kierunki rozwoju i budowy socjalistycznego społeczeństwa. Przed zjednoczeniem ruchu robotniczego został odsunięty od kierowania partią, oskarżony o odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne, a nawet uwięziony. W 1956 roku wrócił do kierowania PZPR. W 1970 roku odszedł w tragicznych okolicznościach. Przypominam te znane przecież fakty — jak zresztą słusznie to podkreśla Walery Namiotkiewicz — gdyż stworzyły one *„podatny grunt dla kontrowersyjności sądów"* o Władysławie Gomułce. Stworzyło to jednak nie tylko grunt dla *„kontrowersyjnych sądów"*, ale też dla pomówień i oszczerstw. Walery Namiotkiewicz wspomina, że w 1956 roku, kiedy ważyły się losy powrotu Władysława Gomułki do kierownictwa partii, wielokrotnie słyszał *„wręcz haniebne kalumnie na jego temat z ust osób bardzo wysoko wówczas postawionych"*. Wł. Gomułka, kiedy już został I sekretarzem KC PZPR, *„zawiesił kurtynę milczenia nad swoimi krzywdami"* i nie zrobił nic złego tym, którzy go nie tylko atakowali, ale i obrzucali kalumniami.

Z dużą rezerwą do osoby Władysława Gomułki odnosili się przywódcy niektórych partii komunistycznych i robotniczych. Z rezerwą odnosili się też przywódcy radzieccy. W. Namiotkiewicz opowiada o wystąpieniu N. S. Chruszczowa na przyjęciu urządzonym na cześć polskiej delegacji w 1958 roku w Moskwie, kiedy to padły takie słowa:

„Dwa lata przyglądaliśmy się, jak ty działasz i kim jesteś — powiedział N. S. Chruszczow. — *Wszyscy mnie przed tobą ostrzegali. (...) Ale ja przyglądałem się uważnie i dziś wiem, że jesteś naszym prawdziwym przyjacielem, wielkim przyjacielem Związku Radzieckiego, przyjacielem narodów radzieckich. Jesteś prawdziwym internacjonalistą. Wiem, że jesteś człowiekiem, na którym można polegać. To myśmy nie mieli racji w tej nieufności do ciebie".*

Prowadzący rozmowę Marian Szulc zapytał też o stopień poinformowania W. Gomułki o tym, co dzieje się w kraju. W. Namiotkiewicz tak ujął tę sprawę:

„...jak to, nie było żadnych braków i niedostatków?

Owszem, były i to poważne. Ale, moim zdaniem, były to przede wszystkim niedostatki analizy. Rzeczywiste problemy nie polegały na trudności w dostępie do informacji, czy na zahamowaniu przepływu informacji. (...) źródłem tych słabości, jakie pojawiły się z biegiem czasu w pracy towarzysza Wiesława nie były luki informacyjne. (...) Otóż twierdzę: dostęp do informacji był, możliwości weryfikacji także. Jeśli chodzi o samego towarzysza Wiesława, to doskonale zdawał on sobie sprawę z konieczności sięgania po informacje z różnych źródeł. Jednakże mimo to informacja, którą dysponował nie była w sumie dostatecznie wielostronna. A zatem nie dawała całościowego, a jednocześnie w pełni obiektywnego obrazu rzeczywistości. Był to niewątpliwie poważny mankament. (...) Jednostronność informacji o rzeczywistości można bowiem przezwyciężyć na drodze analizy, która prowadzi do usunięcia zniekształceń powstałych w obrazie tej rzeczywistości. Z tego względu w istocie rzeczy główną sprawą jest zawsze analiza".

Publikacje na temat Władysława Gomułki — jeśli są rzetelne, a ich autorzy mają coś faktycznego do powiedzenia na jego temat — pozwalają poznać prawdę o tym człowieku i roli, jaką odegrał w naszej historii. Pisać o ludziach, którzy odegrali jakąkolwiek rolę w naszych dziejach trzeba, aby pamięć o nich nie ginęła, jak to dzieje się z Leonardem Borkowiczem — pierwszym wojewodą szczecińskim, a jeszcze wcześniej pełnomocnikiem rządu do spraw Pomorza Zachodniego. Zapomniano na przykład o nim, kiedy w 1975 roku ustanawiano i nadawano „Gryfa 30-lecia", a także „Medal Gryfa Pomorskiego". Mówi się bowiem, że

LEONARD BORKOWICZ OBRAZIŁ SIĘ NA SZCZECIN

Ale dzisiejszy Szczecin — pisze w „MORZU I ZIEMI" (nr 2 z października 1982 r.) Marek Jerzewski — nie byłby taki, gdyby nie pasja, starania i ofiarność L. Borkowicza, który dziś mieszka w Warszawie i czuje się trochę rozgoryczony, że w Szczecinie jakoś o nim zapomniano. Niewątpliwą więc zasługą „Morza i Ziemi" jest przypomnienie tej zasłużonej dla Szczecina postaci.

Lada dzień ukaże się już 3 numer „Morza i Ziemi" — miesięcznika społeczno-kulturalnego. Przy tej okazji — przy okazji reaktywowania tego pisma — w pierwszym numerze „MiZ" przypomniano trudne dzieje prasy kulturalnej w Szczecinie. Wychodził tu niegdyś „Tygodnik Wybrzeża" (do 1948 r.), ukazywał się tygodnik „Szczecin", ukazywało się też „Ziemia i Morze" (obecny miesięcznik, a od nowego roku tygodnik „Morze i Ziemia" jest swego rodzaju kontynuacją tamtego), ukazywały się „Spojrzenia". „Morze i Ziemia" rozpoczęło swą działalność w 1981 roku jako kwartalnik. W 1 numerze w nocie odredakcyjnej napisano:

„...badaczom szczecińskiej kultury pozostawiamy do rozwikłania ten temat wielce frapujący: dlaczego czasopisma społeczno-kulturalne żyją w Szczecinie tak krótko? Czy winić należy przede wszystkim zespoły redakcyjne, czy środowiska twórcze, mecenasów kultury czy polityków?"

„MiZ" chce się zajmować — zgodnie z nazwą — sprawami morza i lądu, łącząc je i ukazując piórami ludzi nauki, kultury, pisarzy, dziennikarzy, tych wszystkich, którzy *„uważają, iż milczenie, obojętność, emigracja wewnętrzna, nie stanowią dziś pozytywnego rozwiązania dla żadnej z trudnych polskich spraw"*. Redakcja deklaruje, że „MiZ" stanie się *„trybuną sprzyjającą ścieraniu się postaw i światopoglądów na rzecz stabilizacji integracji społecznej"*.

Cytowany 1 numer „Morza i Ziemi" przynosi kalendarium wydarzeń z sierpnia 1980 roku w Szczecinie, a numer 2 magnetofonowy zapis ze spotkania (chyba ostatniego) Jana Gerharda z czytelnikami jego książek.

„PRZEGLĄD TYGODNIOWY" (nr 32 z 7 listopada 1982 r.) przynosi natomiast zapowiedź tego, że

EDWARD GIEREK, PIOTR JAROSZEWICZ, MIECZYSŁAW JAGIELSKI I INNI STANĄ PRZED SĄDEM JAKO ŚWIADKOWIE

w procesie Macieja Szczepańskiego i Eugeniusza Patyka. Oto, co pisze na ten temat Edmund Żurek w artykule „Świadka droga przez mękę" cytując wyjaśnienie E. Patyka:

„W czasie nagrania orędzia noworocznego z 1978 na 1979 r. — Szczepański poinformował I sekretarza Gierka, że powstała w Londynie spółka „Poltex" mająca na celu techniczne dozbrajanie radia i telewizji; wszystkie wpływy i zyski w najbliższych latach będą przeznaczone na ten cel. Edward Gierek dał panu prezesowi pełną aprobatę tego rodzaju działań... „Tylko uważaj, Maciek, bo wszystkie pieniądze ci rozdrapią. Oczywiście musisz informować nie tylko Łukaszewicza..." W rozmowie uczestniczyli z Komitetu Centralnego: Jerzy Łukaszewicz, Jerzy Waszczuk, a z Komitetu do Spraw Radia i Telewizji: ja, Zbigniew Liszyk, Wadim Nikołajew, Stanisław Cześnin i Janusz Rolicki. Byłem nominalnym dyrektorem zarządzającym spółką, ale Szczepański i Kornacki bez mojego udziału załatwiali różne sprawy u Mieczysława Jagielskiego i Tadeusza Wrzaszczyka (z zachowaniem całkowitej tajemnicy)".

Poces Macieja Szczepańskiego i Eugeniusza Patyka ciągnie się już dość długo. Wydaje się, że obecnie wkroczy on w interesujący etap. „Przegląd Tygodniowy" bardzo skrupulatnie relacjonuje o wszystkim, co dzieje się na sali sądowej.

Na zakończenie przeglądu chciałbym zwrócić uwagę na 3 numer „WIEDZY I ŻYCIA" (październik, listopad, grudzień 1982 r.), który przynosi sporą porcję materiałów pod wspólnym hasłem:

O SEKSIE PRAWIE WSZYSTKO

a w tym wywiad Zofii Żukowskiej z dr Michaliną Wisłocką. Oto, jak popularna pani doktor od seksu widzi model kobiety:

„...Pani propozycja — pyta Z. Żukowska — *„radosnej zabawy w łóżku we dwoje". Czy wynika z tego koncepcja roli kobiety jako równorzędnej partnerki, całkowicie niezależnej i wyzwolonej?*

— *Broń Boże!* — odpowiada dr M. Wsłocka. — *Jeśli tak, to jestem piewcą kobiety XVII-wiecznej (tak!), istoty, która uznaje dominację fizyczną i psychiczną mężczyzny, rozumie, że taki jest naturalny porządek rzeczy i że za wszelkie od niego odstępstwa drogo się płaci. I my właśnie ową cenę płacimy. Za własną głupotę i brak wyobraźni. Proszę tylko pomyśleć. Jak to rozgrywa się w przyrodzie? Samiec bezwzględnie dąży do zaspokojenia swoich potrzeb seksualnych. Zdecydowanie dominuje. A potem, kiedy przychodzi na świat potomstwo — zazwyczaj broni stada, czuwa nad nim. Tę cenną męską dyspozycję nierozsądne kobiety tak długo tłamsiły, aż osiągnęły znakomite wyniki. A teraz żal. Gdzie ci mężczyźni?*

Mądra kobieta potrafi zrozumieć, że partner — z natury rzeczy — obdarzony jest mniejszą uczuciowością. On jest przede wszystkim — reproduktorem — opiekunem stada".

Gratuluję, nam panowie! Oto, co o nas myślą mądre kobiety!

LUCJAN BOGUSZ

65 ROCZNICA WIELKIEJ REWOLUCJI PAŹDZIERNIKOWEJ

W piątek, w Łodzi rozpoczęły się wojewódzkie uroczystości z okazji 65 rocznicy Rewolucji Październikowej. Po południu, przed Pomnikiem Czynu Rewolucyjnego, w Parku na Zdrowiu, wartę honorową zaciągnęli żołnierze Wojska Polskiego. Punktualnie o godz. 15 rozpoczęła się ceremonia uroczystego składania wieńców. Jako pierwsza, hołd bojownikom Wielkiego Października oddała delegacja Komitetu Łódzkiego PZPR z członkiem Biura Politycznego KC, I sekretarzem KŁ, *Tadeuszem Czechowiczem*. Kwiaty złożyły także delegacje stronnictw politycznych z przewodniczącym ŁK SD, *Stanisławem Żałobnym*, i sekretarzem WK ZSL, *Stanisławem Wojtunikiem*, delegacje Urzędu Miasta Łodzi, działaczy PRON, aktywu wojewódzkiego TPPR, organizacji młodzieżowych i społecznych, przedstawiciele załóg łódzkich zakładów pracy.

W piątek także członkowie Egzekutywy KŁ PZPR spotkali się z grupą weteranów ruchu robotniczego w Łodzi: działaczy KPP z okresu międzywojennego, PPR z okresu okupacji. Nie zabrakło także łodzian — uczestników Rewolucji Październikowej: *Józef Hryniewicz, Henryk Binkowski i Edward Zdzienniecki*. Na spotkanie przybyli również: członek Biura Politycznego KC, I sekretarz KŁ PZPR, *Tadeusz Czechowicz*, oraz prezydent m. Łodzi, *Józef Niewiadomski*.

Wieczorem w sali kina „Iwanowo" odbyła się uroczysta ogólnowojewódzka akademia, zorganizowana przez Zarząd Łódzki TPPR, na którą przybyli: członek Biura Politycznego KC PZPR, I sekretarz KŁ, *Tadeusz Czechowicz*, przewodniczący Rady Narodowej m. Łodzi, prof. *Mieczysław Serwiński*, działacze stronnictw politycznych, przewodniczący kierownictwa Urzędu Miasta, działacze i aktyw PRON oraz TPPR, reprezentanci załóg łódzkich zakładów pracy, żołnierze Wojska Polskiego, młodzież. Zebranych, w imieniu organizatorów uroczystości, powitał sekretarz Zarządu Łódzkiego TPPR, *Zbigniew Antoszewski*. Okolicznościowy referat wygłosił sekretarz KŁ PZPR, członek Prezydium Zarządu Łódzkiego TPPR, *Andrzej Hampel*.

Zarząd Główny TPPR, z okazji 65 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, nadał działaczom i aktywistom Złote Honorowe Odznaki TPPR. Na uroczystości w „Iwanowie" otrzymali je: *Maria Bielska, Wojciech Ekiert, Albin Głowacki, Władysław Gos, Zofia Jasińska, Eugeniusz Karwowski, Jan Markiewicz, Mariola Nowak, Tadeusz Piotrowski, Janusz Rajtar, Andrzej Sidorowicz, Lilianna Szczepaniak, Zdzisława Szymor, Janina Śliwnicka, Henryk Wojtaszewski, Jerzy Woźniak, Władysław Woźniakowski, Henryk Wyszomirski*.

Zbiorowe Złote Honorowe Odznaki TPPR przyznano kołom Towarzystwa przy Okręgowym Przedsiębiorstwie Rozpowszechniania Filmów oraz przy Studium Języków Obcych Uniwersytetu Łódzkiego. Odznaki wyróżnionym wręczył członek Prezydium ZŁ TPPR, *Andrzej Hampel*.

Po części oficjalnej zebrani obejrzeli projekcję filmu pt. „Kapelusz" w reżyserii Leonida Kwinchidze.

ODSŁONIĘCIE TABLICY PAMIĄTKOWEJ

10 listopada 1939 roku w Łodzi władze niemieckie aresztowały grupę około 200 osób. Z tej grupy stu oficerów i podchorążych Września zatrzymano w charakterze zakładników mających stanowić gwarancję przeciwko rodzącemu się w Łodzi ruchowi oporu. Aresztowanych trzymano w obwarowanym budynku fabryki na terenie dzisiejszej Politechniki Łódzkiej. W związku z rocznicą tych wydarzeń w miejscu dawnego więzienia odsłonięto wczoraj tablicę pamiątkową.

Na uroczystość przybyli licznie kombatanci, studenci i uczniowie łódzkich szkół. Władze miasta reprezentowali: członek Biura Politycznego KC, I sekretarz KŁ PZPR — *Tadeusz Czechowicz*, przewodniczący Rady Narodowej m. Łodzi — prof. *Mieczysław Serwiński*, prezydent Łodzi — *Józef Niewiadomski*. Obecny był prezes Zarządu Głównego — *Włodzimierz Sokorski* oraz rektor PŁ — prof. *Jerzy Kroh*.

Byłych zakładników uhonorowano odznaczeniami. Medale „Za udział w Wojnie Obronnej 1939 r." otrzymali: ppor. *Aleksander Barańczyk*, ppor. *Stefan Głębski*, ppor. *Zygmunt Stachowicz*, ppor. *Janusz Witomski* oraz por. *Jan Chomiczewski*.

(sk.)

ODZNACZENIA DLA PRACOWNIKÓW PUPiK

Miła uroczystość odbyła się w Przedsiębiorstwie Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa-Książka-Ruch" z okazji przypadającego w tym roku 35-lecia RSW „Prasa-Książka-Ruch". Na spotkaniu, w którym uczestniczył zastępca przewodniczącego Rady Narodowej m. Łodzi — Klemens Kwiatkowski, 15 zasłużonym pracownikom przedsiębiorstwa wręczono wysokie odznaczenia państwowe. *Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski* otrzymali *Klemens Czurapski*. *Złote Krzyże Zasługi* otrzymali *Franciszek Kaźmierczak, Zygmunt Florczak, Tadeusz Kłys*. *Natomiast Srebrne Krzyże Zasługi* — *Henryk Skibiński, Harry Schneider, Karol Wiśniewski, Emil Olszewski, Czesława Kruczkowska, Ryszard Sztajnert, Stanisława Rogozińska, Teresa Drzazga, Longina Gajda, Helena Klemba i Jan Pielat*.

SENSACJA W ŁÓDZKIM TEATRZE WIELKIM

Do nie notowanej w historii teatru operowego na świecie sensacji doszło przed kilku dniami na scenie łódzkiego Teatru Wielkiego. Otóż oczekująca na rozpoczęcie spektaklu „Marii Stuart" Romualda Twardowskiego publiczność została powiadomiona przez dyrektora Teatru, Sławomira Pietrasa, że artysta kreujący rolę lorda Melvilla zasłabł i nie będzie mógł wystąpić w przedstawieniu. Dyrektor zaproponował jednocześnie, że w roli tej, o ile publiczność wyrazi zgodę, gotów jest wystąpić... dyrygent, Andrzej Chmielowiec. Natomiast za pulpitem dyrygenckim stanąłby... Tadeusz Kozłowski, kierownik artystyczny, który notabene „Marii Stuart" nigdy nie prowadził. Publiczność z radością przyjęła takie rozwiązanie i rozemocjonowana czekała na rozpoczęcie spektaklu. Warto dodać także, że na przedstawienie niespodziewanie przyjechał kompozytor opery, i zdenerwowany podobnie jak publiczność i wykonawcy, oglądał spektakl. A spektakl od pierwszych do ostatnich taktów toczył się gładko i bez potknięć. Po zakończeniu zaś owacjom i gratulacjom nie było końca. My także się do nich przyłączamy i obiecujemy, że do tego niebywałego wydarzenia jeszcze wrócimy na naszych łamach.

Nasz czas przeszły

11 listopada 1918 roku powstała II Rzeczypospolita Polska. Ten historyczny fakt przez pewien czas był wstydliwie przemilczany. Stąd obrósł wieloma mitami i nieporozumieniami. Polska odzyskała niepodległość dzięki rewolucyjnemu zrywowi mas, ale władzę wzięła w swoje ręce burżuazja. Nawet Tymczasowy Rząd, który pod przewodnictwem Ignacego Daszyńskiego powstał 7 listopada 1918 r. w Lublinie wydał się burżuazji zbyt rewolucyjny. Józef Piłsudski przejął więc władzę nie z rąk ludu, ale od znienawidzonej Rady Regencyjnej.

Publikując dokumenty z tamtego czasu, chcemy pokazać walkę, w jakiej rodziła się niepodległa Polska, jakie były nadzieje i zamierzenia, chcemy pomóc — szczególnie młodym — w zrozumieniu naszej przeszłości.

Moje najgłębsze troski

Dokończenie ze strony 1

nego sztandaru obok narodowego. — Jeszcze zresztą nie wszystko napełnia mię radością. Zabawne jest, iż zapominam, jak nienawistny był mi ten sam Daszyński za czasów sprawy Brzozowskiego. — Ale teraz taki obrót sprawy jest najmniej zły. — Nurtują mię tylko konieczne, a przecież tak niepotrzebne represje względem bolszewickiej SD; nic tutaj nie wiem, kto je i jak sankcjonuje. — Ciekawam, czy sprawdzi się moje przypuszczenie, iż niejaki rozbrat PPS i Piłsudskiego jest chwilowym i dość mądrym machiawelizmem obojga, a przynajmniej jego. — O Janie czytam, kim jest. Jego podziemne dzieje stają się wreszcie znane. Ciekawam, czy się cieszy, bo na ogół nie lubi swej szczególnej sławy. — Mam chwile słabości, gdy pozwalam sobie być dumna. Jestem kobietą — i to mię tłumaczy. Zresztą wcale nie dlatego go kocham.

ZOFIA NAŁKOWSKA

REPUBLIKA POLSKA TYMCZASOWY RZĄD LUDOWY

Obywatele!

Reakcyjne i ugodowe rządy Rady Regencyjnej zostały przez Lud Polski obalone. Z polecenia stronnictw ludowych i socjalistycznych b. Królestwa i Galicji ogłaszamy się za:

Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej, ujmując w swoje ręce pełnię władzy do chwili zwołania Sejmu Ustawodawczego.

Komendantem naczelnym wszystkich wojsk polskich mianujemy zastępcę Józefa Piłsudskiego — płka Edwarda Rydza-Śmigłego.

Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej:

Tomasz Arciszewski, Ignacy Daszyński, Medard Downarowicz, Gabriel Dubiel, Marian Malinowski, Jędrzej Moraczewski, Tomasz Nocznicki, Juliusz Poniatowski, Edward Rydz-Śmigły, Wacław Sieroszewski, Błażej Stolarski, Stanisław Thugutt, Wincenty Witos, Bronisław Ziemięcki.

Lublin — Kraków, dn. 7 listopada 1918 r.

Z Manifestu Tymczasowego Rządu Republiki Polskiej

Do Ludu Polskiego! Robotnicy, włościanie i żołnierze polscy! Nad skrwawioną i umęczoną ludzkością wschodzi zorza pokoju i wolności. W gruzy walą się rządy kapitalistów, fabrykantów i obszarników, rządy militarnego ucisku i społecznego wyzysku mas pracujących. Wszędzie lud pracujący dochodzi do władzy. I nie zaświta lepsza dola nad narodem polskim, jeśli rdzeń i olbrzymia jego większość, lud pracujący, nie ujmie w swoje ręce budowy podwalin naszego życia społecznego i państwowego. Nie może losem narodu polskiego nadal kierować Rada Regencyjna, przez obce i wrogie czynniki nam narzucona, która swoją ugodową i reakcyjną polityką, oddając jednocześnie niemal dyktatorską władzę w ręce austriackiego żołdaka, Rozwadowskiego, pcha naród polski ku przepaści.

Ludu polski! Polski chłopie i robotniku!

Jeżeli chcesz zająć należne ci miejsce w rodzinie wolnych narodów, jeżeli chcesz sam być gospodarzem na swojej własnej ziemi, to musisz w swoje ręce ująć władzę w Polsce, musisz sam budować gmach niepodległej Polski i zjednoczonej Ludowej Rzeczypospolitej Polskiej. (...)

Jako Tymczasowy Rząd Ludowy Polski postanawiamy i ogłaszamy poniższe prawa, obowiązujące cały naród polski od chwili wydania niniejszego dekretu:

1) Państwo polskie, obejmujące sobą wszystkie ziemie, zamieszkałe przez lud polski, z własnym wybrzeżem morskim, stanowić ma po wszystkie czasy Polską Republikę Ludową, której pierwszego prezydenta obierze Sejm Ustawodawczy;

2) Rada Regencyjna, działająca na szkodę narodu polskiego, z dniem dzisiejszym, z woli ludu polskiego, przestaje istnieć. W razie, gdyby Rada Regencyjna oraz rząd przez nią stworzony, tej woli ludu polskiego nie chciały się poddać, ogłoszone będą za wyjęte spod prawa. Ściganie i ujęcie w ręce naszych władz wykonawczych będzie obowiązkiem każdego obywatela państwa polskiego;

3) istniejącemu obecnie w Warszawie prowizorycznemu rządowi urzędniczemu rozkazujemy niniejszym podporządkować się nam i sprawować swe funkcje aż do chwili otrzymania od nas bliższych instrukcji, w przeciwnym razie będą postawieni w stan oskarżenia przed trybunałem ludowym, którego skład i kompetencje będą niebawem ogłoszone;

4) Sejm Ustawodawczy zwołany będzie przez nas jeszcze w roku bieżącym na podstawie powszechnego bez różnicy płci, równego, bezpośredniego, tajnego i proporcjonalnego głosowania. Ordynacja wyborcza będzie ogłoszona w ciągu najbliższych kilku dni. Czynne i bierne prawo wyborcze będzie przysługiwało każdemu obywatelowi i obywatelce, mającym 21 lat skończonych;

5) z dniem dzisiejszym ogłaszamy w Polsce całkowite polityczne i obywatelskie równouprawnienie wszystkich obywateli bez różnicy pochodzenia, wiary i narodowości, wolność sumienia, druku, słowa, zgromadzeń, pochodów, zrzeszeń, związków zawodowych i strajków;

6) wszystkie w Polsce donacje i majoraty ogłaszamy niniejszym za własność państwową. Dla przeciwdziałania spekulacji ziemią będą wydane osobne przepisy;

7) wszystkie lasy, zarówno prywatne, jak i dawne rządowe, ogłaszamy za własność państwową, sprzedaż i wyrąbywanie lasów bez specjalnego zezwolenia od chwili ogłoszenia niniejszego dekretu jest wzbroniona;

8) w przemyśle, rzemiosłach i handlu wprowadzamy niniejszym ośmiogodzinny dzień roboczy;

9) po ukonstytuowaniu się ostatecznym, przystąpimy natychmiast do reorganizacji na zasadach szczerze demokratycznych rad gminnych, sejmików powiatowych i samorządów miejskich, jak również do organizowania po miastach i wsiach milicji ludowej, które by zapewniły ludności ład i bezpieczeństwo, a posłuch i wykonanie zarządzeń naszych organów wykonawczych i należyte postawienie sprawy aprowizacji ludności. Zapewnienie jej niezbędnych po taniej cenie artykułów spożywczych uważamy za jeden z pierwszych naszych obowiązków. W tępieniu zbrodniczej spekulacji i ukrywaniu zapasów i w ułatwianiu dostarczania żywności oprzemy się na organizacjach samorządowych i społecznych. (...)

Lublin — Kraków, dnia 7 listopada 1918 r.

TYMCZASOWY RZĄD LUDOWY REPUBLIKI POLSKIEJ

Odezwa Komitetu lubelskiego SDKP i L

Towarzysze Robotnicy i Chłopi!

Pod przewodnictwem polskiego Scheidemanna, apostoła ugody klasowej, członka burżuazyjno-kołtuńskiego Koła Polskiego w Wiedniu, pod przewodnictwem człowieka, który przed paru dniami jeszcze prowadził pertraktacje i targi o teki ministerialne z Radą Regencyjną — pod przewodnictwem pana Daszyńskiego powstał w Lublinie nowy rząd polski, który mieni się rządem ludowym.

Towarzysze! Rząd ten powstał nie drogą rewolucji, nie z rąk zwycięskiego proletariatu otrzymał władzę, nie z upoważnienia Rady Delegatów Robotniczych — więc rządem ludowym nie jest!

Powstał dzięki spiskowi grupki wojaków z POW, w ukryciu przed klasą robotniczą, w tajemnicy przed Lubelską Radą Delegatów Robotniczych — więc rządem ludowym nie jest!

Powstał z ugody między socjalpatriotami z PPS, burżuazją chłopską ze Stronnictwa Ludowego i inteligencją mieszczańską — więc rządem ludowym nie jest!

Zamiast ziemi i fabryk daje wam obiecanki, zamiast dyktatury proletariatu przyrzeka wam sejm burżuazyjny — więc rządem ludowym nie jest!

Nie daje wam jeszcze chleba i pracy, ale rozkazuje wam już „tworzyć fortecę Republiki Polskiej" — więc rządem ludowym nie jest!

I nie zamierza rząd ten uzbroić ludu roboczego, ale tworzy regularną armię, powołując pod broń „wszystkich Polaków, którzy w jakiejkolwiek armii pełnili służbę wojskową", a więc nawet zdecydowaną kontrrewolucję spod znaków Beselera i Dowbór-Muśnickiego.

„Z bagnetów wał ochronny trzeba tworzyć. Niech ziemia polska zabrzmi krokiem żołnierskim!" — oto co mówi do was „zastępca Piłsudskiego", ludowy minister, pan generał Rydz-Śmigły, w swojej odezwie wczorajszej. Zaś manifest nowego rządu już wam zapowiada wyprawę wojenną, po ziemie polskie z dostępem do morza, czyli nową łaźnię krwawą, nową wojnę z Niemcami.

Baczność Robotnicy i Chłopi!

Dzisiaj (gdy) proletariat całego świata zrywa się do walki o zupełne wyzwolenie, gdy z Berlina i Wiednia, z Budapesztu i Sofii dochodzą już odgłosy walk ulicznych, farbowane lisy z PPS i od ludowców usiłują dokonać nowego zamachu na interesy i prawa klasy robotniczej, usiłują uśpić jej czujność, sparaliżować jej energię rewolucyjną. Ale próżne wysiłki.

Klasa robotnicza w mieście i na wsi nie da posłuchu żadnemu rządowi, póki nie stworzy sama rewolucyjnego rządu Rad Delegatów Robotniczych i Chłopskich! Klasa robotnicza nie da żołnierza żadnej armii, póki nie utworzy sama czerwonej armii rewolucyjnej, pod rozkazami Rad Delegatów Robotniczych i Chłopskich!

A chwila ta już bliska! Do szeregu więc! Do organizacji!

Precz z samozwańczym, nieodpowiedzialnym rządem!

Cała władza Radom Delegatów Robotniczych i Chłopskich!

Precz z Sejmem burżuazyjnym!

Niech żyje dyktatura proletariatu!

Precz z nową wojną i regularną armią!

Niech żyje międzynarodowa rewolucja i uzbrojenie ludu!

Niech żyje socjalizm!

LUBELSKI KOMITET SDKPiL

Lublin, dnia 8 listopada 1918 r.

Odezwa łódzkiego OKR PPS—Lewicy

Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

Towarzysze Robotnicy! Wre rewolucja w Niemczech. Padły despotyczno-militarne rządy ukoronowanych opryszków i obszarniczo-burżuazyjnej bandy wyzyskiwaczy proletariatu niemieckiego!

Władzę w całych Niemczech zdobyły Rady Robotniczo-Żołnierskie. Na pałacu Wilhelma powiewa zwycięsko czerwony sztandar, zatknięty ręką nieugiętego bojownika proletariatu, tow. Liebknechta! Zwalił się tron Wilhelma, walą się trony pomniejszych królewiąt i książąt niemieckich!

Proletariat Niemiec szykuje się już do ostatecznej walki o obalenie kapitalizmu, o zaprowadzenie ustroju socjalistycznego!

Pożar rewolucji robotniczej grozi także innym państwom!

Drży burżuazja całego świata i szykuje się do zbójeckiej wyprawy przeciw Sowieckiej Rosji, zechce także ona zdusić rewolucję w Niemczech, Austrii i Bułgarii. Ale próżne są jej wysiłki, bo kapitalizmu już nic uratować nie zdoła! Świat wyzysku i zbrodni skazany jest na nieuchronną zagładę!

Burżuazja Polski, opuszczona przez swych dotychczasowych opiekunów, przed którymi się dotąd płaszczyła, w śmiertelnym strachu o swe klasowe panowanie, o możność dalszego wyzysku robotników — oszukuje ich obietnicą reform demokratyczno-społecznych, tworząc równocześnie na gwałt białą gwardię — czarne sociny przeciw robotnikom, do walki z socjalizmem!

Dla odciągnięcia proletariatu Polski od rewolucyjnej walki klasowej wszczyna ona hece antysemicko-pogromowe.

Frakcja „Rewolucyjna" dotychczas czynnie popierała politykę imperialistycznych państw centralnych, słała im na pomoc swoje legiony i wraz z Tymczasową Radą Stanu składała adresy hołdownicze Wilhelmowi i Karolowi!

Imperializm niemiecki i austro-węgierski zbankrutował. Frakcja występuje obecnie przeciw rewolucyjnym Niemcom i Austro-Węgrom, szykując się do nowej zdrady interesów proletariatu. Wraz z ludowcami utworzyła w Lublinie nowy rząd niby demokratyczny, niby ludowy. Wzywając do walki z Radą Regencyjną, jednocześnie prowokuje wojnę z Niemcami — nową wojnę nacjonalistyczną! Frakcja wzywa do tworzenia państwa polskiego, do tworzenia armii narodowej, która zwróci bagnety przeciw robotnikom w Polsce. Oszukuje robotników frazesami socjalistycznymi, by za wszelką cenę uratować od zagłady kapitalizm w Polsce.

Towarzysze! Robotnicy! Nie dajcie się tumanić! Nie przykładajcie ręki, jak tego chce Frakcja, do budowy państwa polskiego, w którym będzie panować dalej wyzysk kapitalistyczny.

Nie tworzenie odrębnych państw kapitalistycznych jest celem proletariatu, lecz walka z ustrojem kapitalistycznym, który może być obalony tylko mocą zjednoczonych sił międzynarodowej klasy robotniczej! Tylko dyktatura proletariatu, wspólne rządy robotnicze wszystkich krajów, celem obalenia kapitalizmu i zdobycia socjalizmu, mogą wyzwolić proletariat!

Towarzysze! Robotnicy! Przystępujcie do tworzenia Rad Robotniczych, które będą organami władzy proletariackiej u nas!

Precz z kapitalizmem!

Precz z wszelkimi rządami nieproletariackimi!

Precz z białą gwardią!

Niech żyje łączność wszystkich krajów rewolucyjnych!

Niech żyje międzynarodowa dyktatura proletariatu!

Niech żyje rewolucja socjalistyczna!

Niech żyje socjalizm!

ŁÓDZKI OKRĘGOWY KOMITET ROBOTNICZY POLSKIEJ PARTII SOCJALISTYCZNEJ

Łódź, dnia 11 listopada 1918 r.

PISMO RADY REGENCYJNEJ DO NACZELNEGO DOWÓDCY WOJSK POLSKICH JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO SKŁADAJĄCE W JEGO RĘCE WŁADZĘ PAŃSTWOWĄ.

Do Naczelnego Dowódcy Wojsk Polskich Józefa Piłsudskiego.

Stan przejściowy podziału zwierzchniej władzy państwowej, ustanowiony odezwą z dnia 11 listopada 1918 roku, nie może trwać bez szkody dla powstającego Państwa Polskiego.

Władza ta powinna być jednolita.

Wobec tego, kierując się dobrem Ojczyzny, postanawiamy Radę Regencyjną rozwiązać, a od tej chwili obowiązki nasze i odpowiedzialność względem narodu polskiego w Twoje ręce, Panie Naczelny Dowódco, składamy do przekazania Rządowi Narodowemu.

Dan w Warszawie, dnia 14 listopada 1918 roku.

ALEKSANDER KAKOWSKI
ZDZISŁAW LUBOMIRSKI
JÓZEF OSTROWSKI

„I tak jestem szczęściarzem"

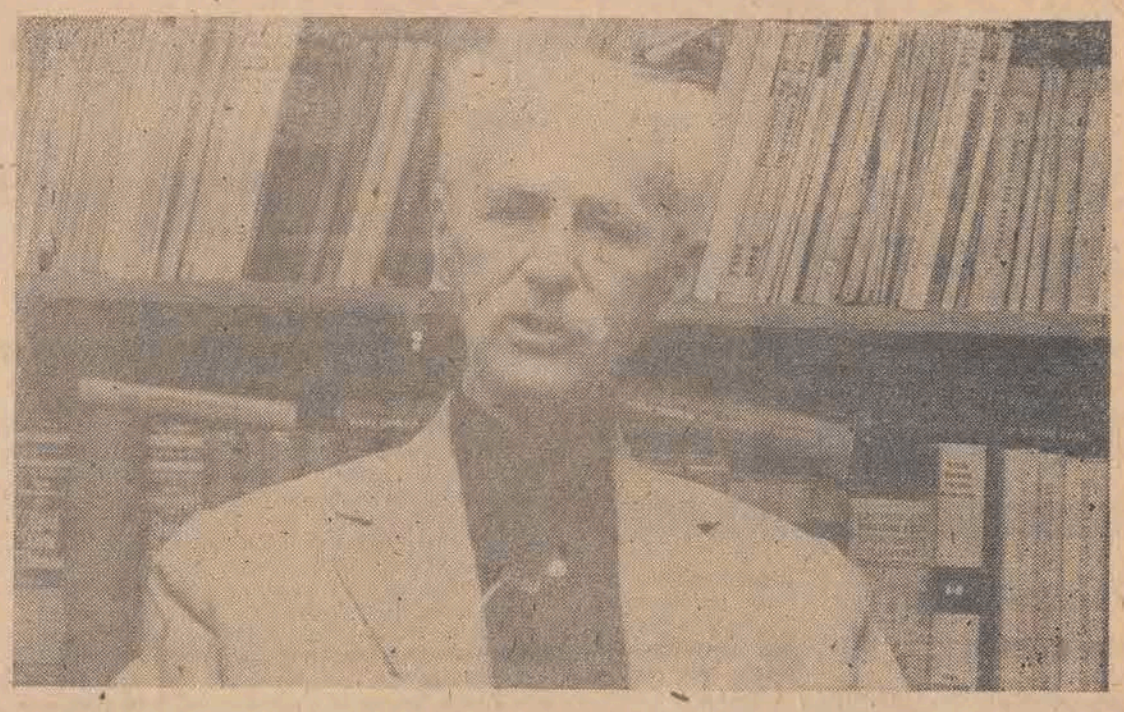

Dokończenie ze strony 1

podtrzymywania jej wedle chęci, ponieważ czas, którym się rozporządza, nie tylko się nie zwiększa, ale maleje. Tym się tłumaczy, że moja wymiana listów z Panem, choć właśnie sprawia mi radość, jest z mojej strony rzadka, a listy są krótkie i będą jeszcze rzadsze i jeszcze krótsze, ponieważ przy dobrym na ogół stanie zdrowia (...) zaczynam odczuwać skutki bardzo już późnej starości. Jednym z nich jest domaganie się lekarzy, żebym ograniczył ilość czasu spędzanego przy biurku na czytaniu i pisaniu... Będę musiał więcej czasu spędzać przy telewizorze, więcej słuchać radia, przedłużać rozmowy przy posiłkach, a w dobie lepszej pogody, więcej sobie spacerować."

Łachaciński w listach pisał niejednokrotnie o swoich życiowych planach, związanych m.in. z dalszą nauką, chęcią uzyskania matury i pomocą udzielaną ludziom, którzy niegdyś pracowali we Francji. 1 maja 1972 r. Profesor pisał:

„Przede wszystkim niech mi będzie wolno pogratulować Panu działalności opiekuńczej w stosunku do kolegów, dla których Pan zdołał się wystarać o należną im rentę francuską, mimo opieszałości ZUS. To prawda, że u nas jest zjawiskiem pospolitym nieżyczliwość człowieka do człowieka. I okazało się, że Francuzi potraktowali serio swoje zobowiązania i okazali przy tym życzliwe podejście do cudzych spraw. A jak się przydało w tej sytuacji to, że Pan umie napisać po francusku list rzeczowy i skuteczny!"

Łachaciński prawdopodobnie pod wpływem kontaktów z Profesorem rozpoczął naukę języków obcych. Kilka razy w tygodniu dojeżdżał do Łodzi nie opuszczając przez cały rok nawet jednych zajęć. Wprawiło to wykładowców i jego kolegów w autentyczne zdumienie. W jednym z listów do T. Kotarbińskiego tak o tym pisał:

„...słuchaczami tego Studium Języków Obcych Łódź, ul. Piotrkowska 137, są ludzie z wyższym wykształceniem, ale nie ustępuję im pod względem szybkiego opanowania przedmiotu. Tłumaczę, że jestem w lepszej sytuacji, bo nie „pracuję".

Swoje umiejętności chciał Łachaciński wykorzystać w praktyce ofiarowując swoje umiejętności językowe PTTK w Łodzi, ale nie skorzystano z jego usług, choć chciał to robić bezpłatnie. Przewodnicy niechętnie się zgadzali, by im towarzyszył podczas oprowadzania wycieczek.

W tym okresie w korespondencji Łachacińskiego pojawia się postać pabianickiego inżyniera, ociemniałego i sparaliżowanego chemika. Z nim Łachaciński prowadzi długie rozmowy, korzysta z bogatej biblioteki inżyniera. W liście do T. Kotarbińskiego pisze:

„Podziwiam go za chęć do życia; powiedział „myślę więc żyję", jest również gorącym Pana wielbicielem i to nas też po trosze zbliżyło...".

Łachaciński pisze w listach o swoich zainteresowaniach, szczególnie o filozofii, która dała początek „nauce jako takiej". W jednym z listów zauważa. *„Grecy przewyższali inne ludy starożytności miłością do wiedzy".* Ale obok tych wielkich spraw pabianiczanin dzieli się z Profesorem uwagami na temat sytuacji Polaków. W jednym z listów pisanych po wydarzeniach grudniowych wypomina nasze wady, a szczególnie specyficzny rodzaj nieuctwa. Przytacza przy okazji historię, jaka się przydarzyła Talesowi z Miletu przechadzającemu się po mieście z głową uniesioną wysoko do góry. Otóż Tales wpadł nagle do odkrytej studni. Zachciało mu się wiedzieć, co się dzieje na niebie, nie dostrzegł tymczasem tego, co miał przed nosem. Podobnie z Polakami — potrafią krytykować innych, dostrzegać wady „góry", tymczasem swoich jakoś nie widzą...

29 lipca 1973 r. T. Kotarbiński wysłał kartkę pocztową do Pabianic.

„Wdzięczny jestem Panu — pisał — *za podzielenie się ze mną własnymi poglądami na socjalizm. Ile w nich słuszności Czy prawda ma polegać na tym, że droga do racjonalnego ustroju prowadzi z kapitalizmu poprzez socjalizm, który z kolei musi przechodzić przez fazy rozwojowe. Miejmy nadzieję, że się będzie wyzbywał uciążliwości charakterystycznych dla fazy początkowego zbierania gorzkich doświadczeń."*

Na tej kartce znalazły się i wiadomości o zdrowiu.

„Żona pochorowała się na płuca, ale już przeszło. Sam trzymam się wcale nieźle jak na mój wiek, tylko czasem pobieram leki zapobiegawcze".

Kilka miesięcy później T. Kotarbiński znów wraca do spraw związanych ze zdrowiem *„Jesteśmy w kontaktach z dobrą medycyną".* I zaraz dodaje: *„Pisuję krótkie artykuły do LITERATURY, do rubryki MOJE LEKTURY".* Na kilka dni przed końcem roku — jak wspomina Profesor — gdy już żona zaczęła powracać do zdrowia, zachorowała staruszka — pomoc domowa, którą trzeba było zostawić w szpitalu.

Przez cały 1975 r. T. Kotarbiński nie czuł się najlepiej. W którymś z listów pisał o śmierci wielu bliskich i znajomych, którzy również dożyli sędziwego wieku. *„Czy warto mówić o śmierci"* — zastanawiał się. I zaraz dodał *„Rozmawiać chyba warto tak, jak o każdym nienaturalnym zjawieniu (np. o powrotach zimy) (...) Czy jest powód, by się bać śmierci własnej? Chyba nie, chyba o tyle, o ile jej przyszłe nastąpienie grozi bliskim, którzy pozostaną. Co do mnie, myślę o bliskiej śmierci (mam 84 lata) bez troski. (...) Ale boję się (i to bardzo) męczarni umierania i bardzo dbam o to, by ją zminimalizować."*

Niemal rok trwała kolejna przerwa w korespondowaniu. 20 października 1976 r. Profesor wysłał do Pabianic skromną kartkę, na której z wielkim trudem skreślił kilka zdań do W. Łachacińskiego. Odmienny charakter pisma świadczy o przebytej chorobie. Tym razem dało o sobie znać serce...

Potem do Pabianic nadchodzą najczęściej zwykłe kartki pocztowe. Pisane czasami ręką Profesora, ale już coraz częściej przygotowywane do wysyłki przez jego żonę — Janinę. W zbiorach W. Łachacińskiego zachował się bardzo wzruszający i zarazem tragiczny, w swej wymowie list T. Kotarbińskiego z marca 1978 r. Postępująca choroba widocznie znów dała o sobie znać. Był to ostatni list Profesora pisany do W. Łachacińskiego.

Na początku października 1981 r. Tadeusz Kotarbiński zmarł.

Opracował: RYSZARD PORADOWSKI

Moralność jedna czy więcej

JERZY KWIECIŃSKI

O tym, że „moralność jest jedna dla wszystkich" słyszy się bodaj niemniej często niż o „jednakowym żołądku", nietrudno też się zorientować, że w obu przypadkach chodzi ludziom o pewną postać równości, jaka powinna obowiązywać. Dajmy jednak pokój żołądkowi, który, istotnie, powinien być napełniany w miarę równo, do poziomu niezbędnego biologicznego minimum, powyżej jednak tej granicy nie zasługuje bowiem na to, by być karmionym lepiej, niż sobie posiadacz żołądka zapracował. Tego porównania nie należy zresztą ciągnąć zbyt daleko, już choćby z tej przyczyny, że „żołądek" symbolizuje bytowe potrzeby jednostki, moralność natomiast odnosi się do sfery powinności wobec drugich.

Mam tu na myśli moralność w najpotoczniejszym znaczeniu słowa, jako tę formę świadomości społecznej, zgodnie z którą pewne normy postępowania pojmowane są jako słuszne, inaczej mówiąc — sprawiedliwe i godne naśladowania. Wolno mi więc obejść się bez używania pojęcia etyki, dla której przedmiotem rozważań jest właśnie moralność, co uczynię tym chętniej, że w wysokich sferach filozofii profesjonalnej z pewnością do cna bym się zagubił, gdy tymczasem do filozofowania na codzienny użytek każdy po trosze ma prawo. Po tej asekuracji brnę odważnie dalej.

Jeśli się nie mylę, to teza o potrzebie jednej moralności odnosi się — w potocznym rozumieniu — do dwóch dość odrębnych spraw, które, moim zdaniem, niesłusznie bywają utożsamiane, jakby pakowane do „jednego worka". Przyjmuje się więc najpierw, że to, co moralnie słuszne stanowi oczywistość, którą każdy „normalnie myślący" człowiek powinien uznać, a wobec tego ten, kto jej nie uznaje wystawia sobie jak najgorsze świadectwo moralne. Ten pogląd nie traktuje odmiennych poglądów i ocen moralnych za równouprawnione.

W konsekwencji dochowywanie przez kogoś wierności zasadom, które nie są n a s z y m i zasadami, nie zasługuje na ogół na szacunek. W wyższej więc cenie będą zawsze tacy, co tylko deklarują identyczne z naszymi poglądy moralne nawet się do nich nie stosując (co rozgrzeszamy im jako słabostkę), niż ci co bezinteresownie i ofiarnie służą „obcym bogom". W tak pojętej moralności nie ma miejsca na uznanie dla zalet charakteru zwolennika odmiennego światopoglądu, nie ma klimatu dla tolerancji, a nad chęcią pozyskania go jako jednostki wartościowej bierze górę pragnienie zadania mu ciosu, i to raczej jemu osobiście, niż jego poglądom.

Skąd się to bierze, że jesteśmy na ogół mało tolerancyjni, a czasem cała ideowość sprowadza się do nienawiści wobec określonych osób? Sądzę, że po części dlatego, iż stosunkowo świeże doświadczenia historyczne (przez starszych przeżyte osobiście) nauczyły nas, że nie każdy światopogląd zasługuje na dyskusję. To przede wszystkim hitlerowski faszyzm, wartościujący ludzi według narodowości i rasy, unaocznił nam przez swoje ludobójcze praktyki, że nie każdy system polityczny, który mieni się światopoglądem zasługuje na wyrozumiałość i tolerancję, a nawet na przyznanie mu prawa do głoszenia swoich idei. I trudno było rzeczywiście odnosić się z uznaniem do „uczciwych i bezinteresownych" hitlerowców, wiernych swojej zbrodniczej doktrynie.

Ale doświadczenie historyczne, jeśli nie ma doprowadzić nas do błędnych wniosków powinno nam też przypominać, że cały cywilizowany świat walczący wówczas z faszyzmem w imię hasła „wolność nie dla wrogów wolności!" jednoczył w tej walce, również na naszych ziemiach, ludzi o różnej ideologii — od komunistów po katolików, i że to czego bronili (oprócz narodowej niepodległości) można objąć wspólnym mianem humanizmu. Czy wyciągnęliśmy wszystkie wnioski z tej przeszłości?

Wydaje mi się, że obecne polskie postawy nietolerancyjne czerpią inspirację głównie z błędnego przeświadczenia, że zasady moralne są człowiekowi „dane" raz na zawsze i każdy wie „sam z siebie" co dla ogółu korzystne i sprawiedliwe. Zbyt rzadko chyba nachodzi ludzi refleksja, że to, co stanowi wyraz wspólnych ocen moralnych, formułowanych przez współczesne ideologie na gruncie humanizmu, jak „prawo człowieka do życia w bezpieczeństwie i pokoju", jak „wolność od głodu, bezprawia i wojen" jest stosunkowo świeżej daty, a nawet, że idee „wojennych krucjat" nie wygasły jeszcze całkowicie, o czym zresztą wie każdy, kto chce wiedzieć. Ponadto nie tak jeszcze dawno temu pojęcia „człowiek" i „jednostka" nie obejmowały wszystkich klas i warstw społecznych.

Ale przede wszystkim współczesne humanitarne hasła są w istocie niczym więcej niż sformułowaniem ogólnoludzkich pragnień i określeniem upragnionych celów, do których prowadzą jednak różne drogi, w zależności od wyznawanego światopoglądu. Nie oszukujmy się i nie dajmy się oszukiwać, że ocena moralna środków wiodących do celu pozostaje „od zawsze" niezmienna, mimo iż zdawałoby się, że w naszym kręgu kulturowym ten sam dekalog jednako obowiązuje i to samo znaczy od tysięcy lat. Zawsze przecież przykazanie „nie kradnij" rodziło wątpliwości, co jest kradzieżą: czy naruszenie cudzego materialnego dobra, publicznego lub prywatnego, czy usankcjonowane prawnie pozbawienie jednostek lub grup możliwości korzystania z przywileju posiadania własności, czy też samo posiadanie własności, umożliwiające korzystanie z owoców cudzej pracy nie jest „największą kradzieżą". Podobnie zakaz „nie zabijaj!" nie miał nigdy wartości absolutnej i uniwersalnej, uzupełniany był bowiem pytaniem: „kogo i za co?". Przykładów dostarcza zarówno Święta Inkwizycja, jak i „rewolucyjny terror". Wymieńmy jeszcze dla przykładu tak diametralnie odmienne traktowanie cielesnego „grzechu" w kategoriach religijnych i laickich oraz wiele innych czynów, a także pobudek, o kwalifikacjach moralnych zależnych od epoki i od światopoglądu instancji oceniających, żeby dać tu wyraz przekonaniu (nienowemu i nieoryginalnemu), że z żadnego źródła mądrości nie wytryskają wieczne i niezmienne normy ocen moralnych.

Dopiero chyba w najnowszych czasach, kiedy nasz świat stał się, mimo podziałów, jednym wielkim naczyniem, połączonym kanałami natychmiastowej i agresywnej informacji, szybko emancypujące się masy „wymuszają" na wszystkich ideologiach i systemach gwarancje lub obietnice teoretycznego i praktycznego respektowania ogólnoludzkich norm współczesnego humanizmu, czego siłą napędową jest, co byśmy nie powiedzieli, socjalizm. Zresztą ustrój w Polsce uznaje demokratyzację socjalizmu zarówno za konieczność historyczną, jak i za swoje najpierwotniejsze założenia, nie zatajając przy tym, że w imię idei popełniano u nas ciężkie wykroczenia przeciwko prawom człowieka, tzn. współczesnemu ich rozumieniu. Nie wszyscy zresztą z tych co powinni rozumieją moralną konieczność odnowy.

Nie bez kozery tak mi się ten moralny temat „upolitycznił" przyszła mi bowiem na myśl perfidna, licząca na dość powszechną nieświadomość insynuacja, jakoby marksizm był w swoich założeniach amoralny, ponieważ uznaje historyczną konieczność za jedyną rzekomo powinność moralną, gdy w rzeczywistości marksistowska teoria dopomina się jedynie ujmowania zjawisk społecznych (a więc i moralnych) na tle uwarunkowań historycznych, czyli w ich czasowej zmienności, co nie oznacza wcale rozbratu z moralnością, gdyż ostateczny cel ma na widoku wszechstronny duchowy rozwój jednostki w wyzwolonym, bo bezklasowym społeczeństwie. Z tymi, którzy powątpiewają czy cel nie jest utopijny warto z pewnością dyskutować jak najprzyjaźniej, z tymi jednak co z całą świadomością zatajają znane sobie sformułowania celów marksistowskiego socjalizmu dyskutować jest znacznie trudniej, należy więc ich fałsze po prostu zwalczać, oczywiście — politycznie, nie zaś administracyjnie, jak to się trochę niefortunnie określa, bo każdy prawie podejrzewa, że politycznie to właśnie znaczy administracyjnie.

Jestem przekonany, że w sporze wokół zagadnień moralnych główne niebezpieczeństwo dla współżycia obywateli o różnych orientacjach światopoglądowych w duchu wzajemnej tolerancji stanowi przeświadczenie tych ideowych przeciwników, którzy uważają, że ich ideologia ma dostęp do źródła niezachwianej i jednoznacznej prawdy moralnej i wobec tego niektórzy z nich czują się powołani, na zasadzie jakby specjalnej misji, narzucać ją strukturalnym rozwiązaniom i publicznym urządzeniom, które muszą przecież służyć jednako wszystkim obywatelom.

Uważam jednak, że poczucie misji nie powinno przekraczać granic dyskusji światopoglądowej, zwanej dialogiem, który powinien toczyć się nieprzerwanie, w dobrze pojętym interesie ogółu, pod warunkiem jednak, że nie może się utrzymywać sytuacja, w której jeden z dyskutujących ograniczałby się jedynie do propagowania własnych założeń ideowych i powstrzymywał swoich zwolenników od urażania cudzych poglądów, drugi natomiast uzurpowałby sobie prawo do aktywnego zwalczania poglądów strony przeciwnej i zachęcał swoich wyznawców do demonstrowania podobnej postawy. A najlepiej, jak sądzę, byłoby, gdyby każdy pilnował swego zadania w sferze działań, do których jest naprawdę powołany. Rozumiem jednak, że nie wszystkie pragnienia obywateli mogą się spełniać.

Wydaje mi się, mimo wszystko, że ostoją moralności powszechnej pozostanie chyba zawsze suma moralnych postaw jednostkowych, mierzonych stopniem wierności człowieka samemu sobie, czyli wyznawanym przez siebie zasadom. Wyznawanym czy głoszonym? Samo pytanie, przyznaję, brzmi niemoralnie, ale skoro występują w pewnym kręgu dziennikarskiej emigracji wewnętrznej anomalia moralne, polegające właśnie na tym (jeśli wierzyć rzecznikowi rządu, gdy zabiera głos jako felietonista), że inaczej traktuje się wartość prawd głoszonych od wyznawanych, nie sposób przejść nad tym do porządku. Jeśli doprawdy twierdzi się, że głosić (w sensie deklarowania postawy lojalności) wolno co się chce, dla wprowadzenia władzy w błąd, byle by się w działaniach pozostawało wiernym temu, co się w utajeniu (w duchu) wyznaje, to jest to oczywiście osobliwa filozofia wiarołomstwa, uświęcona „wyższymi" celami.

Ale nie jest to wynalazek tak całkiem nowy, znany bowiem od dawna pod nazwą „reservatio mentalis" (zastrzeżenie wewnętrzne), polegający na tym, iż w pewnym momencie formuły przysięgi godziło się dla „słusznej sprawy" niejako zawiesić — w myśli ważność fragmentu przysięgi. Gdy król Władysław IV miał zaprzysiąc w Sejmie edykt tolerancyjny wobec innowierców, książę Albrecht Radziwiłł miał mu (podobno) podpowiedzieć: „Królu, uczyń reservatio mentalis!" Na co król — z godnością: „Komu przysięgam usty, temu i sercem!".

Sądzę, że w ocenie moralnej wartości jednostki pozostaje na pierwszym miejscu w mocy jej wierność temu co głosi, co deklaruje bezpośrednio lub przez sam fakt określonej przynależności, ponieważ moralność nakazuje być lojalnym w stosunku do tego, czego ludzie mają prawo od nas oczekiwać, np. z racji tego że nosimy np. szaty duchowne czy legitymację partyjną. Wolno wprawdzie wypowiadać jawnie krytyczne uwagi wobec swojej organizacji (przynajmniej w partii), nie wolno natomiast rozgrzeszać się, że „w duszy" wierzy się w zupełnie inne zasady, niż te które się zadeklarowało. W tym sensie, w sensie wierności sobie i swoim zasadom oraz ludzkim oczekiwaniom moralność powinna być jedna dla wszystkich, podobnie zresztą jak wobec obowiązków w stosunku do praw ogólnie obowiązujących, toteż słusznie ludzie domagają się odpowiednich wobec każdego konsekwencji, nie tylko równych, ale proporcjonalnych do pełnionego stanowiska i poziomu świadomości.

Nie stawiałbym więc wartości systemu moralnego, któremu się służy na pierwszym miejscu oceny jednostki. Bo chyba tylko z akcesu wartościowych jednostek, ten czy inny system moralny, mieszczący się w kategoriach humanizmu, może mieć prawdziwy pożytek. Obawiam się, że zbyt często, tu i ówdzie rozumuje się odwrotnie: „Mniejsza o to, co jest wart, byle by przystąpił do nas" (zamiast życzyć sobie, by „zasilił" szeregi przeciwnika). Na wzlotach i upadkach najsłuszniejszych nieraz idei zaważyło to fatalnie...

Stoi w kotłowni lokomotywa...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Licencja. Magiczne słowo, które w latach siedemdziesiątych zrobiło w kraju oszałamiającą karierę. Przywracało wielu Bardzo Ważnym Osobom pewność siebie i dobry humor, bo wiadomo: licencja to już nie parę kroków w pościgu za zgniłym Zachodem, to zdecydowany skok albo — jak kto woli — marszobieg prawie! I w ogóle same plusy: tu się pojedzie, tam zaproszą, bo trzeba obejrzeć, jakieś umowy podpisać, to i konto trzeba mieć dolarowe w banku, a jak się odpowiednią ofertę z kilku propozycji wybierze — to i wdzięczni być potrafią.

Licencje. Nakupowaliśmy „tego", nie bawiąc się w liczby, raczej dużo, kupowało niewielu (pierwsze prawo ekonomii?) — płacić musimy wszyscy. A roztaczano przed nami widoczki z folderów rodem: w pole — tylko „Fergusonem", do pracy własnym „Fiatem". A tam: licencyjne biurko z licencyjnym wentylatorem, wciągasz produkowane na licencji zarękawki, zapalasz „Marlboro' 'i spokojnie sącząc „Pepsi-Colę" (To jest to!) wertujesz bieżącą prasę, by dowiedzieć się, że dawno minęliśmy już Wybrzeże Kości Słoniowej i jeszcze parę licencji, a dogonimy Górną Woltę!

Licencyjny szał ogarnął każdą dziedzinę gospodarki i — bądźmy sprawiedliwi — w wielu przypadkach, kiedy autentycznie liczono się z możliwościami, polskimi realiami i nieco dalszą perspektywą, zakupy były udane i dziś przynoszą ich autorom tylko splendor. Nie wyliczajmy ich, bo za dużo ich znów nie ma, a w całości naszej polityki licencyjnej niewielki to też powód do dumy. Nie brakuje natomiast inwestycji, których terminy realizacji dawno minęły, które jakoś się nie sprawdzają; a to licencjodawca okazał się niezbyt solidny, albo myśmy sprawę „zawalali".

Zdarzały się inwestycje, które błyszczały tylko w dniu uruchomienia. Była pompa, przecięcia wstęgi, klasyczne: „rąsia, buzia, klapa, goździk". Wzmianka w telewizji, ostro podlewany obiadek i... przychodził szary, zwykły dzień...

W PAPIE

nigdy nie byliśmy mocni (nie chodzi tym razem o możliwości wysławiania się). Parę starych, wiekowych zakładów — Nidzica, Gliwice, Jarocin, Bojków — nie mogło nadążyć za wciąż rosnącymi potrzebami. A kolejnych milionów metrów kwadratowych żądało przede wszystkim budownictwo, w którym rozszalała się elegancka, nowoczesna, oczywiście licencyjna „wielka płyta". O materiały izolacyjne błagały przedsiębiorstwa remontowe, gospodarka komunalna, rolnictwo.

No to co robimy panowie? Budujemy „papiarnię" z prawdziwego zdarzenia! Podgonimy trochę ten Zachód i kupimy licencję! A co, nie stać nas? Na przykład urządzenia zachodnioniemieckiej firmy „Reaizer". Pięć super nowoczesnych linii technologicznych, pełna automatyka, ostatni krzyk mody w produkcji papy! Raptem 13 milionów zachodnich marek, nie ma o czym mówić Wybudujmy taki zakład, żeby było sprawiedliwie, w pępku kraju — no, choćby w Zduńskiej Woli...

Budowa szła raczo, urządzenia spływały sukcesywnie, drobne kłopoty przeskakiwano w pięknym stylu i pod koniec 1979 roku miało miejsce

UROCZYSTE URUCHOMIENIE

Przedsiębiorstwa Materiałów Izolacji Wodoszczelnej „Izolacja". Były przemówienia, gratulacje, parę osób otrzymało na pamiątkę po rolce z „pierwszego wytopu". Orkiestra się spakowała, a goście rozjechali.

Czy przybyli na uroczystość otwarcia oficjele oglądali na zapleczu, daleko z tyłu, ukryte za plątaniną rur i hałdami węgla „serce zakładu"? Od pierwszego dnia tam właśnie „stoi i sapie, dyszy i dmucha"... pięć lokomotyw, pamiętających doskonale czasy Franciszka Józefa. Muzeum? Ale skąd! Zakładowa kotłownia!

Parę słów wyjaśnienia. „Izolacja" bez pary nie może istnieć, jest ona równie niezbędna do produkcji jak asfalt, a nawet ważniejsza. Od linii technologicznych do ogrzewania biurowca i funkcjonowania stołówki wszystko przygotowane jest do podłączenia do elektrociepłowni. Ta ostatnia jest, po sąsiedzku, parę kroków. Uściślijmy: jest budynek i pajęczyna napowietrznych przewodów...

Budowę elektrociepłowni rozpoczęto jeszcze w czerwcu 1976 roku. Władze zdecydowały — i słusznie — że będzie to inwestycja skorelowana z potrzebami miasta. Generalny wykonawca — „Energoblok" Konin nie zdążył jednak na czas, a w momencie uruchomienia „Izolacji" temat przestał go już interesować. Przecież fabryka ruszyła, a o to wszystkim chodziło, więc w czym problem? Zresztą oni mieli ważniejsze zadania, choćby najmłodsze dziecko krajowej energetyki — „Bełchatów". Tam można było „walczyć" o premie i medale, a tu?

Takie są niestety, klasyczne dla nas

PRAWA WIELKIEJ BUDOWY

Dyrektor „Izolacji" — Waldemar Zmaczyński jest wyraźnie zgnębiony ciągnącym się latami tematem. — *Pan wie jakim wysiłkiem ten zakład w ogóle funkcjonuje? Oprócz wykorzystania tych lokomotyw zbudowaliśmy małą kotłownię lokalną, by można było kuchnię i stołówkę uruchomić. Nie było dróg dojazdowych, warsztatu mechanicznego ani elektrycznego. Budynek główny? Owszem — była sama „skorupa". Resztę czyli wnętrza musiała „Izolacja" własnym sumptem wykonać. Dziś drogi i warsztaty już mamy, własną stację paliw też, ale czy my jesteśmy budowlańcy?*

— *Ale to przecież „polska klasyka"* — ciągnie zły jak osa dyrektor. — *Medale rozdano, premier gratulował, produkcja ruszyła, więc wszyscy się rozjeżdżają. A użytkownik wbija zęby w ścianę. I nie ma siły na „Energoblok"! Kary umowne? Owszem, ale i tak się wykpią. Przecież zawsze między „rzeczówką", a kosztami finansowymi jest różnica na ich niekorzyść. I zawsze wygląda na to, że plany przekroczyli, do całego interesu wręcz dołożyli, więc czemu się „czepiamy"?...*

W tym miejscu, drogi Czytelniku, dobrze będzie rzucić parę liczb, unaoczni to „problem papy". Krajowe zapotrzebowanie sięga w przybliżeniu 240 milionów metrów kwadratowych. Produkcja bieżącego roku zamknie się, jak dobrze pójdzie, w 180 milionach. Zdolność produkcyjna zduńskowolskiej „Izolacji" określana jest na 100 milionów metrów. Jak dotychczas — wyłącznie w teorii, praktycznie bowiem szczyt ich możliwości to tegoroczne 30 milionów. Z pięciu nowoczesnych linii produkcyjnych pracują dwie, maksimum trzy. Pracują dzięki sapiącym lokomotywom. Bowiem wytwarzana w nich para jest niezbędna do podgrzewania asfaltu w cysternach i przepompowania do zbiorników, by podać tylko dwa przykłady. Parowozy zdają jako tako egzamin latem, zimą ciśnienie pary jest już zbyt niskie i w każdej chwili może dojść do uszkodzenia linii transportu asfaltu, do zaczopowania rurociągów. Toteż „Izolacja" w czasie trzech zimowych miesięcy nie funkcjonuje. Zakład ma przymusowy postój, wykonuje się przeglądy, konserwacje. Głównie po to, by nie siedzieć z założonymi rękoma.

Trzeba także dodać, że podstawowym surowcem w procesie produkcyjnym jest asfalt, który — jak wiadomo — jest efektem rafinacji ropy. Tej ostatniej, pomijając jej jakość, nie jest za dużo, toteż o asfalt wszyscy walczą jak lwy. A obdzielić trzeba m. in. sprawiedliwie i drogowców i „papiarzy".

I teraz możemy zaprezentować już jak wygląda na co dzień wielkoprzemysłowa zabawa w

„KÓŁKO GRANIASTE, CZTEROKANCIASTE"...

Stare zakłady produkujące papę domagają się niezbędnych przydziałów asfaltu. „Izolacja" — największa, nowoczesna, teoretycznie bardzo wydajna — proporcjonalnie dostaje najmniej. Gdy żądają więcej, podkreślając swe możliwości, niezmiennie słyszą: — *A po cóż wam asfalt? Przecież i tak „jedziecie" tylko latem, raptem na 2—3 liniach.* Przyjeżdża pan minister: — *Ja rozumiem towarzysze, płaczecie o surowiec, ale do produkcji nie jesteście przygotowani. Ja mogę polecić nawet zamknąć te stare zakłady, ale wy zimą i tak staniecie...* Ślą więc prośby i groźby do wykonawcy elektrociepłowni, której dumny komin w sąsiedztwie służyć może na razie za punkt triangulacyjny. Słyszą wtedy: — *O cóż wam chodzi, przecież zakład ruszył i od trzech lat jakoś sobie radzicie.*

I trwa dziecięca zabawa w najlepsze. Nikt już nie pamięta, ile terminów uruchomienia elektrociepłowni wyznaczano, każdy miał być już tym ostatecznym. Pracownicy „Izolacji" są jednak realistami: — *Panie, żeby to choć w przyszłym roku ruszyło...*" A na razie: *„Już ledwo zipie, a jeszcze palacz węgiel w nią sypie".*

Zabawa jest przednia i ma wiele wesołych aspektów. Ot, choćby sprawa zatrudnienia. Przy obecnej produkcji „setka" załogi wystarcza w zupełności. Gdyby zakład pracował normalnie, potrzebnych jeszcze byłoby 100—150 ludzi. Pomijając już sprawę ich znalezienia nikt rozsądny nie zgodzi się na pracę w systemie „wahadłowym": dziewięć miesięcy robota jest, a później co? Do domu? Zwolnić i z wiosną znów przyjąć?

Popatrują więc błagalnie na ów komin wysokaśny, choć nie tak znów często. Bo na co dzień mają jeszcze sporo innych, zgoła nie „licencyjnych" problemów. Mówiło się dla przykładu (w momencie przecinania wstęgi oczywiście) o wielu rodzajach wytwarzanej tu papy. Przede wszystkim — różnej grubości, co mierzy się ilością asfaltu położonego na 1 centymetr kwadratowy. Gama miała być spora — od 1200 do 2200 gramów asfaltu. Więcej asfaltu, wiadomo — grubsza papa, czyli bardziej trwała. Na razie kładzie się do 1700 gramów. ale zrodził się nowy kłopot, o którym jakby wcześniej nikt niet wiedział: na co ten nieszczęsny asfalt kłaść?!

Fachowo nazywa się to: osnową. A więc przede wszystkim specjalna tektura, na którą specjalne niemieckie automaty nałożą specjalnie równą warstwę asfaltu. Okazało się raptem, że polski wyrób papierniczy nie spełnia polskich norm na tekturę „papową". No to cóż robimy panowie? Może by tak licencyjną fabryczkę tekturki? Oj, poważnie się o tym już mówiło, miała być rzeczywiście kupiona „na tę okoliczność". Na szczęście bomba wybuchła w czasie, gdy licencyjna hossa już minęła. No i póki co — tekturkę importujemy. Nazywa się to wytwornie: „wsad importowy". I nikogo dziś już nie dziwi, że ów „wsad" znaleźć można, dzięki wieloletnim staraniom naszych decydentów, we wszystkim — od zapałek po samochody, od majtek po koparkę. (Jeśli się pomyliłem w przypadku jednego czy dwóch wyrobów finalnych, to chętnie tę „herezję" odwołam...)

Trwają, co prawda próby z tekturką krajową, ale jakoś nie widać efektów, a znawcy przedmiotu z „Izolacji" już dziś twierdzą, że jakość papy na tym ucierpi. Ot, znajomość realiów. Póki co, w tym roku zakład wykorzystał 2,5 tysiąca ton tektury austriackiej i ponad 4 tysiące ton radzieckiej.

POSZUKIWANIA OSNOWY TRWAJĄ

nadal. Przystosowano na przykład owe licencyjne cudeńka do produkowania papy na tzw. włókninach, czyli odpadach z przemysłu bawełnianego. Dostarcza ją m. in. Gnaszyn, Bielsko, łódzkie „Eskimo". Maszynki trochę poprzerabiano (to są te „złote rączki"), papa jest grubsza, elastyczna, tyle, że wydajność urządzeń spadła o 60 procent. Osnowa nie jest już tak sztywna i maszyna musi iść wolniutko, niestety. Na szczęście włóknina jest w rezerwie, bowiem wykorzystuje się jeszcze.. welony. Proszę się nie śmiać, to tylko nazwa podobna, ale te używane w Zduńskiej Woli, to po prostu specjalna „tkanina" z tworzyw sztucznych — rodem z Gorlic. Welon jest ponoć świetny, bardzo wydajny, nie rwie się, tylko że znowu, cholera, dużo asfaltu dać nie można i papa cienką być musi. Trwają próby nad pogrubionym nieco welonem, wytrzymałym na temperatury, ale to wszystko za mało jak na potrzeby „Izolacji". Na razie wystarcza, ale chyba, wreszcie kiedyś ruszą przecież „pełną parą"...

No tak, licencja sobie, a życie sobie. I zanim zaczną wreszcie robić naprawdę dużo, naprawdę dobrej papy, to... poprzerabiają urządzenia Zaparli się bowiem, co dziś zresztą zrozumiałe, że nie wydadzą ani jednej marki na części zamienne czy uszkodzone drobiazgi. I gdy się okazało, że awarii uległy automatyczne zwijarki do papy, to się chłopcy w warsztacie zawzięli, wszystko przerobili po swojemu i mają doskonale się spisujące, oryginalne zwijarki własnego pomysłu. Wszystko pięknie, tylko po diabła nam była w takim razie ta licencja. Jeśli wszystko umiemy doskonale sami zrobić?...

— *Wie pan, to dobra fabryka, dobra załoga* — dyrektor Waldemar Zmaczyński jest jednak optymistą — *mamy możliwości produkcyjne i jesteśmy w stanie robić dużo porządnej papy. I będą — jestem przekonany, surowce, bo i sprzymierzeńców w resorcie czy Zrzeszeniu Producentów Materiałów Izolacyjnych nie brakuje. Tylko żeby ta energia cieplna była...* — wskazuje na widoczny z okna komin nieczynnej elektrociepłowni.

Rolka papy kosztuje (w cenach zbytu) 1500—1600 złotych. Na rynku kosztuje tyle, na ile potrzebujący ocenia swe potrzeby. A gdy dach w oborze czy stodole przecieka — to oficjalna cena raczej nie jest brana pod uwagę. Dyrektor Zmaczyński nie ukrywa zresztą, że codziennie ma po kilka wizyt osób, które błagają o sprzedaż choć kilku rolek. I z dwojga złego woli nawet, że rozdzielnictwem zajmuje się specjalna komisja przy Urzędzie Gospodarki Materiałowej. Te małe ilości do jego wyłącznej dyspozycji (dla kooperantów, na wymianę za inne „rarytasy" jak akumulatory choćby) to kropla w morzu potrzeb. A i tak nie ma tygodnia, by w zakładzie nie zjawiła się jakaś kontrola, by nie sprawdzano, gdzie trafia każda rolka papy.

Wędrujemy z fotoreporterem po rozległym terenie, po drodze mijamy sznur ciężarówek z rejestracjami z całego kraju. Przyjechali po papę. Hala główna: pięć potężnych ciągów produkcyjnych; idą dwa, ten piąty nie wiadomo czy w ogóle ruszy, bo trochę go rozebrano, gdy brakowało części do innych. Tablice rozdzielcze.

GUZIKI, WSKAŹNIKI, PRZYCISKI

Tu się impregnuje, tu nasyca asfaltem, tu posypuje grysem, a tam suszy na kilkudziesięciu miarowo obracających się walcach. Efektowne to, trzeba przyznać. Obok tzw. piecownia, olejowa z 13 mazutowymi piecami. Tu podgrzewany jest olej niezbędny m. in. do wysuszenia papy. W dniu naszej wizyty, parę godzin wcześniej, mogło też dojść do pożaru na miarę katastrofy w Czechowicach-Dziedzicach. Na 15 minut niespodziewanie wyłączone w całym zakładzie energię elektryczną. Dlaczego bez uprzedzenia? Dlaczego w ogóle? (przecież to chyba tzw. zakład „chroniony"?). Brak cyrkulacji oleju w „płaszczu" otulającym rozgrzane piece groził w każdej chwili gigantycznym pożarem. Gdy zaczęto szykować już piach do posypywania pieców — włączono prąd. Straty produkcyjne były niewielkie, ale widmo katastrofy zajrzało wszystkim w oczy. Czy taka musi być cena nowoczesności?...

Jeszcze plątanina przewodów, rurociągów, bocznice kolejowe, rzędy cystern z asfaltem i — jest! Obok wielkich hałd węgla ustawiono w rzędzie 5 na poły zardzewiałych lokomotyw. Połączone systemem rur, blaszanymi korytarzami, „obudowane" ceglanymi murami, sprawiają wrażenie jakby na zakończenie swej kariery zboczyły z torów i zdemolowały piętrowy budynek. Nad parowozami zmontowano prowizoryczny komin. Tak wygląda krajowa kotłownia licencyjnego zakładu. Tory kończą się parenaście metrów wcześniej. Na szczęście. Gdyby zdarzyła się w przedsiębiorstwie jakaś kolejna życiowa awaria, wtedy po prostu można by kontynuować opowieść pana Tuwima. „Wagony do niej podoczepiali"...

PS. Wiem, że z papą jest bardzo krucho. W przypadku jednak osób odpowiedzialnych za funkcjonowanie „Izolacji" zgadzam się z autorem znanego powiedzenia, że „Trzeba łysych pokryć papą". Jeśli tylko odpowiadaliby niezbędnym „parametrom" — te parę rolek musi się znaleźć...

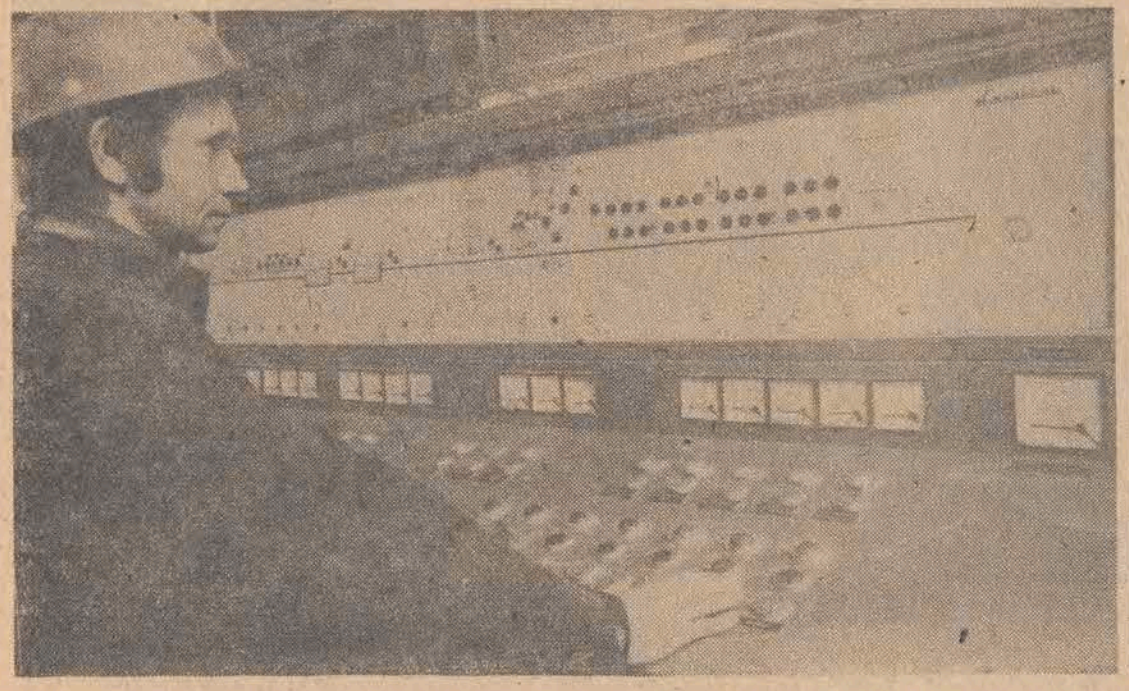

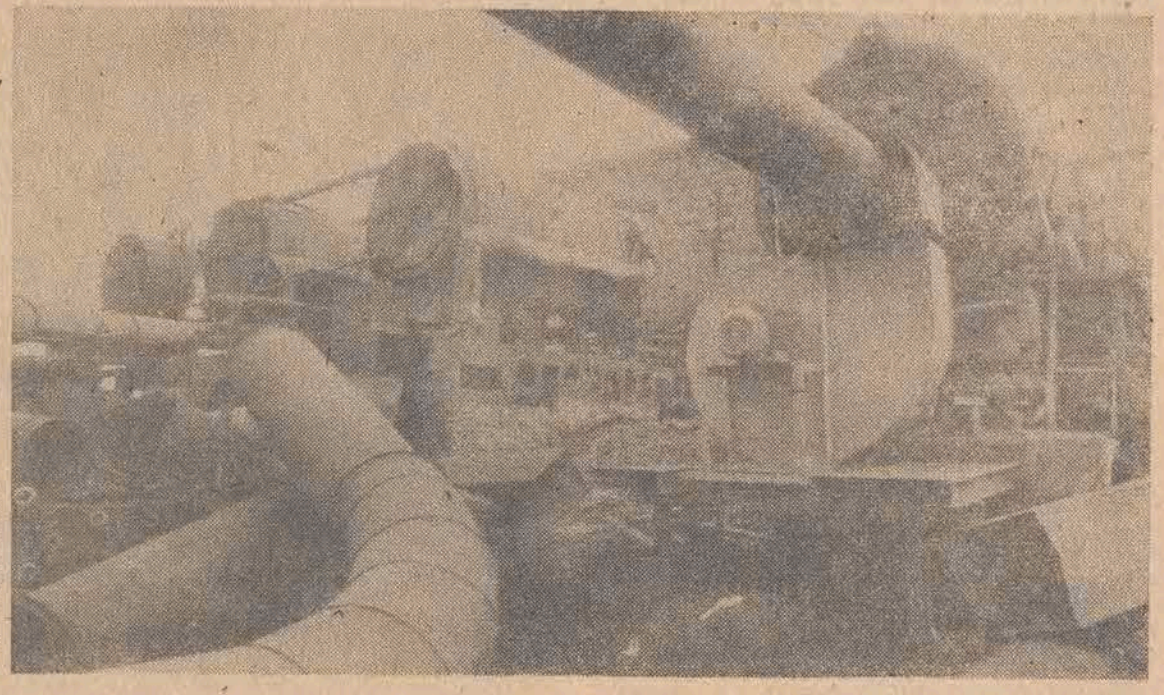

Foto: M. Zajdler

Po pierwszej rundzie rozmów

HENRYK SROCZYŃSKI

Foto.: Piotr Jaskow

Pierwsza runda chińsko-radzieckich rozmów, która niedawno zakończyła się w Pekinie, przebiegała w diametralnie odmiennej atmosferze od tej, jakiej kilka lat temu doświadczył wiceminister Leonid Iliczew prowadzący w stolicy Chin rokowania graniczne. Szef delegacji radzieckiej wypełniał długie dni oczekiwania na rozmowy — Chińczycy nie zdradzali chęci do rokowań — łowieniem ryb.

Tym razem strona radziecka nie ukrywa zadowolenia z pozytywnego przebiegu oraz postępu w rozmowach z Pekinem. Zaś sami Chińczycy potwierdzili, że dotychczasowy dialog wysłanników obu rządów **„przebiegał w przyjaznej atmosferze"**.

Postronni obserwatorzy, w tym głównie dyplomaci amerykańscy, z wyraźnym zaniepokojeniem podkreślają „wyjątkową serdeczność" towarzyszącą rozmowom w Pekinie. Ich zdaniem, mimo poważnych rozbieżności i różnic w strategii politycznej, obie strony zgodziły się co do tego, że jeśli mają dyskutować o normalizacji, to muszą stworzyć atmosferę wzajemnego zaufania; ten klimat zaufania, jak się sądzi, wynika zwłaszcza z obustronnych chęci osiągnięcia w rozmowach postępów.

Dialog ZSRR — Chiny ma wielką wagę dla całości stosunków międzynarodowych i dla ruchu komunistycznego w świecie, toteż w równym stopniu towarzyszy mu zainteresowanie polityków Wschodu jak i Zachodu. Nikt nie sądzi, że rychło nastąpi dramatyczny przełom w stosunkach chińsko-radzieckich, ale jednocześnie niewielu nadal pozostaje przy przekonaniu, że w obecnych rozmowach nie uda się obydwu stronom nawiązać bliższej współpracy.

Jakie rozbieżności dzielą Pekin i Moskwę, jakie widzi jedna i druga strona korzyści ze wzajemnego porozumienia, czy i jakie są szanse na strategiczne współdziałanie obydwu krajów? — Oto właśnie kwestie, które w związku z rozmowami chińsko-radzieckimi wydają się najbardziej aktualne, i które naszym zdaniem godne są szerszego omówienia.

Gdy w 1950 r. w Pekinie w obecności J. Stalina i Mao Tse-tunga ministrowie Wyszyński i Czou En-laj podpisywali układ o wzajemnej przyjaźni i współpracy, chińska agencja prasowa Sinhua pisała, że **„doszło do zmiany układu sił w skali globalnej między kierowanym przez ZSRR frontem pokoju a frontem agresji, któremu przewodniczy amerykański imperializm"**. Niewątpliwie podpisanie tego aktu o współpracy było punktem zwrotnym w powojennym świecie: układ stanowił przeciwagę dla rysującego się zbliżenia USA — Japonia i już z tej racji można było go określić jako najważniejszy sukces J. Stalina, w okresie zimnej wojny.

J. Stalin choć przykładał dużą wagę do wypełniania układu życiem, nie ufał Mao Tse-tungowi; widział w nim potencjalnego „azjatyckiego Tito". Wcześniej Mao i inni komunistyczni przywódcy partii chińskiej zwracali się do Stanów Zjednoczonych z propozycją nawiązania stosunków, ale propozycje te zostały odrzucone (Amerykanie długo nie mogli sobie tego wybaczyć). Jednakże również Tao Tse-tung miał podstawy by wątpić w przyjazne intencje Stalina. Generalissimus na przykład polecił Pekinowi płacić za broń dostarczaną żołnierzom chińskim walczącym w Korei, choć wojna ta, jak próbowali tłumaczyć Chińczycy toczyła się w obronie całego obozu socjalistycznego.

Po śmierci J. Stalina, Pekin zaczął dążyć do rozluźnienia związków z Moskwą, aby uzyskać większą niezależność w dziedzinie ideologicznej, jak i polityki. W 1954 r. N. Chruszczow wyszedł naprzeciw tym dążeniom, nakazując wycofanie radzieckiego garnizonu z Portu Arthura oraz zmniejszenie wpływów gospodarczych ZSRR w Sinciangu. W zamian za to uzyskał poparcie Mao dla własnej pozycji w ZSRR. Wkrótce jednak, gdy wynikł kryzys tajwański (1958 r.), Chruszczow popadł w niełaskę Pekinu. Mao odwołał się do tych postanowień układu, w których była mowa o obowiązku udzielania przez jedną stronę drugiej stronie pomocy wszelkimi możliwymi środkami, a zatem również poprzez udostępnienie lub użycie broni nuklearnej. Chruszczow odpowiadając na to zażądał przystąpienia Chin do Układu Warszawskiego i podporządkowania armii chińskiej wspólnemu dowództwu. Mao tę propozycję odrzucił.

W rzeczywistości główną przyczyną rozchodzenia się dróg między obydwoma krajami stawały się różnice ideologiczne, oraz antyradziecka polityka Chin. Mao Tse-tung coraz bardziej schodził na pozycje lewackie wysuwając teorie i dokonując eksperymentów, które na długie lata wprowadziły rozłam w komunistycznym ruchu międzynarodowym, a bezpośrednio w Chinach spowodowały ogromne straty, zwłaszcza gospodarcze. Już po zakończeniu etapu socjalistycznych przeobrażeń całej gospodarki kraju, Mao wyolbrzymiał przeciwieństwa klasowe i przeceniał groźby odradzania się kapitalizmu, by poszerzać walkę klasową. Błąd ten został w następnych latach rozdmuchany przez Lin Piao i „bandę czworga", które usiłowały wprowadzić, jak dziś określa się w Chinach — „feudalno-faszystowską dyktaturę". Ogłaszając zaś teorię o istnieniu „trzech światów", według której ZSRR znajdował się w fazie ekspansjonizmu, a USA w defensywie, Chiny Mao Tse-tunga uznały za konieczne jednoczenie się całego świata w walce przeciwko socimperializmowi. Sam zaś Pekin, w sposób jawny lub skryty wszczynał wiele konfliktów, o charakterze ekspansjonistycznym: w Indiach, Indonezji, Birmie, Tajlandii, Malazji i na Filipinach, a także wystąpił zbrojnie przeciwko Wietnamowi i wspierał ludobójczy reżim Pol Pota w Kambodży.

Już od dawna, przynajmniej od III Plenum KC KPCh w 1978 r., nie spotyka się w prasie chińskiej oskarżeń ZSRR o rewizjonizm. Dziś wiele z tych zarzutów, jakie niegdyś Chiny wysuwały przeciwko Związkowi Radzieckiemu, można by wytoczyć obecnemu kierownictwu w Pekinie; czyni to zresztą Enwer Hodża oskarżając Chiny, o podważenie podstawowych elementów doktryn Mao Tse-tunga. Nam jednak wydaje się rzeczą normalną, że Chiny coraz wyraźniej wkraczające na drogę podobną do tej, którą przechodził ZSRR, musiały doprowadzić do zgody między teorią i praktyką.

Pozostaje jednak Pekin — stanowi to główny przedział sporu między Chinami a ZSRR — przy swych oskarżeniach pod adresem ZSRR, o hegemonizm i ekspansjonizm. Kierownictwo KPCh twierdzi, że ZSRR po to tylko posługuje się hasłami o pokoju, odprężeniu i rozbrojeniu, by wywoływać rozbieżności i niezgodę między różnymi krajami. Dowody tego można rzekomo zauważyć w Europie, gdzie znajduje się centrum rywalizacji supermocarstw, ale też i w Azji Południowo-Wschodniej, w Azji Południowej oraz w Ameryce Łacińskiej. Pewną rolę w zatargu chińsko-radzieckim odgrywają również odmienne poglądy na sprawę terenów granicznych. ZSRR niezmiennie reprezentuje stanowisko, według którego żadne kwestie terytorialne, w stosunkach między obydwoma krajami nie istnieją.

Aby złagodzić spór z Chinami, ZSRR wielokrotnie przedstawiał pod adresem Pekinu różne inicjatywy. Np. w 1971 r. Związek Radziecki wysunął propozycję zawarcia układu o wzajemnej rezygnacji z użycia siły, a w dwa lata później przedstawił projekt układu o nieagresji. Pekin odrzucał każdą propozycję, tłumacząc się, że nadal obowiązuje układ o wzajemnej współpracy zawarty w 1950 r. Gdy w kwietniu 1979 r. Chiny podjęły decyzję o nieprzedłużaniu tego układu (jeśliby nie wypowiedziały układu na rok przed upływem jego ważności, byłby on automatycznie przedłużony na następne pięć lat), ZSRR wystąpił z propozycją przeprowadzenia rokowań na temat opracowania zasad stanowiących podstawę stosunków między obydwoma państwami.

Rokowania rozpoczęły się w listopadzie tegoż roku. Wszystko też wskazywało, że do kwietnia 1980 r., tj. do terminu, w którym wygaśnie układ o wzajemnej współpracy, uda się przygotować projekt „deklaracji zasad" dotyczących przyszłego kształtu stosunków między obydwoma krajami. W trakcie jednak rokowań doszło do znanych wydarzeń w Afganistanie — dla Chin był to powód do zerwania rozmów i wystąpienia z nowymi oskarżeniami pod adresem ZSRR.

W okresie napiętych stosunków rozwijała się jednak między obydwoma krajami współpraca w handlu, wymiana naukowa techniczna, i kulturalna, a także regularnie prowadzono rozmowy na temat żeglugi śródlądowej na wodach granicznych. ZSRR nieustannie też prowadził operację wyciągniętej ręki wobec Pekinu: parokrotnie wysuwał propozycje rozpoczęcia rozmów. Mimo iż Chiny nadal prowadziły ofensywę propagandową przeciwko ZSRR (jak podały gazety radzieckie tylko w ub. roku ukazało się w chińskich wydawnictwach prasowych 2500 pozycji z oskarżeniami pod adresem Związku Radzieckiego), to jednak uważni obserwatorzy tu i ówdzie dostrzegali systematyczne zmiany w stanowisku Pekinu. Oto w jednym z artykułów zawarte było zdanie: „Epoka Breżniewa jest okresem stałego przechodzenia od napięć i niepokojów, do stosunkowej stabilizacji, nastąpił dość znaczny rozwój produkcji pozwalający na wzrost stopy życiowej", oto w innym artykule można było wyczytać stwierdzenie na temat socjalistycznego charakteru systemu radzieckiego. Wraz z tymi wiele znaczącymi w chińskiej dyplomacji gestami, nadeszło zaproszenie do radzieckich sportowców (po raz pierwszy od 16 lat), w Pekinie zorganizowano sympozjum z udziałem radzieckich ekonomistów, w czasie którego chwalono radziecki model sterowania gospodarką, politycy poczęli wzywać do rozszerzenia badań nad ZSRR oraz zachęcać do nauki języka rosyjskiego, a równocześnie Chińczycy podjęli pewne kroki, mające na celu rozszerzenie współpracy z innymi krajami socjalistycznymi.

Znamienny również był w swej treści artykuł jaki ukazał się w „Prawdzie" (20 maja br.). W artykule tym po raz pierwszy organ KC KPZR dał pośrednio do zrozumienia, że rewolucja kulturalna jest już tylko złym wspomnieniem, że maoizm umarł i Chiny de facto powróciły do obozu socjalistycznego.

Ostrożne chińskie kroki w kierunku złagodzenia napięcia w stosunkach ze Związkiem Radzieckim znalazły właściwą reakcję w przemówieniu Leonida Breżniewa wygłoszonym w marcu br. w Taszkiencie. Propozycje Breżniewa obejmowały szerszy krąg zagadnień niż wszystkie poprzednie inicjatywy, a poza tym nie zawierały żadnych warunków wstępnych. Chiny nie odrzuciły tych propozycji, a jedynie ustosunkowały się krytycznie do uwag dotyczących ich polityków. Ziarno posiane przez przywódcę radzieckiego wkrótce wypuściło korzenie. Zachodni sinolodzy studiując tę radziecką inicjatywę i zestawiając fakty odnoszące się do stanowiska radzieckiego wobec Pekinu, orzekli że Chiny stały się jednym z priorytetów polityki zagranicznej ZSRR, na równi ze sprawami ograniczenia zbrojeń strategicznych w świecie.

W początku br. chińskie kierownictwo partyjne i rządowe odbyło ważne doroczne posiedzenie na temat polityki zagranicznej, i podjęło decyzje o poczynieniu pewnych ograniczonych, taktycznych posunięć, w celu polepszenia stosunków z ZSRR w niektórych dziedzinach, a głównie w sferze gospodarczej. Pekin ma wiele powodów po temu, aby starać się o ustalenie zasad współistnienia z sąsiadem. Zresztą nawet w okresie dużych napięć we wzajemnych stosunkach, Chiny zawsze wiele robiły, aby to napięcie nie przekraczało pewnych granic i nigdy nie odżegnywały się od delikatnego zbliżenia z ZSRR. W grę wchodzi tu kilka motywów.

Po pierwsze — Pekin bierze pod uwagę pobudki czysto gospodarcze. Pozostawanie przez długi okres w stanie konfrontacji z ZSRR odbija się ujemnie na stanie ekonomiki państwa; pozbawia to budżet funduszów, które można by przeznaczyć na modernizację gospodarki.

Po drugie — Chiny bardzo pragną odzyskać swobodę działania w polityce zagranicznej. Mogą to osiągnąć jedynie poprzez przesunięcie akcentów w stosunkach z Moskwą i Waszyngtonem. Jest sprawą nader jasną, że Pekin rozdrażniony polityką Reagana wobec Tajwanu, pragnie wycofać się ze zbyt ścisłych związków z USA; uważa, że korzyści płynące ze współpracy z Waszyngtonem w zasadzie zostały już wyczerpane.

Po trzecie — w okresie panowania Mao Tse-tunga pozycja Chin wśród krajów rozwijających się została mocno osłabiona. Odzyskując niezależną pozycję wobec obydwu supermocarstw i balansując między dwoma „hegemonistami", Chiny chciałyby przewodzić Trzeciemu Światu.

Choć wiele skłania Pekin do dialogu z ZSRR, to jednak wie on, że rozmowy te musi prowadzić z pozycji słabości; wbrew oczekiwaniom Zachód nie poszedł na dalszą współpracę z Chinami, a sytuacja wewnętrzna zmusza do stworzenia bardziej stabilnych warunków dla realizacji celu nr 1 — modernizacji gospodarki.

Partner w dialogu — ZSRR, w pełni dostrzegł i docenił rysujące się po raz pierwszy od wielu lat możliwości poprawy stosunków z Chinami. Ale Związek Radziecki stawia sobie bardziej dalekosiężne cele niż jego sąsiad. ZSRR dąży do fundamentalnej poprawy stosunków, operując kategoriami strategicznymi. Dyplomacji radzieckiej nie chodzi o zwykłą współpracę, a tylko o taką, która miałaby na względzie ogólny interes państw socjalistycznych i ich sytuację w świecie.

Po pierwszej rundzie rozmów chińsko-radzieckich w Pekinie, Teng Siao-ping oświadczył, że nie należy oczekiwać żadnej zasadniczej zmiany w stosunkach między obydwoma krajami **„dopóki Moskwa nie podejmie działań w celu rozwiązania otwartych kwestii"**. Te kwestie otwarte, to zwiększona liczebność radzieckich wojsk i wyrzutni rakietowych wzdłuż granicy z Chinami, obecność wojsk radzieckich w Afganistanie oraz poparcie ZSRR dla polityki Wietnamu w Azji Południowo-Wschodniej. Według „przecieków" kolportowanych wśród korespondentów zagranicznych w Pekinie, ZSRR wyraził gotowość ograniczenia liczby swych wojsk na granicy z Chinami, natomiast odmówił rozważenia sprawy wojsk radzieckich na terytorium Afganistanu, uznając że ta kwestia nie dotyczy stosunków chińsko-radzieckich. Podobnie delegacja ZSRR miała oświadczyć, że nie będzie poruszać sprawy wojsk wietnamskich w Kampuczy, ponieważ jest to problem dotyczący państw trzecich.

Metoda podwójnego podejścia wobec ZSRR — pod względem strategicznym, Chiny wyrażają sprzeciw wobec polityki zagranicznej ZSRR określając ją mianem „hegemonistycznej", zaś pod względem taktycznym dążą do osłabienia napięcia we wzajemnych stosunkach — jest konsekwencją przyjętej na niedawno odbytym XII Zjeździe KPCh zasady niezależnego charakteru polityki zagranicznej i zasady niewiązania się z żadnym mocarstwem czy blokiem. Omawiając interpretujący tę zasadę artykuł, który ukazał się w październikowym numerze dwutygodnika „Liaowang", korespondent PAP w Pekinie Ludwik Mysak pisze:

„Autor krytykuje podejście niektórych samozwańczych sinologów, którzy rozpatrują sprawy z punktu widzenia polityki mocarstwowej lub supermocarstwowej i uważają, że słabsze państwa muszą dziś opierać się na silnych, czyli w praktyce na supermocarstwach, gdyż inaczej nie będą w stanie przetrwać. Kiedy Chiny miały (uwaga — czas przeszły) napięte stosunki z ZSRR, przepowiadali oni, że Pekin będzie musiał liczyć na ochronę ze strony amerykańskiego „parasola" i zdać się na łaskę USA. Gdy w stosunkach USA — ChRL pojawiły się kłopoty, przepowiadali oni, że Chiny będą musiały wrócić na stronę ZSRR i liczyć na jego pomoc w konfrontacji z USA. Ich przepowiednie okazały się w praktyce bynajmniej nie mądrzejsze, niż tych co wróżą z kart".

Chiny od dawna nie wspominają o współpracy strategicznej i obronnej z USA, uważanej jeszcze dwa, trzy lata temu za kamień węgielny stosunków chińsko-amerykańskich. Przeciwnie — jak nigdy pozwalają sobie na oficjalną, personalną krytykę prezydenta Stanów Zjednoczonych i innych polityków amerykańskich.

Chiny rzeczywiście chcą stworzyć „trójkąt równoramienny" w stosunkach Pekin — Moskwa — Waszyngton. Ale czy biorąc pod uwagę ich skromny potencjał gospodarczy i militarny, mogą być dla supermocarstw równorzędnym partnerem?

Prostych pytań dotyczących stanowiska Chin w dzisiejszym świecie jest wiele. Nie ma tylko prostych odpowiedzi. Niezmiernie też trudno przewidywać jakie będą rezultaty chińsko-radzieckich rozmów. Fakt że one trwają i że zanosi się na postęp daje jednak realne podstawy do nadziei na przyszłe zbliżenie Chin do państw socjalistycznych.

Foto.: Piotr Jaskow

„Kiedy obrabowali złoczyńcy...”

KRZYSZTOF SPYCHALSKI

Dla mnie proszę pana, to mogło oznaczać śmierć. Przeżyłem 5 lat hitlerowskich więzień i obozów, ale wówczas pomyślałem — jeśli ukradli korony, na pewno nie przeżyję...

Siedemdziesięcioletni proboszcz ksiądz Władysław Sarnik mówi powoli, starannie akcentując słowa. Wciąż czuje ciężar tamtego ranka. Zna treść goryczy i chyba wie, że słowa — choć najdokładniej dobierane — mogą zdewaluować pojęcia doznań, uronić najcieńsze z przeżyć. 43 lata temu, kiedy był na szóstym roku seminarium zaczął się koszmar. W Charłupi od trzydziestu lat poszukuje spokoju, a przede wszystkim swojego spełnienia. To, co stało się w ostatnią tegoroczną wrześniową noc mogło zakończyć już wszystko. W czasie całego probostwa nigdy nie miał tygodnia urlopu... Dwadzieścia trzy tomy kazań, dziesiątki zapisanych notatkami brulionów, trochę własnych obrazów, starannie wypielęgnowany ogród — to wszystko, co ma ze swojej pracy intelektualnej i tej całkiem fizycznej. Nieuchwytnej słowami części jego osoby ktoś niedawno chciał go pozbawić.

Kościół — choć murowany — jest mały, tak jak mała jest Charłupia Mała, wieś położona blisko Sieradza. Wybudowany w drugiej dziesiątce lat naszego wieku przez architekta Szyllera na miejscu dawnej drewnianej świątyni, od czerwca zeszłego roku stał się obiektem drugiego włamania. Cel włamywaczy pozostał ten sam — obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem, namalowany na desce i płótnie prostokąt o wymiarach 104 na 86 centymetrów. Tym razem sprawcy wykradli 10 cennych wotów, wśród nich 4 ozdobione kamieniami, między innymi sporym rubinem. Zabrali też kilkanaście sznurów bursztynów i korali.

Obraz był i jest podwójnie zabezpieczony. Pierwszą zasłonę stanowią dwie tęgie drewniane frontowe płyty, które rozsuwają się na boki poruszane specjalną korbą przemyślnego mechanizmu. Korba ta zwykle przechowywana jest w skarbcu zakrystii. Była tam też owej nocy. Płyty ochraniają obszerne, zdobne w aksamit i mniej cenne wota, retabulum środkowej części ołtarza. Obraz umieszczony jest w ogniotrwałej 700 kilogramowej opancerzonej szafie, która znajduje się w centralnej części retabulum. Ma ona własne, niezależne zabezpieczenie. Zasłania ją stalowa płyta poruszana napędem elektrycznym. Rozrusznik napędu, podobnie jak korbę, kryje skarbiec zakrystii. Najcenniejsze wota znajdowały się w tle obrazu. Znaczna ich część jest tam do dziś.

Ksiądz Sarnik nie bardzo wie, jak przeprowadzić tę rozmowę. Jest zasmucony i raczej nieufny. Nie wie czy uda mu się przekonać nieznajomego, że tego wszystkiego nie można sprowadzić do płaszczyzny gazetowego kryminału z sobotniego wydania. Tak, jak rzecz niedawno — wspomina z niechęcią — potraktowano w warszawskiej gazecie. Dla niego — poza religijnym — ma to aspekt moralny i kulturowy.

— Obraz ten jest przykładem sztuki gotycko-renesansowej z XVII wieku. Czas jego powstania mieści się w latach 1615—1630. Myślę, że mamy tu do czynienia z cechowym malarstwem regionu Sieradza. W Warcie znajduje się drugi, podobny do tego. Pod względem ikonograficznym obraz zalicza się do typu Madonny Częstochowskiej. W prawej ręce Matki Bożej malarz umieścił berło. Szaty obu postaci pokryte są srebrnymi blachami. Wszystko to bardzo dokładnie wykonane, dobry warsztat... Mieszczący obraz ołtarz główny jest dziełem profesora Zina. Koncepcja ołtarza stwarza właściwe środowisko dla obrazu.

Z zaciekawieniem słucham wywodu, który na pierwszy rzut oka niezbyt przystaje do podstarzałej sutanny. Inaczej, niż rozstawione przy ścianach dużego pokoju regały. Książki, obrazy i chłód przywodzą skojarzenia starej książnicy. Zaczynam rozumieć, że regały więcej, prawdziwiej mówią o moim rozmówcy, niż ta sutanna. Zresztą, może tak, jak pewien szczególny rodzaj ludzkiej powierzchowności wynika z bogactwa życia wewnętrznego, tak ta księżowska sukienka ze zgromadzonych tu książek. Może tak jest...

— Dzieje tej wioski związane są od wieków z Sieradzem. Partycypują niejako w jego dolach i niedolach. Ziemia ta wciąż narażona była na różne kataklizmy — wojny, przemarsze wojsk. Byli tu tatarscy, krzyżaccy, szwedzcy najeźdźcy. Po przejściu Szwedów w 1705 roku cały Sieradz i dwie przyległe wioski liczyły dwieście siedemdziesiąt osób. Przed naszym kościołem może pan zobaczyć kopiec, który na grobie swojego wodza usypali Szwedzi. Myślę, że z niedoli tego terenu wywodzi się kult Matki Bożej. W 1937 roku został on ugruntowany dekretem Stolicy Apostolskiej. Wówczas to postanowiono o uroczystej koronacji obrazu. W obecności innych biskupów, prowadził ją ks. bp Karol Radoński. W uroczystości uczestniczyło jakieś 100 000 wiernych. Kiedy rano dowiedziałem się o kradzieży, lęk o te korony najbardziej mnie sparaliżował. One się jednak ostały... W czasie koronacji — w momencie nakładania koron — as ówczesnego lotnictwa mjr Stanisław Skarżyński zrzucił z samolotu na ołtarz dużą wiązankę biało-czerwonych kwiatów... Major zginął w czasie wojny, biskup Radoński, zaraz po jej zakończeniu z Sieradza do Charłupi drogę do obrazu przeszedł piechotą...

— W ciągu wieków obraz obdarowywany był przeróżnymi wotami. Drogie, na przykład, rubiny dawały dwory. Lud składał bursztyny, korale, paciorki. Ciekawa jest historia dwóch — umieszczonych obok koron — haftowanych srebrem orłów. Otóż, w 1863 roku miały tu miejsce silne walki powstańcze. Powstańcami dowodził Józef Oksiński. W tym czasie, właścicielem niewielkiego majątku ziemskiego w Charłupi był stryj generała Józefa Bema, Jakub Bem. Nieletni syn Jakuba, Julek w 1864 roku uciekł do powstania. Wkrótce znalazł się w niewoli. Jakub na intencję powrotu dziecka powiesił w tle obrazu dwa orły, które zdjął z wojskowego sztandaru. Julek wrócił i — jak opisał z kolei jego syn Włodzimierz — wezwany przez ojca, na dywanie dostał 15 batów. To były oczywiście pierwsze okruchy ojcowskiego gniewu, przedsionek rodzicielskiego szczęścia można powiedzieć... Były darowizny, ale były i kradzieże. Obraz z wotów okradli już żołnierze Napoleona. Hitlerowcy kościół ograbili doszczętnie, ale obraz w sposób niewytłumaczalny ostał się razem z wotami. Odkąd tu jestem, ostatnia kradzież była już drugą. W pierwszym wypadku, w czerwcu tamtego roku włamywacze dostali się do wnętrza po przepiłowaniu ram okiennych od strony zakrystii. Usiłowali dostać się do szafy obrazu. Wówczas okazało się to niemożliwe. Zabrali jedynie z gablot ściennych prezbiterium kilkanaście sznurów bursztynu i korali oraz kilkaset złotych z rozbitych skarbonek. Sprawców nie wykryto....

Włamanie sprzed kilkudziesięciu dni pierwszy zauważył kościelny. Była 6.30. Milicję powiadomił proboszcz. Nie minęła godzina, kiedy wóz milicyjny był na miejscu. Włamania dokonano przy pomocy żelaznych łomów i drabiny. Noc była widna. Do kościoła intruzi dostali się po wybiciu witraża okna prezbiterium. Nie mogąc otworzyć skarbca zakrystii, do wnętrza ołtarza dostali się przy użyciu łomów. Na szerokość 80 cm udało im się rozsunąć frontowe płyty. W dolnej części zaplecza ołtarza oderwali część deski. Wąską szczeliną dotarli do koła obrotowego mechanizmu uruchamiającego stalową osłonę. Płytę, którą silnik elektryczny uchyla w ciągu 10 minut opuścili ku dołowi o jakieś 20 cm. Przestrzeń ta umożliwiła im zdjęcie z tła obrazu tylko tego, co w zasięgu ręki było stosunkowo luźno zawieszone. W ten sposób ocalały korony i wiekowe sukienki Madonny i Dzieciątka. Włamywacze odrzucili niektóre z wotów, m.in. srebrny haft jednego z orłów.

Niedawno zaplecze ołtarza opancerzono grubymi blachami. Mechanizmy przesuwowe zablokowano kolejnymi zamkami. Włamanie wywołało olbrzymie poruszenie w parafii. Łzy, które widziałem w niejednych oczach nie były na pokaz. Nocami przy kościele straż trzymają teraz dwuosobowe warty parafian. Kto okradł, nikt nie wie. Milicja prowadzi śledztwo. Do wsi przyjeżdża wielu nieznajomych, zwłaszcza w niedzielę — specyfika podmiejskiej parafii. Sporo się teraz w Charłupi wieczorami mówi o dwóch obcych, którzy kilka dni przed włamaniem niespodziewanie wtargnęli do kościoła w czasie przygotowań do bierzmowania. O tych i drugich, którzy na prefekta wieczorem czatowali, bo pijanych z kościoła wyprosił. Niektórzy mówią, że ci ostatni byli z Sieradza, inni nie mają pewności, bądź w ogóle swojego zdania.

— Oni nie byli stąd — głos proboszcza przepaja poczucie pewności; później, gdy ogólnie będzie próbował określić to co się stało, słowa znów wolno wyłaniać się będą z zadumy.

— Nikt z Charłupi by tego nie zrobił. Włamywacze musieli jednak tu bywać, bo obraz znali. Wiedzieli co gdzie się mieści. To nie mogli być ludzie młodzi, jacyś przypadkowi chuligani. Sprawcy znali się na mechanice, wiedzieli też, które wota są cenne. Próbowali przecież ukraść korony... To włamanie ma charakter wybitnie rabunkowy. Oni niczego nie dewastowali. Witraż na przykład rozbili na tyle, by wejść do kościoła. Ołtarza nie naruszyli. Widać mieli w sobie jakiś przesąd... Coś, jakaś siła ich przed tym powstrzymała. Nie, to nie mogła być wiara, ktoś kto wierzy nie ograbiłby świątyni. To właśnie przesąd, lęk... Takie historie, kradzieże... To problem społeczeństwa, które weszły na margines przestępczości. Myślę, że efekt uznania pieniądza za najwyższą wartość. W zeszłym roku obrabowano kościół koło Kalisza. Sprawcami okazali się synowie lekarzy, inżynierów. Oni nie poszli kraść z biedy. To rodzaj społecznego zwyrodnienia, bo przecież mają takie kradzieże aspekt kulturowy. Co można powiedzieć o człowieku, który zdobne historyczne wota zamierza przetopić na jubilerski złom — inaczej ich przecież nie sprzeda. Takie czyny biją najpełniej właśnie w człowieka, w wyznawane generalnie przez niego wartości moralne i jego kulturę. Kiedy nie wierzy się już w nic, gdy sens traci nawet pojęcie humanizmu, takie rzeczy stają się możliwe...

Ksiądz Sarnik oprowadza mnie po kościele. Jest cicho. Część wot została już uzupełniona nowymi darami. Obita deskami wyrwa w kolorowym witrażu sprawia niemiłe wrażenie. Nieodparcie ciśnie się pytanie: czy poza tymi zabezpieczeniami: pancerną szafą, stalową i drewnianymi płytami, poza kratami w oknach zakrystii nie przydałyby się jakieś czujniki, może psy biegające wokół kościoła?

— Alarmy, czujniki? — proboszcz idealnie trafia w myśl. *— Przecież pan wie, że dla fachowca to żadna sztuka. Z nami też oprawić się nietrudno.*

Z pisma wojewódzkiego konserwatora zabytków z dnia 5 października: *„Po dokonaniu inspekcji stwierdza się, że w zakresie zabezpieczenia dóbr kultury znajdujących się w kościele nie znaleziono uchybień...”.*

Z XI Zeszytu Notatek księdza Sarnika: *„Kiedy obrabowali złoczyńcy Obraz Matki Boskiej Charłupskiej, wśród ludzi nastąpił wstrząs. Wielu płakało...”.*

■

Złoty poród

JAN WIDLAK

Pani Amelia K. siedziała samotnie przy oknie, patrząc smętnie swymi marzycielskimi niebieskimi oczyma na miękko padający śnieg. Była kobietą wrażliwą, nieomal romantyczną, uległą mężowi, przeto po głowie snuły się jej przeróżne myśli o bohaterskich czynach. A to chciałaby wygrać w totolotka, ubrać się niczym jakaś dama z amerykańskich filmów i stanąć w całej okazałości przed mężem, żeby osłupiał, a to wyrwać spod kół pirata drogowego małą dziewczynkę i wystąpić w telewizji, wcisnąć kit mężowi, że jedzie do siostry, a prysnąć cichcem na Capri i przeżyć wielki romans.

Twarz Amelii obiekł wyraz posępnego rozgoryczenia. Nic z tych rzeczy. Mąż był realny jak słup telegraficzny za oknem, przyziemny wielce i straszny ciułacz, co to bez przerwy myśli o rybkach, grzybkach i wymarzonym maluchu w barwie bahama yellow.

Nagle twarz samotnej Amelii drgnęła, a w oczach jej zagościł blask. Oto z czeluści ulicy, osypane płatkami śniegu, wyłoniły się trzy kobiety. Jedna była niskiego wzrostu, szczupła, w krótkim kożuszku, spodniach i czarnych butach, w kraciastej wełnianej chustce na głowie, druga zaś wysoka, także szczupła, śniada, z kościstą twarzą, o wiele starsza, ubrana w czapkę z lisa, brązowy płaszcz ze skaju i kozaczki. Prowadziły z wysiłkiem tę trzecią, średniego wzrostu, ubraną w długi kożuch z podpalanym kołnierzem i kapelusik z czerwonej włóczki.

Amelia wstała podekscytowana. Ach, jakże te kobiety są wspaniale ubrane! A ona... Nie, precz zawiści! Przecież ta trzecia niemal pada, słania się na nogach, biedaczka. Trzeba się zdobyć na jakiś heroiczny czyn, ratować ludzkie życie.

Chciała wybiec, lecz wzruszenie przykuło ją do miejsca, a kobiety jakby wyczuły jej intencje i skierowały się w jej progi. Patrzyła roziskrzonym wzrokiem na te śniade twarze, ciemne włosy przyprószone śniegiem, i na tę trzecią mocno pobladłą, jasnowłosą, z rozdętym brzuchem i wykrzywionymi cierpieniem ustami, i całkiem oszołomiona słuchała z radością owej śpiewnej, miękkiej, słowiańskiej mowy, co przypominała jej wyzwolenie.

— Poratuj, kobieto! Wody zagrzej! — usłyszała. — Ręczniki szykuj!

— Jezu! Co się stało?

— Ta towarzyszka będzie rodzić.

— To może wezwać pogotowie?

— Nie trzeba, my po swojemu przyjmiemy.

Nastawiła wodę, a tamte rozłożyły na kanapie blond — towarzyszkę, która po chwili przestała jęczeć. Uniosła się, z twarzy jej zniknęło cierpienie.

— Chaliera, chyba przeszło. — powiedziała.

Ta najwyższa zaczęła się pieklić po rosyjsku, tak na mać i jeszcze grubiej. Amelia stała przy kuchni patrząc na nią osłupiałym wzrokiem, a w czajniku zaczynało już bulgotać.

— Nic z tego nie rozumiem — wyszeptała.

— Czort by pojął! Ma już trzeci atak i nic...

— Przedwczesny alarm, z nią tak zawsze. Za dwa dni znowu zacznie...

— A skąd panie się tu wzięły? — spytała zaintrygowana Amelia.

— Ze Związku Radzieckiego, turystycznie. Przyjechałyśmy z mężami, ale oni polską wódkę smakują, dranie — wyjaśniła ta z końską twarzą, co zasuwała po rosyjsku.

— I jak tam u was? — indagowała pani Amelia.

— A co, telewizji nie oglądacie? Dobrze! A u was płocho, głodno, to my przywiozły mięso i wsparły głodujących.

— Ale zmarzły my też, nie powiem — stwierdziła blondynka, co straszyła towarzyszki porodem. — Czaju by się napić nam trzeba.

Amelia w mig przyrządziła herbatę, zaczęły sączyć, smakować i zaraz się rozgrzały.

— Polska gościnna — orzekła Rosjanka w chustce wełnianej. — Wypada się odwdzięczyć, nie?

— To się wywdzięcz! Nam śpieszno odjeżdżać!

— Jak odjedziesz bez benzyny? Złotówek zabrakło...

I wtedy Rosjanka wyciągnęła chusteczkę i wyjęła z niej trzy złote obrączki.

— Złoto piętnastokaratowe — mówi — syberyjskie.

Amelia wpatrzyła się w te obrączki z zawiścią, nadzieją i nieufnością zarazem. Rosjanka wysupłała z chustki nitkę, przywiązała obrączki, postukała nożykiem. Zadzwoniło jak sygnaturka...

— Dobre złoto, cechowane — mówi turystka.

— A po ile? — pyta rozgorączkowana Amelia.

— Jak po waszych pieniądzach, to 2 tysiące gram. Jedna obrączka 5 gramów, więc pójdzie za dziesięć.

Amelia znała arytmetykę, ale nie miała 30 tysięcy złotych. Nie mogła się jednak powstrzymać przed zrobieniem cudownej siurprzyzy mężowi.

— Chyba nie wezmę — orzekła z przykrym zawodem — mam tylko 25 tysięcy.

Blondynka rzuciwszy się na kanapę jęła straszliwie jęczeć.

— Zdenerwowała się odmową, znowu będzie rodzić — stwierdziła z zimną krwią turystka w krótkim kożuszku. — I pewnie zlegnie tu na amen, bo nie ma benzyny na podróż.

— Trudna rada, dołożę to — rzekła druga, kładąc na stole złoty pierścionek z zielonym oczkiem.

— Dam dwadzieścia dwa — powiedziała Amelia.

— Aaaa! — zawyła strasznie rodząca.

— Zgoda — powiedziała turystka w długim kożuszku. — Ale na pamiątkę dorzuć pani kapę i parę ręczników, bo z tekstyliami w naszym obwodzie krucho.

Zadowolona z transakcji Amelia dołożyła turystkom paczkę masła, żeby sobie zrobiły kanapki na drogę, i czekała z niecierpliwością na powrót męża. A gdy ten zjadł obiad, stanęła z tajemniczą miną przy stole.

— A ja mam coś dla ciebie, aha! — zaszczebiotała.

— Na pewno jakiś wspaniały pomysł, co?

— A żebyś wiedział! Załatwiłam ci małego fiata — rzekła z dumą i położyła przed nim nabytą biżuterię.

— To ma być fiat? — Czy ty jesteś choinka, żebym cię obwieszał błyskotkami? Jezus Maria, zapożyczyła się na pewno?

— Wzięłam nasze 22 tysiące i kupiłam to od rosyjskich turystek. Można sprzedać za 45 tysięcy...

Mąż zaczął stukać widelcem w złoto, macać, nadgryzać te obrączki.

— Co ty? Nie wierzysz turystom z kraju przyjaznego?

— A ty zaglądałaś im do paszportów?

— Mówiły po rosyjsku!

— Słuchaj, ja się nie powieszę. I nie zabiję cię od razu. Ale ty leć rano do jubilera, dobrze?

Niewyspana Amelia pognała do jubilera, ten zbadał to złoto i mówi:

— Tak, cechowane. Znakomity tombak. A oczko ze szkła...

— Pan kłamie, żeby mnie okpić! — jęknęła Amelia.

— To leć pani tam, gdzie udowodnią każdą prawdę!

Amelia udała się do Komendy, gdzie oficer wysłuchawszy ją cierpliwie, pokazał jej dwa zdjęcia, na których rozpoznała swoje turystki. I potem u tych turystek narodowości cygańskiej znaleziono kapę, ręczniki, trochę czeskiej biżuterii dla głupich i naiwnych, banknoty studolarowe, zadrukowane z jednej strony, nadszarpnięte 22 tys. zł oraz sztancę do wybijania cech.

Jedna z turystek miała za sobą już sześć wyroków. Wędrowały sobie po kraju bez mężów, bo żyły w separacji albo w konkubinacie, jedna miała porzuconą trójkę drobiazgu. Jedna wyszła z więzienia, krewni przyjęli ją z chorym dzieckiem, w dniu transakcji ucztowała na urodzinach kuzyna. Druga nie miała kożucha, nie farbowała włosów, ale była wypchana i nie mogła urodzić. Trzecia była analfabetką, przejeżdżała tylko taksówką koło domu Amelii, a tak to żyła z handlu i wróżenia w hali targowej.

Okazuje się, że nie należy nabywać złota przy porodzie, i że dopiero po stracie pieniędzy fałszywych przyjaciół poznaje się w biedzie. Ze zdjęcia...

■

Bożena Rogalska, Lidia Duda, Marek Kalita.
Foto: WITOLD GÓRKA

Prapremiera w Teatrze im. Jaracza

Co stać się może tam...

Poemat dramatyczny BOLESŁAWA LEŚMIANA pt. „ZDZICZENIE OBYCZAJÓW POŚMIERTNYCH", którego książkowe wydanie zapowiadała już przeszło czterdzieści lat temu żona wielkiego poety, długo pozostawał nieznany. Nic więc dziwnego, że scenicznej prapremiery tego niedokończonego zresztą utworu oczekiwaliśmy z ciekawością spotęgowaną dodatkowo jego zgoła intrygującym tytułem.

„Zdziczenie obyczajów pośmiertnych" po raz pierwszy zaprezentowane na deskach MAŁEJ SCENY łódzkiego TEATRU IM. JARACZA nie zawiedzie entuzjastów poezji Leśmiana, zaś nadany temu dziwnemu i dziwnie pięknemu utworowi kształt sceniczny usatysfakcjonuje miłośników teatru.

Utwór ten wydaje się być szczególnie dojrzałym owocem wielkiego talentu Leśmiana. Trzy elementy strukturalne „Zdziczenia obyczajów pośmiertnych" splatają się w tym dziele w nader harmonijną całość: kunszt i uroda słowa poetyckiego, konstrukcja dramaturgiczna utworu i jego wywiedzione z ducha metafizyki nadrzędne przesłanie filozoficzne.

„Zdziczenie obyczajów pośmiertnych" jest utworem we wszystkich swych aspektach wielowarstwowym i wielozpacznym. Prosty aż zaskakujący jest pomysł fabularny. Powtórka z życia dokonywana przez duchy trzech osób rozegranego ongiś dramatu, o którym z jednej strony powiedzieć można, iż był dramatem banalnego w gruncie rzeczy trójkąta małżeńskiego, z drugiej zaś, że miał on wymiar niemal antycznej tragedii, przedstawia autor w sposób pozwalający na kilka co najmniej interpretacji owego faktu wyjściowego. Może on być bowiem odbierany wprost w tej pierwszej, najbardziej oczywistej i zrozumiałej warstwie niemal jako zachowany ponadfizyczny, materialny byt bohaterów obraz zdarzeń z ich życia, jako klasyczna rekonstrukcja ich dramatycznych i splątanych losów. W takiej bynajmniej przecież nie upraszczającej interpretacji ów sposób zawiązania akcji może być uznany za element wizji inscenizacyjnej autora, teatralnie prosty chwyt kompozycyjny, którym poeta bez uciekania się do postaci narratora osiąga sceniczny efekt retrospekcji. W innej interpretacji ta sama metoda ekspozycji dramatu staje się nie tylko jego elementem, ale i dodatkową, może nawet centralną osią, immanentnym problemem filozoficznym. Cmentarna powtórka z życia staje się więc dramatem trwającej ponad wszystkim (także ponad czasem) namiętności bohaterów. Namiętność ta będąc siłą sprawczą dramatu żywych ludzi jest tak silna, że nawet po ich śmierci nie tylko ożywia wygasłe sprawy i minione jednostkowe byty, nie tylko wzbogaca je o dodatkową świadomość motywów, o dojrzałość, której bohaterowie nie osiągnęli przed tragicznym finałem życia i o dystans do faktów już dokonanych, ale także każe sprawom w realnym świecie zakończonym rozwijać się i toczyć dalej, już poza granicą rzeczywistego, fizycznego bytu.

Cóż zatem jest silniejsze — zastanawia się Leśmian. Byt, w którym nie spełnia się tak jak pragnęliby tego bohaterowie ani miłość Krzeminy do męża Sobstyla, ani gwałtowne uczucie Marcjanny do męża Krzeminy, ani miłość Sobstyla rozdartego między dwoma kobietami, czy niebyt — nicość, w której stać się może wszystko?

„Zdziczenie obyczajów pośmiertnych" jest utworem niedokończonym, ale na tyle pełnym, by i nas nurtować poczęło to pytanie pozostawione bez odpowiedzi nie dlatego, że autor nie skończył dzieła, lecz dlatego, że odpowiedź na nie jest niemożliwa, że jego sensem jest pozostawanie w nas. Oczywistym elementem „Zdziczenia obyczajów pośmiertnych" jest dramat postaw etycznych. Oczywisty jest też zatem nakaz moralny, kategorycznie niemal formułowane przekonanie autora o wyłącznej wartości uczuć niekłamanych, pełnych, w których nie ma miejsca na egoizm i jakąkolwiek zachłanność, uczuć najpierw składanych w ofierze, a później, oczekujących wzajemności. Takimi właśnie uczuciami przepełnione są dwie kobiety, które żyją dla Sobstyla. Takich uczuć brakuje Sobstylowi, który pragnie ich obu mniej lub bardziej oszukując i żonę i kochankę. Słaby i niezdolny do niczego prowokuje zbrodnię. Gnie wraz z morderczynią jako wiłowajca i konieczność powtórnego przeżycia wszystkiego właśnie dla niego jest karą najcięższą. Morderczyni i ofiara tę powtórkę przeżywają jakby mniej boleśnie. One przez wieczność będą godzić się ze swym losem. On przez wieczność ukwić będzie na granicy szaleństwa bezskutecznie się przed nim ocaniąc.

Realizatorzy i wykonawcy „Zdziczenia obyczajów pośmiertnych" zaprezentowanego w Teatrze im. Jaracza nadali temu dziełu kształt niemal doskonały, a przyznać trzeba, że niełatwe to było zadanie. Reżyseria utworu urzeka wysubtilnowaną prostotą. BOGDAN HUSSAKOWSKI wydobył z poematu dramatycznego Leśmiana wszystkie jego warstwy i spektakl swój zbudował tak, by każda z nich była czytelna w organicznie skomponowanej całości. Zachowując zaledwie niuansową różnicę w rysunku postaci poprowadził je w spektaklu tak, by odmienność ich charakterów, postaw moralnych, psychik i motywów postępowania nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Scenografia GRZEGORZA MAŁECKIEGO z jednej strony dosłowna i niemal naturalistyczna, z drugiej zaś niemal odrealniająca miejsce akcji przyczyniła się do nadania spektaklowi klimatu i nastroju niezbędnego dla właściwej, pełnej interpretacji utworu.

Wyrazy prawdziwego uznania należą się trójce wykonawców, którzy z bardzo trudnych zadań wywiązali się doprawdy nienagannie. Dwa pierwsze miejsca przyznaję jednak paniom. BOŻENA ROGALSKA w roli Marcjanny pełnej namiętności i jakby dwojakiego żaru, innego za życia, innego w niebycie stworzyła kreację niezwykle interesującą, w której ujawniła szeroki wachlarz aktorskich środków wyrazu. Delikatna, krucha, pogodzona z bytem i niebytem Krzemina w interesującej interpretacji LIDII DUDY, która literackiej postaci przydała dwóch pierwszych z wymienionych tu walorów, obdarzona została przez aktorkę łagodną jeszcze dziewczęcością młodej żony. Ten element roli Lidii Dudy wydał mi się o tyle cenny, że stanowił on w postaci Krzeminy odpowiedź na inną dziewczęcość Marcjanny. Obie bohaterki dzięki takim interpretacjom aktorskim mogły być odmiennie, ale równie silnymi partnerkami. Interesująco, choć mniejszą już ilością barw nakreślił postać Sobstyla MAREK KALITA. Rola Sobstyla tylko pozornie wydaje się nieco mniej złożona, ale też i aktor zaledwie odrobinę mniejszą ilością tonów obdarzył swojego bohatera, zatem moja ocena jego udziału i miejsca w tym spektaklu jest także tylko trochę niższa.

„Zdziczeniu obyczajów pośmiertnych" wróżę zainteresowanie innych polskich scen. Teatrowi im. Jaracza w Łodzi gratuluję prapremiery tego bardzo ciekawego i pięknego utworu.

EWA PANKIEWICZ

MGLISTE PERSPEKTYWY TEATRALNEJ ŁODZI

Wiele pytań, mało odpowiedzi

Dokończenie ze strony 1

łódzkiej publiczności, dających się również wymierzyć po prostu ilością sprzedanych biletów.

Piszę ten artykuł w pośpiechu, może nie do końca przygotowany, czas — o czym również później — w pewnym sensie mnie nagli, warto by wszelako kiedyś opublikować brutalne zestawienie frekwencji nie tylko w poszczególnych teatrach, ale również na konkretnych przedstawieniach. Pewnym uzupełnieniem mogłaby być informacja, ile to numerów: „Dialogu", „Teatru", „Literatury", „Tu i Teraz", czy choćby „Życia Literackiego", sprzedaje się w Łodzi, ile zaś — dla porównania — „Motoru" czy „Przyjaciółki". Jedno współbrzmi jakoś z drugim, jedno drugie będzie zapewne potwierdzać, zanim ceny poszły gwałtownie w górę — wiadomo zaś, że w budżetach rodzinnych wydatki na kulturę z reguły jako pierwsze ulegają skreśleniu — szacunkowo np. obliczano, że autentycznych, przygotowanych do odbioru również trudniejszych spektakli teatromanów mamy w Łodzi gdzieś od 3 do 6 tysięcy. Resztę publiczności trzeba już „organizować", wabić do teatru, czy to łatwością i powszechną dostępnością dzieła, czy — bo i tak bywało — obnażonym biustem aktorki.

Swego czasu ratowały nieco sprawę rozliczne akademie — zresztą tylko statystycznie, bo w praktyce połowa „sprzedanej do cna" sali bywała po prostu pusta — nie mając ciekawszych zajęć stare związki zawodowe też lubiły wciskać ludziom darmowe, bądź pół darmowe bilety, wszystko to jednak sprowadzało się do pogodnego oszustwa w imię tak zwanych wyższych racji.

Było, przeszło, jest, jak jest, zaś z publicznością — prawdziwą, nie naganianą publicznością — jest co najmniej kiepsko. I dlatego rozbawienie człowieka ogarnia, gdy czyta w opracowaniu Wydziału Kultury:

„Podsumowując refleksje o Teatrze Jaracza nie można pominąć sprawy bardzo istotnej, a mianowicie niskiej frekwencji. Budzi ona w tym teatrze szczególny niepokój, ponieważ przejawy jej dobry poziom artystyczny i konsekwentnie określany program repertuarowy.

Jedynym wytłumaczeniem może być niepokojąca nieudolność organizacyjna, nieprawidłowe funkcjonowanie organizacji widowni i reklamy".

Nie wchodząc w to, czy organizacja widowni działa w Teatrze Jaracza dobrze czy licho (Kazimierz Dejmek marzył o sprzedawaniu biletów po prostu w kasie, rozsądnie uważając, że dobór przedstawienia należy pozostawić widzowi), właśnie podobne rozumowanie nazywam naginaniem faktów do przyjętej z góry tezy. Taka, powiedzmy, „Wielkanoc" jest z pewnością spektaklem ambitnym i interesującym, lecz już zaraz po premierze na łamach „Expressu" zauważyłem nieśmiało, że z publicznością może być kiepsko i rzecz zapewne lepiej sprawdzałaby się na Małej Scenie. No i wykrakałem, nawet autorzy opracowania przyznają, że frekwencja na „Wielkanocy" jest istotnie niska, dodając jednak niezłomnie: **„...lecz w tym wypadku nie wolno czynić z tego powodu zarzutu".**

PIRAMIDĘ BUDUJE SIĘ OD DOŁU

Nie wolno, a to dlaczego? Bardzo wysoko cenię Bogdana Hussakowskiego jako artystę, który ostatnio niemal samotnie broni honoru teatralnej Łodzi, nie dorabiajmy jednak — błędów. Nie usprawiedliwiajmy też obyczaju grania dla pustej sali, bo teatr zaczyna się wtedy, gdy jest aktor i widz, natomiast puste krzesła, czy nawet puste fotele, nijak nie poddają się artystycznej edukacji. Jeżeli przeto „Wielkanoc" istotnie wymagała dużej sceny, owego przestronnego pokoju z prześwitem na ogród, niechby była grana raz w miesiącu, „dla honoru domu" jedynie, spleciona z repertuarem bardziej popularnym, chociażby z utworami przeznaczonymi dla dziecięcego czy młodzieżowego widza.

Wszelako premier tego ostatniego rodzaju — co opracowanie też zresztą podkreśla — nie doczekaliśmy się właśnie w żadnym z teatrów, zaś stare bajki dogrywane przez Teatr Jaracza są akurat okropne, mimo dobrej tradycji z czasów poprzedniej dyrekcji. Potem prymat w tej mierze przejął Teatr Powszechny, lecz i on nie pokazał nam ostatnio niczego nowego, tracąc natomiast czas, energię i pieniądze na żenującego dramaturgicznie i myślowo „Szeryfa Brandy".

Pogódźmy się tedy wreszcie z faktami, choćby bardzo nawet miały być niemiłe, przestańmy bajać o ambicjach, tradycjach i wieloletniej pracy nad wychowaniem teatralnego widza, bo rzeczywistość skrzeczy, publiczności nie ma, a co gorsza tak naprawdę — przynajmniej na przedstawieniach trudniejszych — niemal nigdy nie było. I tu radzę państwu zajrzeć do zestawień opublikowanych na końcu książki Marii Czanerle „Teatr pokolenia" — przekonacie się wtedy, ilu widzów obejrzało spektakle, które Teatrowi Nowemu i Dejmkowi przyniosły zasłużoną, ogólnopolską sławę.

Trudno i darmo: teatralną piramidę, jak za czasów faraonów, trzeba zacząć budować ponownie i od dołu, co mimo pewnej monotonii kształtów przydało ówczesnym konstrukcjom niejakiej trwałości.

Od dołu, a więc od dziecięcego widza, który powinien znaleźć coś dla siebie nie tylko na scenach lalkowych, ale również w teatrach dramatycznych i muzycznych, Wielkiego nie wyłączając. Na dalekosiężne efekty podobnych działań trzeba będzie wprawdzie czekać lata całe, ale rzecz opłacalna jest też doraźnie, bo mimo finansowych kłopotów rodzice być może sami przyoszczędzą coś na kulturze, ale dziecku nie odmówią przyjemności pójścia do teatru.

Następnie — temat ten bezradnie wałkujemy jednak w kółko i w kółko — należałoby poszukać repertuaru dla „nastolatków", którzy to z bajek już wyrośli, a Fredry jeszcze należycie nie pokochali. Mimo wszystkich niedoskonałości utworu, a także i samej realizacji, jedyną próbą w tej dziedzinie byli „Goście Hotelu du Parc", grani przez Teatr im. Tuwima i na ten sezon teatr zapowiadał z kolei adaptację Makuszyńskiego, ale pewno się jej nie doczekamy...

NEGOCJOWAĆ CZY DEKRETOWAĆ!

Odkładając sprawę Teatru im. Tuwima niejako na deser, zapytajmy już w tym miejscu, jak to ma być z przedstawieniami dla dziecięcego, młodzieżowego, czy — nieco inaczej rzecz ujmując — szkolnego widza. Innymi słowy: czy nadal pracowicie negocjować rzecz z teatrami, czy brutalnie zadekretować przeobrażenie któregoś z nich w scenę zwróconą wyłącznie w stronę młodego i najmłodszego pokolenia? Wbrew pozorom, nie byłoby to bynajmniej bezzasadne, sumując bowiem wolne i wykorzystane miejsca, wyliczymy bez trudu, że dzień w dzień przynajmniej jedna łódzka „dorosła" scena świeci absolutną, totalną pustką.

Konkretne rozwiązania? Ależ proszę! Teatr Muzyczny odszedł od musicali i komedii muzycznych na rzecz operetek, zaś Teatr Wielki też operetkami niejednokrotnie w przeszłości kasę sobie ratował. Można by więc — o czym myślano już kiedyś — obie te sceny połączyć, wystawiając te same operetki z lepszymi głosami, a przede wszystkim bogatszą, z większym chórem i przyzwoitszym baletem... Nie optowałbym za tym wariantem, choć kłopoty frekwencyjne również i scen muzycznych nie omijają, pomnę jednak czasy, gdy łączenie uważano za dobre na wszystko. Teatr 7.15 też był kiedyś instytucją samoistną, sprawiał jednak tyle kłopotu, że połączono go z Teatrem Jaracza i oto filialna scenka otrzymała nawet nową salę. Żeby śmieszniej, nowa sala jest starą salą Teatru Muzycznego, którą potem przerobiono na kino i dom kultury, aby znów przerobić na teatr, co przy dostatku środków i dobrych chęciach można powtarzać bardzo jeszcze długo i z ogólnym pożytkiem.

Można też jednak przeprowadzić rozwód Sceny 7.15 z Teatrem im. Jaracza, temu ostatniemu poradzić, iżby również na swojej scenie głównej zagrał od czasu do czasu coś lżejszego, zaś odciętego od pępowiny noworodka obdarzyć tymi wszystkimi zadaniami, którym Teatr im. Tuwima — jak słyszymy — podołać nie zdołał.

Tak zbudowawszy dolny poziom piramidy, wznosilibyśmy ją dopiero wyżej. Potrzebny jest teatr ludowy bądź masowy, jak tam kto woli go nazwać, potrzebne są widowiska typu „Dziś do ciebie przyjść nie mogę", musicale i śpiewogry, nie mówiąc o wielkim, narodowym dramacie, który — o dziwo — niemal zawsze znajduje sobie publiczność, należąc jednocześnie do podstaw teatralnej edukacji.

Tu z dekretowaniem będzie pewno trudniej, niezręcznie jakoś przypisywać coś jednym, a zakazywać drugim dziwię się jednak nieco Teatrowi Powszechnemu, który po „Betlejem polskim" i pseudomusicalu „Szeryf Brandy", najpierw — nie bez częściowego sukcesu, choć nie aktorskiego niestety — zaryzykował „Wesele", a obecny sezon otwiera „Szewcami" Witkacego. Oby się udało, kto jednak wzrusza się na Rydlu, Witkacego nie zrozumie, kto zrozumie — z „Szeryfa Brandy" wyjdzie po pierwszym akcie, trzeba się więc na coś, a raczej na kogoś zdecydować. Na pewien krąg publiczności, po prostu.

Z kolei szczyt piramidy — choć samego porównania nie traktujmy zbyt dosłownie — to wszelkiego typu sceny i scenki po troszę awangardowe, a po troszę eksperymentalne. Oczywiście potrzebne, ba, niezbędne, nie na nich jednak rozgrywa się batalia o teatralnego widza i o przyszłość teatralnej Łodzi.

KILKA ZNAKÓW ZAPYTANIA

Pytań bez odpowiedzi, opatrzonych sążnistym znakiem zapytania pojawiło się tedy nam już sporo, a może być ich jeszcze więcej.

Skoro Łódź — i nie bez racji chyba — uważa się za kulturalne centrum pewnego regionu czy makroregionu nawet, winna chyba aktywnie oddziaływać na słabsze w tej mierze województwa sąsiednie. I to nie tylko biernie, poprzez zapraszanie na spektakle — oby tylko było na co zapraszać! — ale i czynnie, po prostu część swojej teatralnej produkcji z góry przeznaczając również na eksport do pobliskiego Piotrkowa czy Sieradza.

Tymczasem zaczęło się od tego, że jedyna wyspecjalizowana w tym względzie scena — Teatr im. Tuwima — najpierw programowo zaczęła przeobrażać się w scenę częściowo stacjonarną, teraz zaś, jak słyszę, ma być nie tyle zlikwidowana, co gruntownie przeprofilowana.

Fakty są mniej więcej takie. Rok temu z okładem — znajdując się pod histerycznym wręcz naciskiem, tak iż zanosiło się co najmniej na długotrwałą akcję protestacyjną, które wówczas wybuchały przecież z byle powodów — prezydent miasta Łodzi zawiesił decyzję likwidacji Teatru im. Tuwima, co było wprawdzie rozsądne, lecz skażone pewnym uchybieniem formalnym. Sprawa w tym, że kontrakty z dyrektorami podpisuje się w zasadzie na trzy lata, dwa lata — to minimum zupełne, zaś przyznany rok czasu — i to przy zastrzeżeniu niedokonywania zmian w zespole, nadto z przerwą w działalności, podczas pierwszych miesięcy stanu wojennego — w ogóle nie pozwala na rzetelną ocenę poczynań tatru.

„U progu sezonu" — cytuję dokument Wydziału Kultury — **nowo powołany kierownik artystyczny tego teatru zaprezentował program, który w założeniach mając utrzymać dotychczas spełniane funkcje, a więc działalność objazdową i scenę dla młodzieży, wzbogacony został o wiele nowych zadań.**

Zakładano hasła pracy pozytywistycznej u podstaw, konieczność szerokiego wyjścia naprzeciw upodobaniom i potrzebom widowni robotniczej, realizację specjalnych wychodzących do szkół programów poetyckich, przeznaczonych dla młodzieży, powołanie koła twórców dramatycznych przy teatrze działających poprzez spotkania i dyskusje.

Niestety, jak wskazują rezultaty, były to zadania na wyrost, owocujące już u progu sezonu programem repertuarowym „wszystkoistycznym", niespójnym, łączącym wielką ilość nie przystających do siebie, wręcz oderwanych pomysłów i zamierzeń".

Tu przerwę, nie chcę się bowiem bawić w adwokata, ani też przekomarzać na temat ocen, najsurowsze bowiem sądy nie zmienią faktu, że teatr ten miał przynajmniej konkretny program skierowany w stronę młodej i robotniczej widowni. Istotnie, w realizacji bardzo trudny, istotnie zakrojony trochę na wyrost, tyle że w ciągu roku podobnie ambitnych zamierzeń nie zdołałby zrealizować nikt, nawet niezłomny ksiądz Kordecki.

W miejsce Teatru im. Tuwima ma powstać twór o nieco luźniejszej strukturze organizacyjnej, otwarty na wszelkie inicjatywy środowiskowe, nazwany — z pewnością umownie i nie dość precyzyjnie — „teatrem impresaryjnym". Zamysł interesujący, ani słowa, zapowiada to jednak kolejną scenę o ambicjach „z wierzchołka piramidy", a przecież mamy już Teatr 77, mamy Małą Scenę Teatru im. Jaracza i Małą Salę — oby się obudziła, albo oby ktoś ją obudził do życia — Teatru Nowego. Nie mamy teatru dla młodzieży i nie mamy nikogo do czarnej roboty, zainteresowanego podstawową edukacją teatralną, nie zaś wyłącznie inscenizacjami na poziomie uniwersyteckim.

Tyle moich wątpliwości, być może spóźnionych — decyzje administracyjne mogły już zostać podjęte — czułem się jednak w obowiązku wyrazić je przynajmniej głośno.

Zaś zaskakującą pointę niechaj stanowi fragmencik cytowanego wielokrotnie dokumentu Wydziału Kultury i Sztuki, kilka najbardziej tajemniczych zdań, jakie w życiu czytałem.

„Tym niemniej, jak stwierdziliśmy na wstępie, teatr — jak cała sztuka — winien obronić się sam. Żadna reorganizacja sytemu nie uzdrowi sytuacji, może jej jedynie pomóc. Ale pod warunkiem, że będzie komu".

Czyli reorganizując system można pomóc sytuacji pod warunkiem, że będzie komu, czy tak? Zabijcie mnie, jeżeli z tego coś rozumiem. Z tego i nie tylko z tego.

JERZY PANASEWICZ

NOBEL' 82

EDMUND LEWANDOWSKI

2

Alegoria historii człowieka

Starzenie się i śmierć

4. Wojna domowa między liberałami a konserwatystami. Najbardziej rwali się do wojny — która potem trwała blisko 20 lat — ludzie *„młodzi, nie mający wyrobienia politycznego"*. Syn Urszuli i José Arcadia, Aureliano Buendia, został przywódcą rebelii w całym kraju, a ich wnuk Arcadio stał się władcą Macondo. W przededniu walk teść Aureliana (corregidor, konserwatysta) tak mu tłumaczył, na czym polega różnica między liberałami a konserwatystami: *„Liberałowie są masonami, ludźmi złych zasad, żądają wieszania księży, wprowadzenia ślubów cywilnych i rozwodów, zrównania praw dla dzieci legalnie i nielegalnie urodzonych, podziału kraju według systemu federalnego, który pozbawi siły najwyższą władzę. Konserwatyści natomiast, którzy otrzymali władzę bezpośrednio od Boga, ogłosili stałość porządku publicznego i moralności w życiu rodzinnym, bronili wiary w Chrystusa, zasad władzy i nie zamierzali dopuścić do rozbicia kraju na jednostki autonomiczne"*.

Aureliano opowiedział się po stronie liberałów, bo przekonał się, że konserwatyści to cyniczni oszuści, którzy nawet sfałszowali wyniki wyborów.

Wojna trwała długo. W jej trakcie, dowodząc wojskami liberałów, pułkownik Aureliano Buendia zrozumiał trzy ważne sprawy: po pierwsze, że walczy nie tyle o ideały, lecz głównie z powodu dumy; po drugie, że politycy partyjni nie tyle przejmują się ideałami, co władzą; po trzecie, że wielka władza czyni człowieka samotnym. Doświadczył on alienacji władzy i „prawie z czterdziestoletnim opóźnieniem" odkrył dopiero „przywileje życia prostego".

Obok pułkownika Buendia, oddziałami powstańczymi dowodzili bardzo różni i dość przypadkowi ideowo ludzie. *„Znalazł wśród nich wszystkiego po trosze: idealistów, awanturników, ambitnych, niedostosowanych do życia, a nawet pospolitych przestępców. Był tam nawet dawny funkcjonariusz konserwatystów szukający schronienia w rebelii, żeby uniknąć rozprawy sądowej za sprzeniewierzenie pieniędzy. Wielu nie wiedziało wcale o co walczy"*. A najgorsze polegało na tym, że opracowane przez polityków warunki pokoju wskazywały, iż długoletnia wojna właściwie nie miała sensu. Albowiem manewry taktyczne dla pozyskania jak największej części narodu spowodowały zagubienie ideałów rewolucji. Wyszło na to, że jedynym celem walki była władza. Zaś ideały i hasła politycy obracają *„wierzchem lub podszewką do góry, zależnie od okoliczności"*. Zaprzyjaźniony z Aurelianem Buendia generał konserwatystów, Moncada, zarzucił mu, że zwalczając wojskowych i żyjąc ciągłą nienawiścią do nich pułkownik w końcu sam stał się takim, jak jego wrogowie. Obaj dowódcy zaczęli zastanawiać się, czy nie można by z obu doktryn wybrać i połączyć najlepsze elementy, odsunąć od władzy wojsko i zawodowych polityków, i stworzyć jakiś humanitarny ustrój ludowy.

5. Przybycie Amerykanów i założenie Kompanii Bananowej. Po otrzymaniu przez Macondo połączenia kolejowego zaczęli przybywać do miasteczka Amerykanie, aby hodować tu banany. Cudzoziemcy wybudowali własne, ogrodzone osiedle po drugiej stronie torów i gruntownie zmienili życie mieszkańców. Sprowadzili nowoczesną technikę, przesunęli w inne miejsce koryto rzeki, zastosowali sztuczne nawadnianie. Ale razem z ich cywilizacją przyszły do Macondo skrajna demoralizacja i wielki wyzysk. Miasto zamieniło się w Sodomę i Gomorę — zalał je tłum awanturników, odbywały się częste bójki, strzelaniny, uprawiano miłość na ulicy w biały dzień.

W odpowiedzi na wyzysk uprawiany przez Kampanię Bananową wybuchł strajk. Na czele robotników stanął prawnuk Urszuli — José Arcadio Drugi, którego władze zaczęły wkrótce przedstawiać jako *„agenta międzynarodowego spisku przeciw porządkowi publicznemu"*. Napięcie w mieście rosło. Wynajęci przez Amerykanów *„czarnoksiężnicy prawa"* obalili zarzuty robotników *„w sposób, który przywodził na myśl sztukę czarnosiężka"*.

Zdeterminowani robotnicy zorganizowali strajk powszechny. A rząd w celu przywrócenia porządku wysłał wojsko i wprowadził stan wyjątkowy. W jednym z dekretów upoważniono żołnierzy do użycia broni. Do zgromadzonego na stacji kolejowej spokojnego tłumu otworzono ogień z karabinów maszynowych. Kompania Bananowa zawiesiła działalność, a potem definitywnie opuściła miasteczko.

6. Potop. W nocy po masakrze niewinnego tłumu spadł ulewny deszcz. I padał tak przez *„cztery lata, jedenaście miesięcy i dwa dni"*. Aż w końcu: *„Pewnego piątku o drugiej po południu nad światem rozbłysło zdumione słońce, karmazynowe, ostre jak pył ceglasty i niemal równie chłodne jak woda, a potem deszcz już nie padał przez dziesięć lat. Macondo było jedną ruiną. W grzęzawiskach na ulicy pozostały połamane meble, szkielety zwierząt, z których wykwitały kolorowe lilie, ostatnie ślady hordy najeźdźców, którzy uciekli z Macondo równie nagle, jak przyszli. Domy, budowane z takim pośpiechem podczas gorączki bananowej, stały pustką. Z dawnego państwa za drutami zostały tylko szczątki"*.

Potop jest jednym z wielu cudów w powieści Marqueza. Kataklizm ten już od około 5 tysięcy lat uchodzi w mitach różnych krajów za karę boską dla złej i występnej ludzkości. Najstarszy znany sumeryjski tekst o potopie pochodzi z III tysiąclecia p.n.e.

7. Upadek rodu Buendiów i społeczności Macondo. Po potopie miasteczko było kompletnie wyniszczone i znowu — jak u zarania swych dziejów — odseparowane od reszty świata. Na ogół sądzono, że popadło w ruinę w wyniku opuszczenia go przez Amerykanów. Zaprzeczał temu mały prapraprawnuk Urszuli — Aureliano Babilonia (aby ukryć jego nieślubne pochodzenie ogłoszono, że został znaleziony w koszyku pływającym na rzece). Utrzymywał on wbrew powszechnej opinii, że Macondo przeżywało pomyślny rozwój do czasu, kiedy przybyła tu Kompania Bananowa i wprowadziła *„zamęt, korupcję i wyzysk"*. Słuchając tak rozsądnej mowy, jego babcia Fernanda (gorliwa katoliczka) miała wrażenie, że jest to grzeszna parodia historii dwunastoletniego Jezusa wśród doktorów.

Rodzinny dom Buendiów *„nagle padł jakby ofiarą wiatru starczego"*. Postanowiła go ratować prapraprawnuczka Urszula, która porzuciła swego męża z Europy dla spokrewnionego z nią Aureliana Babilonii (siostrzeńca) Bardzo przypominała swą prapraprababkę: była drobna, lecz energiczna, a urodą dorównywała niemal Pięknej Remedios (najpiękniejszej dziewczynie świata). A poza tym odznaczała się wesołym usposobieniem i nie miała przesądów. Ta nowoczesna kobieta wierzyła, że *„można uratować społeczność, którą upodobał sobie zły los"*. Sprowadziła więc stolarzy, murarzy i ślusarzy w celu gruntownego odnowienia domu. Miasto jednak obumierało, a dom Buendiów walił się i ustępował przed inwazją mrówek, mchu, pajęczyny i kurzu. Aureliano Babilonia i Amaranta Urszula byli *„coraz pełniej włączeni w samotność domu, któremu brakowało już tylko ostatniego podmuchu, żeby runąć"*. Kochali się wzajemnie tak bardzo, iż byli *„jedynymi szczęśliwymi i najszczęśliwszymi na ziemi"*. Niestety, owocem ich zakazanej miłości stał się syn ze świńskim ogonem, którego wkrótce pożarły mrówki, a jego matka umarła z wykrwawienia. A wydawało się, że nowo narodzony Aureliano był *„predestynowany do założenia rodu jeszcze raz od początku, oczyszczenia go ze szkodliwych wpływów i zdjęcia klątwy samotności, ponieważ on jeden na przestrzeni stulecia został poczęty z miłości"*. Nadzieja ta nie spełniła się, nie pomogła wiara, energia i wielka miłość. Dziejowe fatum niosło już tylko zagładę. Macondo stało się teraz *„wirującym słupem kurzawy i gruzu miotanym furią biblijnego huraganu"*. Mieszkańcy stopniowo je opuścili. Osamotniony Aureliano Babilonia pilnie studiował pergaminy Melquiadesa, aby pojąć sens tego, co się zdarzyło, i odczytywał już ostatnie wiersze przepowiedni. *„Ale nim doszedł do ostatniego wiersza zrozumiał już, że nie wyjdzie nigdy z tego pokoju, gdyż powiedziane było, że miasto zwierciadeł (lub zwierciadlanych miraży) zmiecione będzie przez wiatr i wygnane z pamięci ludzi w chwili, gdy Aureliano Babilonia skończy odcyfrowywać pergaminy, i że wszystko, co w nich spisano, niepowtarzalne jest od wieków i na wieki, bo plemiona skazane na sto lat samotności nie mają już drugiej szansy na ziemi"*.

Dlaczego ród Buendiów i miasteczko Macondo upadły? Śledząc ich historię można zauważyć sprzeczność między rozwojem a postępem społecznym. Im bardziej zaawansowany był rozwój cywilizacyjny, tym więcej pojawiało się nieszczęść. Najlepiej wiodło się bohaterom w czasach, kiedy Macondo było zapadłą wsią i znajdowało się poza państwem i Kościołem. Później stopniowo się pogarszało. Już wkrótce po przybyciu osadników spoza moczarów nawiedziła mieszkańców zaraza bezsenności. Rozciągnięcie nad miasteczkiem władzy państwowej uwikłało je w straszliwą wojnę domową. Kiedy naiwny ksiądz Nicanor usiłował wpłynąć na władzę wojskową konserwatystów cudem lewitacji *„jeden z żołnierzy uderzeniem kolby ściągnął go z powrotem na ziemię"*. W okresie piekła gorączki bananowej Urszula Iguáran rzuciła Bogu wyzwanie — pytając, czy sądzi, że ludzie są z żelaza, aby mogli znosić tyle cierpień i poniżeń. Nastały czasy, że prędzej rosły dzieci i inaczej rozwijały się uczucia, było jakoś trudniej. Kiedy postanowiła wychować i pokierować swego prapraprawnuka, José Arcadia, na księdza i papieża, pułkownik Aureliano Buendia zareagował następująco: *„Jeszcze tego ostatniego świństwa nam brakowało!"*

Znakiem szczególnym Buendiów było rodzinne *„piętno samotności"*, (Stąd właśnie tytuł powieści Márqueza). Z czego wynikała owa samotność? Otóż wydaje się, że z niedostatku miłości oraz odwagi, a także z powodu dumy, pychy i zakłamania. Wśród ludzi prezentowanych w „Sto lat samotności" jest miłość erotyczna, seksualna — i to bardzo wielka, wyrafinowana — brak zaś równie wielkiej miłości braterskiej. Innymi słowy: zbyt słabo wiążą ich wyższe uczucia bezinteresownej troski, odpowiedzialności i wzajemnego poszanowania. Urszula Iguarán zrozumiała z czasem, że jej syn nie dopiero na wojnie stracił uczucie rodzinne, jak pierwotnie przypuszczała, lecz po prostu *„nigdy nie kochał nikogo"*. Z kolei jej córka Amaranta przerażała matkę swoją oschłością, ale naprawdę była to *„najtkliwsza z kobiet"*, w której toczyła się walka *„na śmierć i życie między miłością bez granic a niezwyciężonym tchórzostwem i w końcu zatriumfował nierozsądny strach"*. Tylko Rebeka — dziecko nieznanych bliżej rodziców, które Buendiowie wzięli na wychowanie — *„miała tę odwagę bez granic"*, jakiej Urszula pragnęła dla własnych dzieci.

Prawnuczka, Piękna Remedios, miała tak fascynującą i niezwykłą urodę, że wytwarzała wokół siebie jakiś niesamowity niepokój. Mężczyźni, obok których przechodziła, czuli się obezwładnieni *„dziwnym czarem, zagrożeni niewidzialnym niebezpieczeństwem i wielu nie oparło się straszliwej chęci płaczu"*. A ci, co się z nią bliżej zetknęli, wkrótce ginęli w tajemniczych okolicznościach. Gdy trzeci z kolei postradał życie, uwierzono w legendę, że ciało Remedios emanuje nie miłością, lecz śmiercią. Nikomu jednak nie przyszło do głowy — rzecz znamienna — że dla ujarzmienia i unieszkodliwienia czarów Pięknej Remedios wystarczyłoby tak zwyczajne uczucie, jak miłość.

Osobą zadowoloną z życia i nie dotkniętą piętnem samotności zdawała się być jedynie praprawnuczka Renata Remedios-Meme. Była swobodna, radosna i naturalna. Oburzały ją pruderia, mania wielkości i ubóstwo duchowe krewnych. Nie mogła znieść ich zakłamania i nieszczerości. Z powodu takiej atmosfery zmarnowała własne życie: straciła narzeczonego, urodziła nieślubne dziecko (Aureliana Babilonię) i znalazła się w klasztorze, a później *„zmarła ze starości w ponurym przytułku w Krakowie"*. Jej matka, Fernanda, pochodziła z wielkopańskiej, lecz zubożałej rodziny o tradycjach kolonialno-katolickich. Otrzymała staranne wykształcenie religijne w klasztorze. Nigdy nie miała przyjaciółki. Nic dziwnego zatem, że była *„kobietą straconą dla uciech tego świata"*. Kiedy dwa tygodnie po ślubie otworzyła mężowi drzwi sypialni, czyniła to z rezygnacją i poświęceniem, jak gdyby *„dopełniała ofiary pokutniczej"*. Dlatego też Aureliano Drugi wolał żyć ze swoją kochanką Petrą Cotes. A Fernanda zaczęła narzucać innym swoje rygory religijne.

W rodzinie Buendiów miłość jest wielką żądzą fizyczną, żywiołem przyrodniczym, a za mało ciepłym, ludzkim uczuciem. Gdy José Arcadio kochał Rebekę, musiała ona *„dokonać nieludzkiego wysiłku, żeby nie paść trupem, kiedy jakaś huraganowa siła uniosła ją w pasie, pogwałciła jej intymność i poćwiartowała jak ptaka. Zdążyła jeszcze podziękować Bogu za to, że się urodziła, nim zatraciła świadomość w niepojętej rozkoszy i nieznośnym bólu..."*. A podczas miłości z Aurelianem Babilonią, Amaranta Urszula poczuła jak *„straszliwy wstrząs unieruchomił ją w punkcie ciężkości i przygwoździł do miejsca, a wolę obrony zdruzgotała nieodparta żądza odkrycia, czym są te pomarańczowe świsty i niewidzialne stery czekające na nią po drugiej stronie śmierci"*. Ponieważ miłości erotycznej, seksualnej z reguły nie towarzyszyła odpowiednia czułość, większość bohaterów jest osamotniona. Problem jak przezwyciężyć samotność jest jednak sprawą nie tylko Buendiów i Macondo, lecz odwiecznym problemem całej ludzkości. Márquez sugeruje, że trzeba przede wszystkim wyzbyć się lęku, pychy, zakłamania, fałszywej dumy i wypaczonej religijności.

Upadek rodu Buendiów i społeczności Macondo związany był z zepsuciem obyczajów, które nastąpiło wraz z rozwojem cywilizacyjnym. Ale nie to było zasadniczą przyczyną. Ostatecznie bowiem o upadku przesądziło owo *„nieodwracalne zniszczenie osi"* społecznego kołowrotu — zadecydowały nieubłagalne, konieczne prawa życia. Być może ma dla Márqueza jakieś znaczenie fakt, że w powieści jest właśnie siedem pokoleń. W każdym bądź razie historycy stwierdzają istnienie tzw. *„prawa 7 pokoleń"*. Struktury polityczne i elity władzy mają — na mocy cyklu biologicznego — definitywnie załamywać się po około 200 latach, kiedy przeminie siedem generacji.

Artykuł ten pisany jest z pozycji socjologa, a nie filologa czy krytyka literackiego. Celem jego było ukazanie historiozofii Márqueza i ułatwienie lektury arcydzieła „Sto lat samotności". Zadaniem historiozofii jest badanie prawidłowości, faz rozwojowych i sensu procesu dziejowego. Mam więc nadzieję, że szkic mój pozwoli lepiej zrozumieć omawianą powieść i historię człowieka, której alegorię ona stanowi.

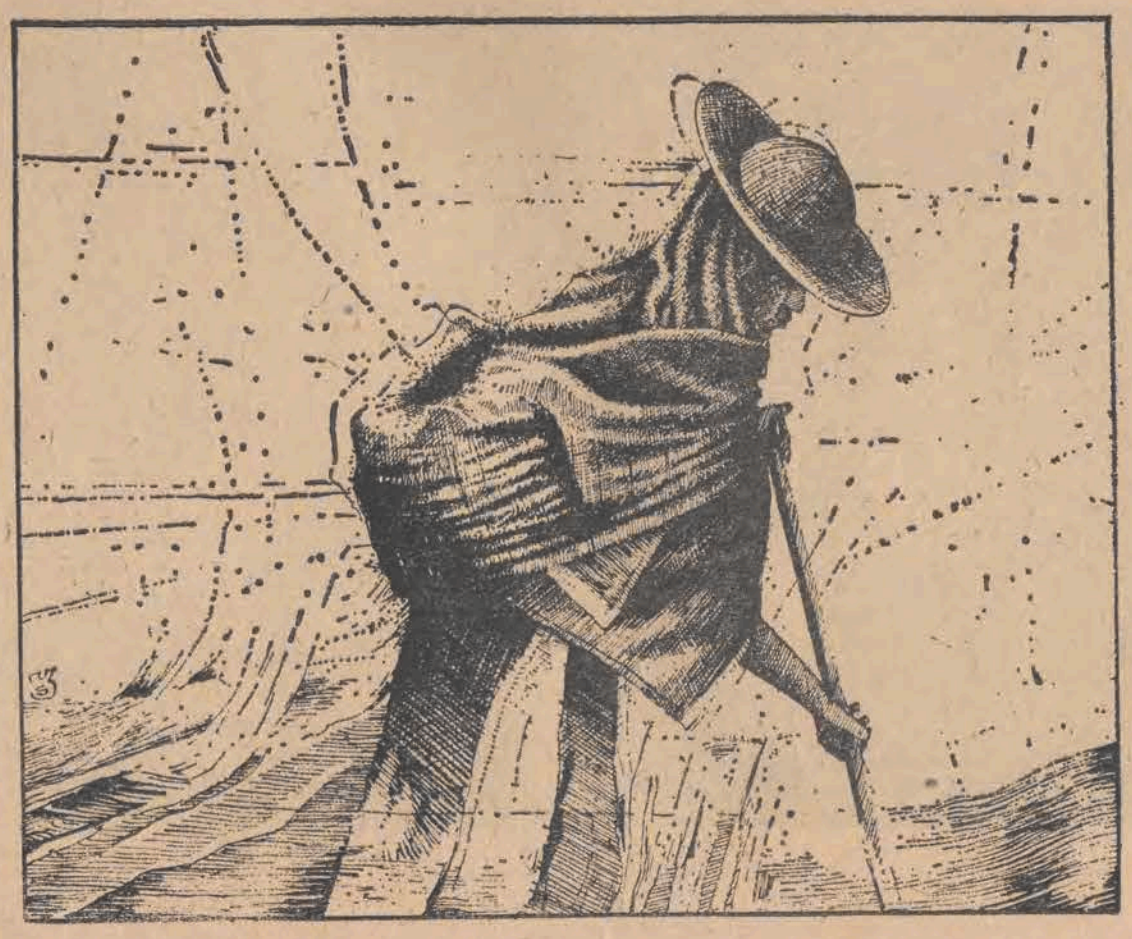

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Kronika kulturalna

W dniach od 3 do 17 listopada występować będzie w Polsce światowej sławy radziecki Zespół Tańca Ludowego pod dyrekcją *Igora Mojsiejewa*. W ciągu 2-tygodniowego tournée odwiedzi z koncertami Warszawę, Dąbrowę Górniczą, Opole, Kraków i Poznań.

W ramach obchodów 65 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej, w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki otwarto w miniony piątek, 5 listopada, wystawę wydawnictw radzieckich. Wydawnictwa radzieckie od lat cieszą się na naszym rynku dużym zainteresowaniem, tak więc sądzę, że wystawa zyska wielu entuzjastów, tym bardziej że połączona jest z kiermaszem, na którym można będzie kupić m.in. wydawnictwa fotograficzne, reprodukcje malarstwa rosyjskiego i obcego oraz wiele cennych pozycji współczesnej literatury radzieckiej. Kiermasz będzie trwał do 15 listopada. Kiermasz ten jest jednocześnie inaugurującym cykl imprez organizowanych z okazji obchodów 65 rocznicy Rewolucji Październikowej. W ramach tego cyklu odbędzie się także przegląd filmów Andrzeja Tarkowskiego.

Sobota była uroczystym dniem dla miłośników teatru. Otóż jedna ze scen Tatru im. Stefana Jaracza, popularna „7,15", będzie działała w wyremontowanym i przystosowanym do jej potrzeb budynku dawnego kina „Lutnia" przy Piotrkowskiej 243. Przedstawieniem inaugurującym działalność tej sceny jest *„Panna Lili i jej dwaj mężowie"*, w reżyserii Ewy Gilewskiej.

Dyrekcja Państwowego Teatru Lalki i Aktora „Baj Pomorski" w Toruniu ogłosiła konkurs na sztukę dla dzieci tematycznie związaną z Toruniem. Konkurs ma charakter otwarty, należy nadsyłać prace pełnospektaklowe, nigdzie nie publikowane ani nie wystawiane. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo do prapremiery sztuk nagrodzonych w konkursie w PTLiA „Baj Pomorski" w Toruniu. Przewiduje się nagrody pieniężne o łącznej wartości 120.000 złotych. Termin nadsyłania prac mija 31 grudnia 1982 roku. Bliższych informacji o konkursie udziela sekretarz literacki PTLiA „Baj Pomorski", telefon 147-17 i 247-24.

Od 27 do 29 października w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym w Łodzi trwa II Przegląd Filmów Etnograficznych *„Dorobek i tradycja"*.

„Rockowisko" to nie wszystko

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Proszę pana, niech pan mnie wpuści, niech pan wpuści — słychać gdzieś ze środka. — I mnie, mnie — dobiega z boku. Tłum młodocianych faluje i dostać się do środka nie sposób. Chwilę wcześniej słyszałem brzęk szkła — pewnie poszła jakaś szyba — toteż teraz bramkarze są wkurzeni. Jeden, ten najgrubszy, chętnie wlałby tym, którzy zniecierpliwieni stojąc u wejścia obrzucają go jakimiś epitetami i natychmiast chowają się w „szarą masę". Na razie jednak z góry upatrzone pozycje w metalowych drzwiach zostają utrzymane, toteż nie warto przejawiać nadmiernej inicjatywy.

— Tutaj jest zaproszenie — skrzeczy histerycznie niewysoka dziewczyna obawiając się widocznie, że nigdy nie dostanie się w pobliże wejścia. — Gdzie? — z dystansem pytają bramkarze. — Tutaj. Mija chwila wyczekiwania, w której zatrzymuje się nawet ręka faceta w zielonej kurtce, który w tłumie odlicza pieniądze za dopiero co opylone zaproszenie. Widzę, że ma więcej tych małych zielonkawych kartek — diabli wiedzą skąd. Ale nie mam czasu, bo dopiero przed paroma minutami wróciłem do Łodzi i spóźniłem się na koncert. — Proszę przepuścić — wołają bramkarze — tam osoba ma zaproszenie. Robią miejsce do przejścia przez drzwi, ale reszta nie chce się rozstąpić i dziewczyna stoi nadal unieruchomiona. Dopiero po pewnym czasie powoli posuwa się do przodu.

— Przepraszam — mówię dość głośno do paru długowłosych stojących przede mną, ale to nie skutkuje. — Przepraszam panów bardzo — skutek ten sam, tylko jeden trochę zdziwiony ogląda się. A ja przecież chcę wykorzystać sytuację, że tamta mała przeciska się naprzód, a drzwi są otwarte — potem się nie dobiję. Robię więc przepisowego „młyńca", jakiego nauczyłem się jeszcze jako mały chłopak w kolejkach „za masłem", z którym były kłopoty na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Pod butami zgrzyta szkło z rozbitej wcześniej — a jednak słuch mnie nie mylił — szyby. Już jestem przy drzwiach i ku zdziwieniu bramkarzy moja „nowa twarz" wyrasta przed nimi. Pokazuję zaproszenie, bo uprawniającego do wejścia znaczka — plakietki identyfikacyjnej — nie udało mi się z powodu spóźnienia odebrać. Z tyłu poruszenie — ktoś wpycha mnie siłą do środka. — Oddzieraj rogi — słyszę jeszcze wskazówkę jednego z wpuszczających do tego, który trzyma mój kartonik. I za moment jestem wewnątrz.

Inauguracyjna konferencja prasowa przeszła mi koło nosa, ważne jednak, że jestem już na miejscu. Na górze dudnią kolumny. Kilkaset watów. W biurze prasowym dowiaduję się, że jacyś pomysłowi widzowie bez biletów usiłowali sforsować płot przy pomocy znalezionej w pobliżu drabiny. Zastanawiam się, dlaczego tak wielu chętnych pozostaje na zewnątrz — chyba dlatego, iż sala Centrum Kultury Włókniarzy „Dąbrowa", gdzie już tradycyjnie odbywają się inauguracyjne koncerty „Rockowiska" będące finałem Przeglądu Łódzkich Grup Rockowych nie może z racji swych rozmiarów pomieścić wszystkich chętnych. A młodzież garnie się do rocka — i czynnie, jak ci na estradzie, i biernie, jak ci na widowni.

Gdy w kilkanaście minut później schodzę na dół, by zabrać z samochodu notatnik z telefonami, tłum nadal szturmuje drzwi. Jeden z bramkarzy, ten najgrubszy, stoi tyłem zagradzając wejście, a dwaj pozostali asekurują go. — Pan wychodzi? — pyta ze zdziwieniem jeden z nich. — Zróbcie miejsce — krzyczy — ten pan chce wyjść; ale nikt nie zwraca na to uwagi. Nie pozostaje mi nic innego, jak ponownie zastosować wcześniejszy manewr.

Jest wpół do szóstej po południu, a już zrobiło się ciemno. Powietrze jest chłodne. Głuche dudnienie pozostaje z tyłu, za mną. Patrzę z daleka na ten tłumek — dla nich dopiero wszystko się zaczyna, to pierwszy wieczór trzydniowej imprezy.

Przypomniało mi się „Rockowisko" sprzed roku. Bardzo udane. Impreza na skalę chyba dotąd w Polsce nie oglądaną. Cała krajowa czołówka. Szał na widowni. Pracownia „twarzowych" — bardziej chyba wtedy modnych niż dzisiaj — malowanek w hali... Tamto „Rockowisko" nie miało trochę szczęścia, jeśli chodzi o krytykę. Większość dziennikarzy podejmowanych w Łodzi nie zdążyła opublikować swoich spostrzeżeń, pochwalić organizatorów: wprowadzono bowiem stan wojenny i na jakiś czas zawieszono wydawanie czasopism. Zresztą, kto wówczas miał głowę do „Rockowiska". I tak przeszło bez oficjalnego echa, bo młodzi melomani wspominają tamtą imprezę do dzisiaj.

Siłą rzeczy nasuwają się porównania. Niewątpliwie młodzież rok temu bawiła się zupełnie inaczej. Nie wiedzieć czemu, jej reakcje teraz są odmienne, nieco stonowane. I wystrój zewnętrzny widzów — że tak powiem — jakby oszczędniejszy, choć nadal obowiązuje pełna dowolność w ubiorze. Podobnie, gdy chodzi o zachowanie podczas koncertów. Oczywiście, centralnym miejscem jest kocioł tafli Pałacu Sportowego. Tam trzeba poddać się rygorowi tłumu i nawet mój „młyniec" nic by nie pomógł. Przypadkowo poznana melomanka opowiadała mi niedawno, dlaczego w tym roku nie wybrała się na „Rockowisko" — po prostu przed rokiem chciała być blisko estrady, żeby się wszystkiemu przyjrzeć z bliska i... została cokolwiek poturbowana. Nic dziwnego, tam jedenastka się nie liczy.

Sama nazwa „Rockowisko" bardzo mi się podoba i ciekaw jestem, kto wpadł na ten oryginalny pomysł. Zauważyłem, że starsi znajomi, rodzice młodocianej publiki, też tę nazwę sobie przyswoili — nazywają imprezę „rykowiskiem". Ale myślę, że ten lapidarny skrót myślowy traci powoli na aktualności. W naszym rodzimym rocku zaczyna wreszcie młodym muzykom chodzić o coś więcej niż bezmyślne walenie w struny. Coraz więcej pojawia się utworów ciekawych, zróżnicowanych, posiadających — o dziwo — melodię. Krzyk przestanie chyba wkrótce być wiodącym środkiem wyrazu w tej muzyce, a więc mówienie o łódzkiej imprezie „rykowisko" nie będzie adekwatne. Ale to odnosi się raczej do przyszłości. Tymczasem na estradzie w naszej dusznej i nieakustycznej hali działy się te same rzeczy co w latach poprzednich i one przede wszystkim wywoływały ekstazę u publiczności. Kto był na „Rockowisku", ten sam zauważył, a kto nie był, temu i tak nie dam rady tego wszystkiego opisać. Może najlepiej oddałyby to fotografie, ale i z tym były kłopoty.

Dostać się na podest estrady od tyłu, zza kulis, to prawdziwa sztuka. Podwójny kordon porządkowych — taka rota: nie wpuszczają nikogo. Jak głosi fama tak jest zawsze, kiedy imprezę nagłaśnia — czyli daje sprzęt estradowy, aparaturę nagłaśniającą, czuwa nad stroną akustyczną widowiska — pan Ludwik Cękalski z Warszawy. Z jednej strony to dobrze, bo chodzi o porządek, z drugiej — teren działania różnych ludzi pracujących przy „Rockowisku" jest ten sam... Ale rygor pozostaje rygorem.

Oprócz wykonawców na estradzie mają prawo przebywać tylko pracownicy Telewizji Polskiej, jako że łódzki ośrodek rejestruje fragmenty obydwu halowych koncertów. Przez parę godzin oglądamy przedziwny taniec: główne postacie to szalejący na deskach sceny muzycy, spoceni, na wpół rozebrani, a obok nich łowiący ich w różnych pozach i konfiguracjach kamerzyści telewizyjni z lekkimi przenośnymi kamerami. Fotograf, który przyszedł na koncert wraz ze mną, uwiecznił to na jednej z fotografii. Oto gra zespół „Turbo" — jego członkowie gromadzą się bardzo blisko siebie podczas brawurowej gitarowej improwizacji i pozostają przez chwilę w co najmniej dziwnych pozycjach, tymczasem naprzeciw nich zastygają także w dziwnych pozach: Staszek Józefowicz i Igor Kropat „zbierający" ten obraz. Bardzo ciekawy to balet — takie trzy plus dwa.

Zresztą robienie zdjęć to osobna historia. Widownia zaczyna się od podestu estrady i tam największy tłok publiczności, toteż nie ma jakichkolwiek możliwości podejścia wykonawców z przodu. Można jedynie — po uprzednim pokonaniu oporu ze strony grupy porządkowych — fotografować estradę z tyłu, od kulis, przez otwory w materiale osłaniającym scenę od tamtej strony. Jeszcze jedno miejsce, gdzie jako tako może zainstalować się fotoreporter, znajduje się po lewej stronie estrady, tam wchodzą do góry z tafli małe schodki. Niestety, cerbery pilnujące sceny nie pozwolą tam przejść; w końcu się udaje, ale na krótko. Za chwilę znów któryś z porządkowych usiłuje usunąć fotografujących (bo jest ich parę osób). I tak grają w ciuciubabkę przez cały koncert.

Inna przeszkoda, to fakt, że rzekome gwiazdorstwo uderzyło już do głowy niektórym młodym muzykom. A to nie pozwolą się fotografować, a to żądają uzgodnienia tego z managerami. Nie pomagają tłumaczenia, że to będą zdjęcia typowo reportażowe — nie i już. Znajomy fotograf wdaje się w rozmowę ze stałym współpracownikiem jednego z czołowych polskich zespołów, którego pełno teraz na radiowej antenie. Mówi mu, że w tym samym miejscu robił zdjęcia Aznavourowi i nie miał z tego powodu jakichkolwiek nieprzyjemności. Do tamtego to nie dociera, sugeruje, że Aznavour i „ich kapela" to nie to samo. Z pewnością — myślimy obaj z fotografem, który znów gdzieś w pobliżu przyczaił się z przygotowanym fleszem.

Jakby tego było mało, dowiedziałem się w trakcie „Rockowiska", iż niektóre grupy nie wyraziły zgody na rejestrację ich produkcji przez telewizję. Znów gwiazdorstwo? A może tylko obawa przed wypuszczeniem „knota" podczas koncertu, może do telewizji mogą iść jedynie dobrze spreparowane nagrania. Dziwne to wszystko, chyba nie na mój rozum.

Organizatorzy „Rockowiska" są od lat ci sami. Łódzka Rozgłośnia Polskiego Radia, Centrum Kultury Włókniarzy „Dąbrowa" i — przede wszystkim — Polskie Stowarzyszenie Jazzowe — Delegatura w Łodzi. Ta ostatnia instytucja niosąca bezpośrednio na swoich barkach ciężar całej imprezy nazywała się kiedyś inaczej, ale to już historia. Mam w łódzkiej delegaturze PSJ wielu znajomych, kolegów i wiem, jaki ogrom pracy trzeba wykonać, by wzorowo przygotować tak gigantyczne rockowe spotkanie. Wprawdzie tegoroczne „Rockowisko" jest, ogólnie rzecz biorąc, trochę „mniejsze" od poprzedniego i jak gdyby słabiej obsadzone, ale być może nie jest to ostatnia tych rozmiarów impreza realizowana przez ekipę Maćka Jaworskiego — kto wie?

Leży przede mną szczegółowy „gryplan" tegorocznego „Rockowiska": przyjazdy, meldunki, hotele, montaż sceny, oświetlenie, służba porządkowa... Wszystko w drobiazgach dopracowane. I jeszcze na koniec złota myśl, której waga przy takim estradowym molochu, jak „Rockowisko" jest niezaprzeczalna: „Od punktualności, dokładnego przestrzegania tego planu zależy powodzenie ROCKOWISKA 82, jedno uchybienie spowoduje lawinę, pamiętajmy o tym wszyscy".

Muzycy z rockowego zespołu wychodzą na estradę, by odegrać swoje. Stają w światłach — publiczność szaleje. Płyną dźwięki głośnej muzyki. Pamiętajmy jednak, że nie tylko oni są bohaterami widowiska.

Nocne życie festiwalowe, bo pełna nazwa „Rockowiska" to Festiwal Muzyki Rockowej, koncentrowało się w salkach Łódzkiego Klubu Jazzowego. Przyznam się, że w natłoku innych zajęć nie bardzo miałem czas, aby w owe trzy wieczory po koncertach jeszcze tam zaglądać, ale podobno było fajnie. W kameralnych, ale z liczną widownią, recitalach pokazywali się inni, nie całkiem rockowi wykonawcy. Narodził się nawet przypadkowy „jam". Słyszałem też, że barman miał pełne ręce roboty.

Dla młodych widzów, zwłaszcza tych, którzy po raz pierwszy połknęli rockowego bakcyla i poszli do hali, „Rockowisko" było wielkim przeżyciem. Szybko tego nie zapomną. I nie trafią do nich tłumaczenia, że w kulturze masowej młodzieży, że w muzyce następujących po sobie młodych pokoleń wszystko się powtarza z podziwu godną regularnością. Ekstrawagancja wykonawców, dość brutalna w brzmieniu muzyka, szokujące teksty, dziwaczne stroje — to wszystko już było. Nasi rodzice też mieli kłopoty z rozróżnianiem, którzy to Niebiesko-Czarni, a którzy Czerwono-Czarni. Tak samo dzisiaj nam mieszają się nazwy zespołów i twarze długowłosych wykonawców stając się jedną nieprzenikniona masą. Wszyscy są podobni do siebie. Jeżeli rozróżniamy piosenki to tylko dlatego, że jedne w radiu słyszymy częściej, inne — rzadziej.

Inaczej współczesna młodzież. Ona żyje tą muzyką, nowymi gwiazdami często jednego sezonu, zmianami personalnymi w grupach rockowych. I wszystko jest dobrze do czasu, gdy stanowi to zainteresowanie dla młodego człowieka odskocznię od codziennych obowiązków, zajęć, nauki, pracy. Gorzej, kiedy staje się treścią życia. Ale i kompleks rocka to choroba, którą można przejść tak, by nie zostawiła śladów.

Koncert w Pałacu Sportowym dobiega końca. Zbieram się do wyjścia. Publiczność jeszcze skanduje nazwę popularnego zespołu, jeszcze krzyczą, jeszcze tańczą, szaleją.

Oglądam się. Ostatni rzut oka na rozległą wypełnioną halę. W kotle przed estradą nadal wre. Dzisiaj „Rockowisko" jest dla nich wszystkim. A jutro?

Foto: M. Zajdler

Foto: M. Zajdler

Za czym kolejka ta stoi

EUGENIUSZ IWANICKI

Sklep otwierają o 10, ale kolejka stoi od świtu. Jej długość powiększa się z minuty na minutę. Ci ostatni nawet nie pytają co będzie do nabycia, bo przecież gdyby nie spodziewano się niczego atrakcyjnego, to ludzie nie sterczeliby tu po parę godzin.

— Będzie dostawa? — pytam stojącego na końcu mężczyznę.

— Musi być, skoro stoimy

— Nie wie pan co przywiozą?

— Nie wiem, ale dobrze jest postać, bo a nuż dadzą, coś ekstra.

Przy samych drzwiach jest spory tłok. Jest to tak zwana „głowa" kolejki. Tu są ci wszystkowiedzący, co to niejedną noc przestali w swoim życiu i mają wiadomości z pierwszej ręki.

— Przepraszam panią — zwracam się do kobieciny, której zapewne wszyscy ustępują miejsca w tramwaju ze względu na jej wiek. — Co przywiozą?

— Pan tu nie stał! — krzyczy ktoś z kolejki.

— Chcę się dowiedzieć co przywiozą — odpowiadam. — Stoję na końcu.

— Będzie papier toaletowy!

— I trampki bez talonów!

Zaczynam liczyć stojących. Ja jestem 54, za mną są już trzy osoby. Z kalkulacji wynika, że mam niewielkie szanse by zaopatrzyć się w rolkę papieru toaletowego lub w parę trampek. Rezygnuję. Ludzie przyjmują to obojętnie, choć zapewne dziwią się mojej lekkomyślności.

Sklep sportowo-papierniczy WPHW mieszczący się przy ulicy Felińskiego 5, jest jedyny w tej części Dąbrowy. Wybudowany w czasie, kiedy powstawało tu nowoczesne osiedle, gdzieś w roku 1964. Wybudowano wówczas długi ciąg pawilonowy wkomponowany w całość architektoniczną osiedla, natomiast nie pomyślano o funkcjonalności umieszczonych tam sklepów i placówek usługowych. Sądzę, że projektant nie zadał sobie trudu by skonfrontować swoje dzieło z potrzebami i wymogami codzienności. Sklep posiada profil zniekształconego trójkąta: szeroka lecz wąska część handlowa, ciasne zaplecze magazynowe i wciśnięta w wierzchołek trójkąta część socjalna. Jest jeszcze korytarzyk długi na pięć metrów i szeroki na metr, w którym zazwyczaj jest składowany towar, gdyż w magazynie od dawna nie ma miejsca.

Projektant nie przewidział wielu rzeczy: tego, że w jednym sklepie będzie naraz tyle branż, że zimą temperatura będzie się utrzymywać w okolicy zera. Teraz jest kryzys, są kłopoty z dostawami, a mimo to w części handlowej towary leżą wprost na podłodze, zajmują pomieszczenie po sufit, nie mieszczą się na półkach, gromadzone są na ladach. Kupujący z trudem przeciskają się wśród stosów łóżek polowych, sanek, nart, krzesełek turystycznych, materacy. Nikt jakoś nie pamiętał, że sprzęt sportowo-turystyczny jest sprzętem przestrzennym, że zajmuje sporo miejsca. Całkowita powierzchnia sklepu wynosi 100 m kw., z czego trzeba było przecież wydzielić szatnię, wc, pokój dla prowadzenia czynności biurowych służący jednocześnie jako pomieszczenie dla spożywania posiłków. Zatrudnione tu kobiety przyzwyczaiły się do cyrkowego poruszania się wśród paczek, pudełek, worków i skrzyń.

Latem nie jest jeszcze najgorzej, problemy pojawiają się z nadejściem mrozów. Kaloryfery są letnie, a zważywszy na lekkość konstrukcji pawilonu panuje tu zima. Nie można włączyć dodatkowego ogrzewania (piecyki elektryczne, słoneczka) gdyż dookoła jest papier łatwozapalne zabawki, ubrania sportowe... Sprzedawczynie marzną, odmrażają ręce, wciągają na siebie ciepłe ubrania. Często przychodzą towary w skrzyniach drewnianych (fotele turystyczne z importu), obite taśmą metalową, solidnie zmontowane. Co wtedy? Ano kobiety biorą ciężkie młotki i rozbijają te skrzynie na podwórzu, na śniegu i mrozie, bo żadna skrzynia, nie mieści się w drzwiach pawilonu, nie można jej wnieść do środka. Dwie tłuką młotkami w deski, a dwie inne stoją za ladą. Bo w tym sklepie nigdy nie ma przerw na przyjęcie towaru.

Sklepem kieruje od 11 lat ALINA FENDER. Po ukończeniu Zasadniczej Szkoły Handlowej początkowo pracowała w sklepie papierniczym przy ul. Kilińskiego jako sprzedawca, a że była ambitna, uczyła się zaocznie w szkole średniej. Po 8 latach pracy, w czasie których zdobyła uznanie swoich przełożonych, powierzono jej nowo wybudowany, jedyny wówczas na osiedlu, sklep sportowo-papierniczy na ul. Felińskiego 5. Jej poprzednicy, którzy byli tu krótko, nie zawsze dbali o zaopatrzenie, o dostawy atrakcyjnych towarów, o przyciąganie klientów. Dookoła pawilonu przybywało domów, wybudowano 3 szkoły, niepomiernie wzrosło zapotrzebowanie na zeszyty, atrament, kredki, ekierki. Trzeba było w krótkim czasie z małego sklepiku stworzyć placówkę handlową na miarę potrzeb osiedla.

— Czy było łatwo? — pytam.

— I tak i nie. Tak — bo nie było kłopotów z towarem, dostarczano każdą zamówioną ilość, nie — bo oprócz mnie były tylko dwie sprzedawczynie, które dość często odchodziły z pracy, porzucały sklep lub zwyczajnie nie nadawały się do pracy w handlu. Sklep nie miał własnego telefonu, porozumiewanie się z dyrekcją było utrudnione, gdyż każdorazowo trzeba było jechać w drugi koniec Łodzi, na Bałuty, na ulicę Teresy.

— Jaki ma pani personel teraz?

— Myślę, że dotarliśmy się. Bardzo dobrze pracuje mi się z BARBARĄ NOWICKĄ, która już 19 lat stoi za kontuarem i przez ten czas ani razu nie korzystała ze zwolnienia lekarskiego, ani razu nie opuściła dnia pracy. Jest świetnym pracownikiem, zna swój fach, dużo umie, zawsze uczy młode dziewczyny, które pragną związać się z handlem. Oprócz niej są jeszcze TERESA SADLIŃSKA i SYLWIA MARKOWIAK. Ale wszystko jest jeszcze przed nimi.

— Co to znaczy być kierownikiem sklepu?

— Przede wszystkim, to umieć ten sklep zaopatrzyć w towar. Mówi się, że teraz jest kryzys: a przecież nie zawsze mamy miejsce na artykuły sportowe czy na zabawki. U nas ciągle jest coś nowego, ciągle mamy dostawy, może mniej jest asortymentów, ale ilościowo nic się nie zmniejszyło. Tylko, że ludzie teraz biorą wszystko co im wpada w rękę. Inna sprawa — to odpowiedzialność. Kierownik nie powinien się bać odpowiedzialności, jeśli sam dobrze pracuje i czuwa nad pracą podległego sobie personelu. Zresztą nie uważam, że kierownik sklepu powinien być urzędnikiem. Ja, jak pan widział, nie siedzę przy biurku, a stoję za kontuarem, dźwigam paczki, układam towar. Tylko w taki sposób mogę ogarnąć całość, mogę wiedzieć czego w sklepie już nie ma, co nie jest chodliwe, o co ludzie pytają.

— A odpowiedzialność finansowa?

— Zawsze się tego boję, choć powinnam już przywyknąć do remanentów. Kiedy zaczęłam tu pracę i zjawili się kontrolerzy, doznałam niemal szoku. Przecież byłam tu obca, ludzie, z którymi zaczęłam pracę także mnie nie znali, a ja sama nigdy nie rozliczałam się z obrotów. W domu zapanowała także atmosfera napięcia, denerwowali się rodzice, mąż, rodzeństwo. To były ciężkie i okropne dni. Ale wszystko skończyło się dobrze. I tak jest do dziś. W owych latach zarabiałam 770 zł, więc z czego mogłabym spłacić ewentualne manko?

— Były to inne czasy, było więcej towarów i sądzę, że wymogi klientów były inne?

— Ależ tak, oczywiście. Ludzie nie oblegali lad jak to bywa teraz, nie mieliśmy tu tego rodzaju scen, jak w dniach, kiedy jest dostawa papieru toaletowego. Nasze obroty w tamtych latach sięgały pół miliona w ciągu jednego miesiąca, a dziś, mimo tego, że jest mniej towaru, odprowadzamy dwa miliony złotych!

— Czyżbyście zaczęły lepiej sprzedawać?

— Nic podobnego: po prostu wzrosły ceny.

— Może pani przytoczyć kilka przykładów?

— Proszę bardzo: narty dziecięce bakielitowe kosztowały kiedyś 675 zł, dziś kosztują już 1.950 zł, mały wózek do lalek „Basia", który i wtedy nie był tani, bo kosztował 560 zł, teraz kosztuje 1.100 zł. Najlepiej ruch cen w górę widać w odniesieniu do sprzętu sportowo-turystycznego. Proszę sobie wyobrazić, że materac jednoosobowy z 250 zł został podniesiony do 1.000 zł, a piłka skórzana z 320 zł na 1.200 zł, półtrampki szkolne z 70 zł na 235 zł. A papier? Dawniej zwykły toaletowy można było nabyć za 2,20 rolkę, teraz płaci się 9 zł. I jeszcze ludzie chcą rozwalić sklep, urządzają kłótnie, niemal dochodzi do bójek.

— Może tego papieru jest za mało? Gdyby były ciągłe dostawy, skończyłyby się kolejki.

— Nie skończyłyby się, niech pan w to nie wierzy. Dziś ludzie biorą absolutnie wszystko. Rozumiem, że do sklepu przychodzi dziecko i chce kupić zeszyty. To jest prawidłowość. Ale ludzie starzy? Po co im tyle zeszytów? Dlatego sprzedajemy po trzy sztuki, choć może w ten sposób krzywdzimy uczniów.

— A czego pani nie ma w sklepie?

— Nie można powiedzieć, że czegoś nigdy nie ma, czasem przecież pojawiają się niewielkie ilości artykułów i sprzętu bardzo poszukiwanego. Przede wszystkim rzadko bywają kuchenki turystyczne, butle gazowe, ocieplane kurtki dziecięce, dresy, rowery, wózki turystyczne dziecięce...

Nasza rozmowa zostaje coraz to przerywana przez odwiedzające sklep „oficjalne osoby urzędowe". Najpierw długo siedział przedstawiciel PZU spisując tzw. ubytki, czyli uszkodzone towary powstałe w czasie transportu lub z wadami fabrycznymi, potem przyszły cztery panie z WPHW z taśmami i zaczęły mierzyć pomieszczenia, gdyż sklep będzie poddany remontowi.

— Zlitujcie się! — woła kierowniczka. — Nie róbcie mi remontu w tym roku, kiedy mamy tyle towaru!

Panie śmieją się i dziwią się naiwności tak doświadczonej osoby. Jej przestrach wyraźnie je rozbawił.

— Co pani! dziś tylko zmierzymy wszystko dokładnie, a remont może będzie za pół roku, może za rok, a może i później...

Pani kierowniczka uspokaja się. Jej strach był jednak uzasadniony: sklep jest zapchany wszelkim dobrem, korytarzem nie sposób przejść, wszędzie paczki (akurat nadeszły buty turystyczne i buty do jazdy na łyżwach), całe pryzmy sanek, stosy składanych importowanych łóżek turystycznych, piękne materace jedno i dwuosobowe, pudełka z zabawkami... A przed ladą tłumy kupujących, drzwi się nie zamykają, gwar jak na rynku z warzywami.

Kiedy panie z taśmami mierniczymi odeszły, ponownie pytam kierowniczkę o receptę na dobrego szefa tego typu placówki.

— Mówiłam, że trzeba być operatywnym i trzeba umieć pracować z ludźmi. Samo współdziałanie z podwładnymi to jeszcze za mało, należy być stanowczym, umieć tymi ludźmi kierować. A to wcale nie jest proste. Do pracy przychodzą różni ludzie, często nieuczciwi, czasem lenie. Z reguły są to młode dziewczyny wymagające jeszcze opieki i dozoru. U nas nie tylko stoi się za ladą, ale trzeba posprzątać pomieszczenia, umyć podłogi i je wypastować, potrafić odpowiednio ułożyć towar. To wielu zniechęca, ale jeśli już jakaś dziewczyna pozostaje, to wiadomo, że chce związać się z handlem na stałe.

— Czy wymaga pani od dziewcząt przychodzących tu do pracy, jakichś dodatkowych umiejętności?

— To nie ja wymagam, wymaga tego codzienna praca. Dla przykładu: przychodzi partia rowerów i każdy z nich trzeba umieć skręcić, przystosować do natychmiastowego użycia. Albo dajmy na to klient chce aby mu zademonstrować pracę takiej czy innej zabawki mechanicznej, pokazać na czym polegają różne gry logiczne czy kombinacje klockowe. Więc uczymy się, musimy wiedzieć co i jak.

— A wszystko to pomiędzy 10 a 18?

— Jest to czas przeznaczony na pracę, na obsługę kupujących. Nasza praca nie kończy się po zamknięciu drzwi i zawieszeniu kłódek. Codziennie trzeba cały sklep sprzątnąć, ułożyć towar, umyć podłogi, zapastować. I dopiero wówczas rozchodzimy się do domów. Najgorzej będzie zimą, kiedy ręce przymarzają do metalu, a woda prawie zamarza.

— Proszę powiedzieć, jak się układają stosunki pomiędzy wami a waszymi klientami?

— Różnie. Czasem są mili, czasem aroganccy. Niekiedy zdarzają się scysje wynikające z ograniczeń sprzedawanych ilości niektórych towarów. Ludzie za ten stan obarczają sprzedawców. Jeśli tłumaczę jakiejś kobiecie, że mogę jej sprzedać tylko trzy zeszyty, natychmiast słyszę, że jestem taka czy owaka, że pewnie sama handluję pokątnie albo sprzedaję paserom. Jeśli staramy się dzielić papier toaletowy tak, aby najwięcej ludzi mogło go otrzymać, zawsze znajdzie się ktoś, kto chce od razu cały worek i wywołuje w sklepie zamieszanie obrzucając nas wyzwiskami. Tak więc musimy być nie tylko grzeczne, ale i cierpliwe, nie pamiętające urazów. To wielka sztuka, proszę mi wierzyć.

— Ostatnio handel pracuje w wolne soboty. Co to daje wam, ludziom stojącym za kontuarami?

— Będę szczera: z mojego rozeznania wynika, że praca w wolne soboty nie przynosi zysków. Z reguły w te dni panuje u nas spokój, rzadko kto przychodzi, czasem wejdzie klient, bo widzi, że drzwi są otwarte. Tak jest do południa, później jesteśmy same do 18.

— Czy może pani ten stan zilustrować zyskiem finansowym, w postaci konkretnych złotówek?

— Zestawię wolną sobotę 11 września, kiedy utarg wyniósł zaledwie 46 tys. zł, z poniedziałkiem 13 września, kiedy to uzyskaliśmy 161.500 zł. Te dwie sumy mówią same za siebie. Przecież jest jakaś prawidłowość i zależność pomiędzy dniami pracy w handlu a urzędami, szkołami i przemysłem. Myślę, że należałoby to jakoś uregulować: albo wszyscy pracujemy w wolne soboty, albo nikt.

— Jednak sklepy z pieczywem, mleczarskie, garmażeryjne zdały egzamin...

— Oczywiście, niech będą sklepy dyżurne, ale nie robić tego w każdej branży, do tego w takiej jak nasza. Tamte sklepy pracują na zasadzie pogotowia, bo bez chleba w domu trudno jest się obyć, natomiast czy ktoś kupi sanki w wolną sobotę czy w poniedziałek nie ma większego znaczenia.

— Właściwie wyczerpaliśmy temat, chociaż muszę zadać pani na zakończenie naszej rozmowy pytanie osobiste: czy nie znudziła się pani ta praca, to codzienne przychodzenie przed dziesiątą rano, a wychodzenie późnym wieczorem?

— Nie widzę siebie gdzie indziej. Zdarza się, że jestem zirytowana, ktoś mnie zdenerwuje, ale przecież nigdzie nie jest tak, że wszystko idzie gładko. Obserwuję swoje młode pracownice i cieszę się, że zaadaptowały się, że przystosowały się do sytuacji konfliktowych, że nie tragizują, umieją rozładować powstałe napięcie. Myślę, że jest w tym zasługa Zasadniczej Szkoły Handlowej, która je przygotowuje do tego trudnego zawodu, a także spory wkład nas, starszych pracownic.

Kiedy wychodziłem ze sklepu już kolejki nie było, bo nie było ani jednej rolki papieru toaletowego. Ale przy ladach nadal było tłoczno. Najwięcej ludzi stało przed stoiskiem z zabawkami, choć te ostatnie posiadają dwie wady: są drogie i brzydkie. Szczególnie układanki z plastyku w smutnych, jednostajnych kolorach, jakieś takie tandetne, wywołujące w dzieciach niechęć.

Obok stoiska papierniczego zanotowałem kilka rozmów:

— Proszę znicze, ale te tańsze, po 19 zł sztuka.

— Może pani chce takie po 45 zł?

— Za drogie, temu co leży jest przecież wszystko jedno, byle się świeciło.

* * *

— Proszę kredki.

— Nie ma żadnych.

— A bloki rysunkowe?

— Nie ma.

— To może jest plastelina?

— I plasteliny nie ma.

* * *

— Chcę zeszyt w kratkę dla ucznia drugiej klasy.

— Nie mamy w ogóle zeszytów w kratkę.

— Były kiedyś takie ładne chińskie piórniki...

— Niestety, dawno już takowych nie mieliśmy.

* * *

Sklep pełen towarów, ale nie ma tych najbardziej potrzebnych. Natomiast, jak na ironię pełno jest grubych foliałów tzw. „Złotych ksiąg" i „Ksiąg pamiątkowych". Ceny: 470 zł. Jest sporo klaserów za 1.500 zł, albumów za 550 zł, różnorakich szkolnych pamiętników, do których młodzież wpisuje rozmaite sentencje i tzw. złote myśli. Ale najtańszy, cieniutki pamiętnik kosztuje 50 zł, trochę lepszy 150. Samo życie.

W kręgu fantastyki

STAR-CLUB

WIKTOR KOŁUPAJEW

Huśtawka Pustelnika

11

Jestem wolny na kilka godzin — powiedział Trajkow. — Tu może mnie zastąpić Eva. Co mam robić?

— Dobrze byłoby obejrzeć akumulatory energii, Nik.

— Sprawdzę.

— A ja chciałbym zobaczyć, co się w ogóle dzieje na terenie Centralnej. Potrzebny mi łazik. Skocz do Evy i zostaw jej gdzieś na widocznym miejscu radiotelefon i kartkę, żeby się nie denerwowała i nie szukała nas. Łącz się ze mną jak najczęściej, zwłaszcza jeśli zobaczysz cokolwiek niezwykłego, niezrozumiałego. Nawet najmniejszy drobiazg.

— Rozumiem, Erli. Idę.

— Zaczekaj. Przecież równik planety przechodzi przez Centralną.

— Tak.

— Czy komuś przyszło do głowy, żeby jakoś oznakować tę linię? Może będę ją mógł znaleźć na terenie Centralnej?

— Linia równika jest wyznaczona kołeczkami. Stap się tym zajmował. Miał takie swoje dziwactwa.

— Razem wyszli na ganek Centralnej. Trajkow skierował się do domku Evy. Erli wdrapał się na dach łazika, otworzył luk i wszedł do środka. Sprawdził układ kierowniczy maszyny. Wszystko było w porządku.

Z wściekłym sykiem łazik ruszył, omijając wielkim łukiem budynek Centralnej. Przejechawszy kilkaset metrów Erli zatrzymał pojazd i zeskoczył na trawę. Orientując się według kopuły budynku przeszedł jeszcze kilkadziesiąt metrów wpatrując się w trawę.

Wreszcie znalazł to, czego szukał. Co kilka metrów były powbijane paliki. Kiedyś najprawdopodobniej były pomalowane jasnoczerwoną farbą, żeby były dobrze widoczne na tle trawy. Teraz po farbie nie zostało najmniejszego śladu. Paliki rozsypywały się pod wpływem najlżejszego dotknięcia.

Erli zebrał kilka takich „byłych" drewienek i ostrożnie włożył do bagażnika łazika. Następnie znowu wsiadł do maszyny, podniósł przednią ściankę, aby mieć lepsze pole widzenia i z niewielką szybkością skierował pojazd wzdłuż linii równika. Wkrótce ukazały się ogromne, poprzewracane i na wpół przegniłe drzewa. Ale na terenie Centralnej nie mogło być takich ogromnych drzew. Po prostu nie zdążyłyby tak wyrosnąć, gdyż zostały przywiezione z Ziemi w postaci nasion.

Erli przejechał jeszcze około kilometra i ostatecznie upewnił się, że na pasie przebiegającym wzdłuż równika w czasie nieobecności załogi „Fiołka" minęło nie kilkanaście dni, ale kilkadziesiąt, a może nawet kilkaset lat. Ile minęło dokładnie czasu dowie się dopiero, gdy wróci na Centralną i przeprowadzi analizy w laboratorium.

Już prawie zdecydował się wracać, gdy jego uwagę przyciągnął czarny pas selwy na horyzoncie. Wydała mu się ona trochę zbyt wysoka.

Pełnym gazem pomknął na przełaj, gniotąc trawę i drobne krzaczki, rozbryzgując wokół maszyny fontanny wody, gdy przecinał niewielkie sztuczne rzeczki i jeziorka, niemal wlatując na pagórki i zjeżdżając w kwitnące wąwozy. Stopniowo zmieniał się wygląd roślinności — stawała się coraz dziksza. Ale nie to go zdziwiło, gdyż uprawiana była tylko środkowa część parku, dalej wszystko pozostawiono samej przyrodzie. Co prawda rośliny — pełzaki, autochtonowie Pustelnika, tutaj się nie zbliżały. Tu występowały tylko rośliny z Ziemi, uprawiane bądź zdziczałe.

Kiedy do granicy chronionej strefy pozostało nie więcej niż 100 metrów, Erli zrozumiał dlaczego pas selwy na horyzoncie wydawał mu się nienaturalnie wysoki. Miejscowe rośliny osiągały nie więcej niż pięć metrów wysokości, ale mogły wdrapywać się jedne na drugie. Natomiast teraz gromadziły się piętrowo tak splecione, że nie można było rozróżnić poszczególnych roślin. Była to straszliwa plątanina korzeni, pni i gałęzi.

Erli wyszedł z łazika i podszedł aż do samej linii pola siłowego. I dopiero w tym miejscu zrozumiał, że to były martwe rośliny, zwalone ogromnym półkolem wzdłuż granicy pola po północnej stronie parku. Wysokość tego zwału dochodziła do stu metrów. Jaka siła mogła stworzyć ten martwy pas? Tylko wściekły, niespotykany huragan, którego siłę trudno nawet sobie wyobrazić. Huragan jak widać szedł z północy i uderzając w niedostępną ścianę pola siłowego porzucał koło niej swoje trofea.

Ale skąd mógł się pojawić taki huragan? Klimat na Pustelniku jest łagodny, bez silnych wiatrów.

W tym momencie Erli zadał sobie pytanie, co się stało z polem siłowym tam, gdzie przecinała je linia równika. Znowu wsiadł do łazika i pojechał wzdłuż zwaliska, którego wysokość wyraźnie się zmniejszała w miarę zbliżania się do punktu przecięcia linii równika z polem siłowym. Ujrzawszy, że wszystko jest w porządku, Erli wyobraził sobie jak kolosalne ilości energii musiało w tym miejscu czerpać pole, aby zatkać wyrwę, a mimo wszystko wytrzymało.

No tak, tu, na Centralnej, gdzie zapasy energii zgromadzonej w gigantycznych akumulatorach są praktycznie niewyczerpane — pole wytrzymało. Ale co pozostało z baz, jeśli nad nimi przeszedł taki huragan? Erli od dziesięciu minut siedział na trawie w cieniu łazika i zbierał myśli. Czego dowiedział się w ciągu tych trzech godzin?

Naprawdę dokładnie wiadomo tylko jedno: Ezry i Jumma już nie ma. Są martwi. Wszystko, co znajdowało się wzdłuż linii równika zestarzało się o kilkadziesiąt lub nawet kilkaset lat. Ale możliwe też, że jest to robota jakichś mikroorganizmów. Kilkaset kilometrów na północ od Centralnej powstało nieznane pole, ekran siłowy odpychający od siebie przedmioty materialne i nie przepuszczający fal radiowych. Na Pustelniku w czasie nieobecności „Fiołka" przeszedł niespotykany huragan.

Ludzie z baz nie odpowiadają na wezwanie Centralnej...

Jak połączyć to wszystko w jedną całość...?

— Erli! — usłyszał głos Trajkowa. — Słyszysz mnie?

— Słyszę, Nik! Co tam u ciebie?

— Rzecz w tym — głos Trajkowa był zupełnie spokojny — co mam zrobić z ludźmi, którzy włóczą się koło akumulatorów energii?

— Jacy ludzie, Nik? Co ty mówisz? — Erli skoczył i jednym susem znalazł się we wnętrzu łazika.

— O ile pamiętam, to nieoficjalnie umówiliśmy się, że w żadnym wypadku nie będziemy się nawzajem uważać za wariatów. Erli, tu jest kilku ludzi. Na razie mnie nie widzą, albo udają, że nie widzą. Nie znam ich. Na Centralnej nie było takich.

— Zaraz będę u ciebie, Nik.

— Wspaniale. Jestem na IV północnym akumulatorze. Łazik stoi na dole, a ja jestem na samej górze.

Erli rzucił się do sterów, motor ryknął i maszyna ostro skręcając na południe pomknęła ku widniejącej w oddali kopule Centralnej Stacji. Erli nie chciał, żeby obcy zauważyli go wcześniej, niż on sam tego zapragnie. Co to za ludzie? Na Pustelniku znajdowało się 214 osób. Czworo z nich żyje. Dwóch jest martwych. O pozostałych dwustu ośmiu na razie nic nie wiadomo. Gdyby to byli ludzie z ekspedycji, Nik poznałby ich na pewno. Tu wszyscy znali się przynajmniej z widzenia.

Czyżby to byli przedstawiciele cywilizacji, która stworzyła bazy i Centralną? Jeśli tak, to oni są wszechmocni w porównaniu z piątką Ziemian, którzy pozostali. Mogą zrobić z nimi wszystko, co zechcą. Wrócili do swoich włości. Co zrobią? Co im powiedzieć? Jak wyjaśnić im historię Ziemian?

Kiedy do Centralnej pozostało nie więcej niż dwa kilometry, znowu został wezwany.

— Erli! Czy istniejesz? Jesteś? Erli!

— To ja, Erli. Obudziłaś się, Eva? Gdzie jesteś?

— Erli! Zabierz mnie! Wywieź mnie! Rób ze mną co chcesz, ale zabierz mnie stąd. Ja zwariuję! Nic nie rozumiem!

— Gdzie jesteś, Eva?

— W centrum łączności. Tak jak Nik napisał na kartce. Siedzę tu już pół godziny. Nikt mnie nie wywoływał. Zupełnie, jakby wszyscy wymarli, jakby wszyscy gdzieś zniknęli!

— Myśleliśmy, że śpisz.

— Widziałeś ich, Erli?

— Kogo?

— Ezrę i Jumma.

— Tak... Widziałem...

— Oni dopiero co wyszli z ośrodka łączności. Zabierz mnie! Mamy przecież rakietę. Za trzy miesiące przyleci „Warszawa"...

— Eva! Co się z tobą dzieje? Uspokój się. Zaraz u ciebie będę, ale najpierw muszę zobaczyć się Nikiem, Ezry i Jumma nie ma. Oni nie mogą chodzić. Nie ma ich.

— To znaczy, że jednak zwariowałam. W takim razie pozostaje mi tylko spojrzeć w lufę tego oto blastera.

— Nie waż się, Eva! Słyszysz? Ani się waż!

C.D.N.

Edgar Burroughs i jego książki

Nawiązując do publikowanych we wcześniejszych numerach „Odgłosów" artykułów poświęconych książkom fantastycznym wydanym przed wojną, zdecydowałem się napisać kilka słów nie o jednej książce, lecz o większym fragmencie twórczości niegdyś bardzo popularnego autora amerykańskiego — Edgara Rice'a Burroughsa. Jest to o tyle uzasadnione, że z bogatego dorobku literackiego tego pisarza wydano w Polsce aż dziesięć pozycji, w tym 9 poświęconych przygodom Tarzana. Edgar Rice Burroughs (1. IV. 1875 — 19. III. 1950) zadebiutował w roku 1912 opowiadaniem pt. „Pod księżycami Marsa", opublikowanym przez poczytne wówczas w USA czasopismo „All Story". Z inicjatywy tego wydawnictwa Burroughs dokonał przeróbek dodając więcej wątków fabularnych, co w ostatecznym kształcie ukazało się w formie książki pt. „Księżniczka na Marsie". Powieść ta była pierwszą z liczącego kilkanaście pozycji cyklu marsjańskiego.

W 1914 roku to samo wydawnictwo opublikowało inne opowiadanie Burroughsa pt. „Tarzan wśród małp", które rozszerzone przez autora do wielkości powieści zapoczątkowało słynną serię przygód Tarzana — leśnego człowieka.

Trzecią serię, której akcja rozgrywa się w tajemniczych jaskiniach wewnątrz skorupy ziemskiej, zapoczątkowała powieść pt. „Pod powierzchnią Ziemi" wydana w 1914 roku. W 1912 roku ten niezmiernie płodny pisarz publikuje pierwszą książkę z cyklu „księżycowego", a w 1923 roku ukazuje się powieść pt. „Piraci z Wenus", pierwsza z liczącego kilka pozycji cyklu „wenusjańskiego".

Napisał ogółem ponad 70 książek, co nie jest mało, biorąc pod uwagę liczne zawody, jakie w międzyczasie wykonywał. Służył w Policji Konnej, był poszukiwaczem złota, policjantem, sprzedawcą wyrobów cukierniczych, a wielu innych prac podejmował się dorywczo.

Jako pisarz zadebiutował stosunkowo późno, bo w wieku 37 lat. Życiorys swój starał się owiać nimbem tajemniczości, szerząc wokół siebie pogłoski, jakoby urodził się w Pekinie, gdzie upłynęła również jego młodość. Naprawdę urodził się w Chicago i całe życie spędził nie opuszczając kontynentu amerykańskiego. Zmarł w wieku 75 lat, pozostawiając kwitnące imperium Tarzana oraz majątek, którego nigdy nie spodziewał się zdobyć.

Twórczość E. R. Burroughsa jest do dziś entuzjastycznie przyjmowana przez czytelników, natomiast krytyka literacka nie przypisuje większej wartości jego pisarstwu. O poczytności tego autora świadczą natomiast wielokrotne wznowienia jego książek w Ameryce Północnej oraz Europie Zachodniej, jakie odnotowane są niemal każdego roku. Poddając analizie tylko te pozycje E. R. Burroughsa, które były wydane w Polsce w latach międzywojennych, wyszczególnić należy tytuły, w których elementów fantastycznych jest najwięcej. Już sama postać Tarzana górującego siłą nawet nad lwem jest przykładem fantastycznego supermana, jaki rozpowszechnił się później w całej amerykańskiej fantastyce. Nawet jeśli Tarzan nie był pierwszym literackim nadczłowiekiem, to na pewno zaliczyć go można w poczet pionierów na równi z Człowiekiem Nietoperzem i Supermanem. Gdyby autor pozostał jedynie przy niezwykłych przygodach Tarzana w dżungli, jak to ma miejsce w pierwszej powieści pt. „Tarzan wśród małp", to trudno byłoby zaliczyć ten cykl do fantastyki. Prawdę mówiąc w tej akurat powieści elementów fantastycznych jest najmniej. Dopiero kolejne tomy przygód Tarzana wprowadzają nas w świat science fiction. „Powrót Tarzana", „Tarzan i klejnoty Oparu", „Tarzan groźny", „Tarzan i złoty lew" — zawierają typowe elementy dla tego gatunku literatury. Wymienię kilka: tajemnicze plemiona małpoludów w głębi dżungli, niedostępne miasta potomków Atlantów, żyjące relikty gadów i ssaków z minionych epok. Awanturnicze przygody Tarzana rozgrywają się w tych owianych tajemnicą miejscach, przynosząc czytelnikowi dreszcz emocji. Burroughs umiejętnie połączył dwa rodzaje literackie — powieść awanturniczo-przygodową z powieścią fantastyczną. Rezultatem tego jest udany choć niejednakowo równy cykl przygód Tarzana — leśnego człowieka.

Dla miłośnika science fiction najbardziej interesującą pozycją Borroughsa wydaną w Polsce jest bez wątpienia powieść pt. „Księżniczka na Marsie" (pol. wyd. 1927). Treścią utworu są przygody poszukiwacza złota, Johna Cartera, na Marsie. Bohater powieści w tajemniczy sposób dostaje się z Ziemi na Marsa, który zamieszkiwany jest przez dwa rodzaje istot rozumnych, niepodobnych do ludzi, tzw. Zielonych Marsjan oraz obdarowanych ludzkimi cechami fizycznymi i psychicznymi Czerwonych Marsjan. John Carter budzi się na Marsie, otoczony przez grupę owadokształtnych Zielonych Marsjan. Z uwagi na różnice globów — ziemskiego i marsjańskiego, niczym nie wyróżniający się na Ziemi Carter staje się istotą nie do pokonania, silny, zręczny, skoczny — ujawni swoją przewagę w często staczanych walkach. W końcu staje się wodzem jednej z grup Zielonych Marsjan.

Ci ostatni prowadzą walkę z Czerwonymi Marsjanami. Niszczą ich flotyllę powietrzną i biorą do niewoli córkę jednego z władców Czerwonych Marsjan. Carter przy pomocy oddanych sobie zielonych uwalnia księżniczkę i staje po stronie Czerwonych Marsjan. Punktem kulminacyjnym jest wielka bitwa pomiędzy wojskami dwóch władców Czerwonych Marsjan i ich zielonoskórymi sprzymierzeńcami, w której ostatecznie zwycięża władca Helium, sprzymierzony z nim Carter i jego Zieloni Marsjanie.

Przdstawiłem treść w najbardziej skrótowy sposób, z którego nie można wywnioskować, czy jest to powieść dobra czy zła. Najbardziej wartościowa jest atmosfera wyczarowana piórem autora. Tworzą ją opisy niezwykłych pejzaży oraz życia jej rozumnych mieszkańców. Natomiast dialogi są słabą stroną powieści. Opis Marsa, flory, dziwacznej fauny, rozwijającej się intrygi, pojedynki i starcia grup uzbrojonych w przedziwne bronie obu rodzajów Marsjan, sytuacje zmieniające się jak w kalejdoskopie powodują wszelako, że mimo licznych naiwności książka wciąga czytelnika, zwłaszcza młodego, lubiącego barwną przygodę.

JACEK WÓJCIAK

BIBLIOGRAFIA POLSKICH PRZEKŁADÓW E. R. B.

„Tarzan wśród małp" — tłum. W. Kierat, W-wa, Trzaska, Evert, Michalski, 1921, 23, 24, 35.

„Tarzan w dżungli" — tłum. W. Kierat, W-wa T. E. M. 1922.

„Powrót Tarzana" — tłum. W. Kierat, W-wa T. E. M. 1923.

„Syn Tarzana" — tłum. J. Colonna-Walewska, W-wa, T. E. M. 1924.

„Tarzan wśród zwierząt" — tłum. J. Colonna-Walewska, W-wa, 1923, 1930.

„Tarzan i klejnoty Oparu" — tłum. J. Colonna-Walewska, W-wa, 1924.

„Tarzan groźny" — tłum. Z. Lubodziecka, W-wa, T. E. M. 1925.

„Tarzan nieposkromiony" — tłum. Z. Lubodziecka, W-wa, T. E. M. 1925.

„Tarzan i złoty lew" — tłum. Z. Lubodziecka, W-wa, T.E.M. 1926.

„Księżniczka na Marsie" — tłum. Z. Lubodziecka, W-wa, T. E. M. 1927.

W roku 1935 ukazała się ta sama powieść w tłumaczeniu L. Hanuszowej, pt. „Córka Marsa". Ponadto w roku 1938 wydano zeszytowy cykl powieści o Tarzanie w Łódzkim Wydawnictwie Ostoi, pod wspólnym tytułem „Przygody Tarzana — człowieka leśnego".

Kosmostworki ANDRZEJA BIEDRZYCKIEGO

Wilgotniak wyblakły — *Imbuus exalbescus*

Mimo ukazania się miesięcznika „Fantastyka" część miłośników S-F zechce zapewne nadal równolegle czytywać „Odgłosy", w których zamierzamy na kolumnach „W kręgu fantastyki" konsekwentnie publikować utwory młodych polskich autorów, w tym również debiutantów. Kłopot w tym jednak, że po 1 stycznia 1983 roku, nasz tygodnik będzie docierał zapewne tylko do części ośrodków wielkomiejskich, gdzie się przyjął, gdzie indziej niestety nie bardzo, a

Szansa w prenumeracie

wożenie na kraniec Polski znikomej ilości egzemplarzy, niezbyt jest opłacalne.

Zainteresowanym czytelnikom spoza Łodzi proponujemy więc prenumeratę, przy której cena egzemplarza spada do 15 zł. Wpłat należy dokonywać na specjalnych blankietach znajdujących się w urzędach pocztowych, podając swój dokładny adres z kodem pocztowym, tytuł naszego pisma i jego indeks numer 36762. Prenumerata kwartalna kosztuje 195 zł, półroczna — 390 zł, roczna — 780 zł, zaś termin opłat mija już za kilka dni, bo 15 listopada.

WSPÓŁREDAGUJE WARSZAWSKI SFAN-CLUB,
ALEJE JEROZOLIMSKIE 2, GROTEKA, 00-375 WARSZAWA

W kręgu fantastyki

Asfalt wysechł i wykruszył się. w niektórych miejscach wypuścił roślinki. Wrośnięte słupki miały kilkaset lat. Ile mil jest stąd do zburzonego miasta? Cyfry zatarły się. Cyfry tamtych lat. Cyfry wojny. Dobrze im tak — myślał mężczyzna. Szedł cicho. Stopił się z lasem. Czuł jego drżenie drzewa tętniły, drzewa śpiewały, drzewa rozmawiały, a smutny uśmiech nadal gościł na jego twarzy.

Zrobiło się jaśniej, tu las kończył się. Hen, po horyzont ciągnęła się sawanna. Bliżej jej środka rosło samotne drzewo. Odwiedzał je dwa, trzy razy w miesiącu.

Tyle zmieniło się na świecie. Dziwne. Nadal jestem astronomem. Musze doglądać swoich urządzeń. W gałęziach światłoczuła aparatura notuje temperatury gwiazd. Za dnia drzewo rozciąga się, liście rozwijają najszerzej. Powój rozrasta i wije się dosłownie w oczach. Maleńkie urządzenia znikają w zielonej masie. W nocy zielonoś cofa się, kurczy, wystawiając fotokomórki na światło wschodzących gwiazd. Tak. Drzewo od lat pracuje dla mnie, podobnie jak inne rośliny w ogrodzie. Kocham...

...Szmer powtórzył się, niewyraźny, jednak instynkt podpowiadał mu, że coś krąży w pobliżu. Rozejrzał się szybko. Nic. Tylko trawy kołysały się łagodnie. Przyłożył ucho do ziemi. Wysuszona ziemia, która nie chłonęła deszczu od prawie pół roku, doskonale przewodziła dźwięk. Teraz wyraźnie już usłyszał: jakieś wielkie zwierzę szło w jego kierunku trąc brzuchem o podłoże. Dziwny dźwięk błądził wśród wysokich łodyg, odbijał się od nich, powracał i dochodził z innej strony. Blisko. Mógł go wydawać tylko okrutny, pustynny potwór, o którym nasłuchał się legend. W tej chwili wydało mu się, że ciepły sirocco szczypie teraz mrozem jego policzki. Powoli wyprostował się. Zdjąć karabin z pleców, uwolnić się od jego ciężaru, wprowadzić nabój do lufy, zatrzasnąć zamek... nie, nie. te obrazy z przeszłości podrzucała mu wyobraźnia, dawno, dawno nie nosił broni, czuł do niej wstręt. Ohyda czarnej, popalonej twarzy ojca z policzkami, na których zamiast łez spływały wyciekłe oczy. Wypuścił gwałtownie powietrze. Koszmar uleciał. Pomyślał o Drzewie. Gdyby nie on, byłoby już martwym, sterczącym na pustkowiu kikutem. Pół roku gorący wiatr pożerał sawannę. Człowiek nosił Drzewu wodę w bukłakach przytwierdzonych do pleców. Czasem trzy razy tygodniowo. Teraz Drzewo rozgrzewane w końcu mechanicznym brzmieniem, którego ani wchłonąć, ani wyrzucić z siebie nie mogło, zapomniało o wdzięczności. Zesłało pustynnego potwora.

Mężczyzna zobaczył go wreszcie. Leżał płasko w niewielkim zagłębieniu, dziwny dźwięk zmienił się w rozpaczliwe kwilenie. Ten okaz pupo był niski, za to tułów miał nieproporcjonalnie wydłużony. Gadzi, ale nie pokryty łuską tylko sierścią. Łapy tylne skoczne i umięśnione. Przednie, opatrzone mocnymi rogowymi pazurami były łapami drapieżnego ptaka. Cały śmierdział. Człowiek poczuł obrzydzenie, ale przez chwilę nawet współczuł stworzeniu — tak żałośnie wykrzywiało kocią mordę, tak boleśnie lśniły kły na słońcu. Lśniły kły na słońcu? Bzdura! Co za straszna bzdura. Zreflektował się. Za późno. Zwierzę już biegło za nim, nieefektownymi, ale sprawnymi ruchami; odległość pomiędzy nimi zaczęła się zmniejszać...

...Uciekał. Zamknął oczy. W powietrzu chwytanym haustami coraz wyraźniejszy był przyjazny zapach docierający od strony Drzewa. Uciekał jednocześnie w przeszłość. W tej chwili, na pograniczu życia i śmierci, zobaczył uśmiechniętą twarz Ewy-malowniczki. Obrazy, które malowała pachniały kwiatami. Gdy zawieszała je na zewnątrz swojego małego, drewnianego domku, wydawało się, że ogród się w nich przegląda. Ewa wykluła się z jajka, może przyniósł ją wiatr, a tak naprawdę była zawsze swobodna i piękna.

Rys. Jarosław Grzędowicz

Likaon

ROBERT AZEMBSKI

To było tego dnia, w którym jezioro pogniewało się na nich. Ewa koniecznie chciała, aby fosforyzujące rybki wyszły w nocy z jeziora i przedefilowały po ogrodzie. Oburzenie na kaprys dziewczyny było powszechne. Rybki nie mają czasu ciągle bawić ludzi. I właśnie z tego powodu Jezioro nie chciało falować, łódka stała nieruchomo. Ewa, pieszcząc palcami stopy jego uda, opowiadała o zwierzętach pustyni:

— Świt. Cała pustynia wzdryga się. To Wielki Likaon wyja. Wtedy wszyscy wiedzą, że wyrusza wraz ze swoim stadem na łowy. Uciekają lwy, pierzchają gepardy. Wielki nigdy nie poluje samotnie. Zawsze w gromadzie. Czuje siłę wszystkich likaonów. Czuje ich wolność. Wiesz, piszą o nim, że jest to faszysta w przyrodzie. Dziwne słowo — faszysta. Ciekawe swoją drogą kto jeszcze dzisiaj piszę książki...?

— Widziałaś go kiedyś — spytał Piotr.

— Likaona?

— Tak.

— Widziałam — przeciągnęła się aż łódka się zakołysała. Desk! trzeszczały, nagrzane słońcem.

Był samotny. Zobaczył sympatycznego stworka, chciał się zwierzyć. Szukał przyjaźni, uspokojenia, przytulenia zamiast śmiertelnego ścisku. Tym razem nie. To był Pupo. Wykorzystuje podstępnie zbliżenie wszystkich zwierząt, wielki powrót do natury. Upodabnia się do psów, kotów, krów, koni całymi watahami ciągnących do lasu. Piszczy, budzi litość, zaufanie, a gdy zaciekawione zwierzę podejdzie bliżej...

— Zabija! — wyszeptał Piotr, żeby nie gorszyć Jeziora.

— Tak. Zabił Likaona. Jedno dziwne zwierzę zabiło inne. Lecz jestem pewna, że Wielki Likaon upomni się kiedyś o śmierć swojego brata...

...Pupo przegryzał powalonemu człowiekowi kołnierzyk koszuli.

— Nie udała mi się ta podwójna ucieczka — pomyślał Piotr.

Zdziwiony patrzył na ręce, ożywione jakimś własnym wewnętrznym duchem. Rozpaczliwie odpychały mordę bestii. Instynkt walki silniejszy od każdej idei. Nawet idei pogodzenia w Przyrodzie. Chwycił potwora za ten wstrętny łeb, ciągnął z całej siły, aż kręgi zwierzęcia zatrzeszczały. Nagle zobaczył, że zamiast prawego nadgarstka ma tryskający krwią strzęp ciała. Nie poczuł, tylko zobaczył. Potem przyszła fala bólu i długa, długa podróż w ciemności.

...Najpierw dotarł do Piotra ten sam przyjazny zapach ku któremu niedawno w półobłąkaniu biegł. Zmieszany z bólem, po chwili zintensywniał i zamienił się w coś ciepłego, miękkiego. Dotknęło mu dwukrotnie twarzy. Podrzucił gwałtownie głowę. Obok znajomego pnia Drzewa stał Wielki Likaon, duma Przyrody. Podobny do psa, tylko znacznie większy. Sierść miał koloru jasnożółtego, z brązowymi plamami na boku. Uśmiechał się. Kochana cudowna morda. Zawdzięczał jej życie. Nie bojąc się wcale Piotr przytulił kanciasty, długouchy pysk. Daleko rozległ się bolesny skowyt. To stado dopadło Pupo dopełniając zemsty.

Wracali razem. I Piotr i Likaon nie chcieli rozstać się. Wdzięczność mieszała się z podziwem. Likaon zostawił stado, aby pójść z tym długim, niesamowicie inteligentnym zwierzęciem. Pragnął zobaczyć słynny ogród, w którym rośliny nie tylko rosły, ale i żyły. Chciał też poznać tajemniczą mieszkankę ogrodu — Ewę. Piotr nakarmił Likaona mięsem z zapasów. Teraz szli obok siebie, jak równy z równym, a las wtórował ich krokom.

Wieczór zapadał, gdy znaleźli się na rubieżach Ogrodu. Suchy step nagle eksplodował roślinnością. Przedzierali się przez kolorowe mury posplątywanych fikusów, podkarpii, lian, wyrośniętych storczyków i wielu nowych, nieznanych roślin. Wszystko wokół falowało, zmieniały się kształty. Cienie wirowały. Od powietrza aż nabrzmiałego tlenem zakręciło się wędrowcom w głowach. Upał zaczerwienił oczy. Piotr prowadził, z mieszkańców Ogrodu na najlepiej znał jego, ścieżki i tajemnice, chociaż czasem mylił się. Ogród w zasadzie nie był niebezpieczny, jednak zabłądził w nim już nieraz.

Krętą ścieżką przeciskali się przez zarośla bambusowe. Teren lekko podchodził wodą, pod nogami i łapami chlupało. Blisko musiało być jezioro...

Zarośla skończyły się. Wyszli na równinę. Gdzieś zaśpiewała palma, mocnym, wieczornym głosem. W cieniu skał krzew kawowy rozmawiał z bananowcem. Ucięli sobie taką pogawędkę przed snem.

Teraz droga stała się uciążliwsza. Wszędzie piętrzyły się skały, porośnięte dziwnymi mszakami o szerokich, raz kulących się, raz rozszerzających liściach. Szli tunelem z głazów, a właściwie nie tunelem, tylko kamiennymi altankami. Słońce zaszło, lecz trochę dnia utrzymywało się jeszcze. Wreszcie zobaczyli jezioro. Piotr znał je dobrze, była to ta sama woda, którą lubił odwiedzać z Ewą. Cicha. Połyskująca.

— Przenocujemy tutaj — powiedział do dyszącego Likaona. Twardziel z ciebie, odpocznij teraz trochę. Jeśli ruszymy rankiem jest pewność, że dojdziemy do obserwatorium nie błądząc.

Obudziło go mokre łaskotanie. Nie to, żeby nagle zalała go woda czy poczuł, że leży w wodzie, tylko właśnie łaskotanie. Otworzył oczy. Gwiazdy świeciły. Strużka wody, łaskocząca mu twarz brała swój początek w Jeziorze. Wyglądało to tak, jakby dziecko z jego miejsca wyżłobiło dojście do wody, bawiąc się w „tamę". Zrozumiał, że to właśnie Jezioro go obudziło. Nagle popłynął przytłumiony potok słów, który raptem wyrównał się i stał zrozumiały: „Odejdź teraz, nie wpuszczaj Likaona do obserwatorium, odejdź, sprowadzi na ciebie nieszczęście, nie wpuszczaj..."

Piotr zignorował słowa Jeziora. Rano wzruszył w duchu ramionami, poczytując ostrzeżenie za złośliwość. Jezioro mogło nadal chować dawną obrazę. Spojrzał na śpiącego jeszcze Likaona. Futro połyskiwało pięknie, był naprawdę wspaniały.

Poszli. W tej części Ogrodu znać było działalność człowieka. Ścieżka z krótko przystrzyżoną trawą, grządki równe i utrzymane. Na wzgórzu błyszczało obserwatorium. „Bramę wjazdową" stanowiły dwa drzewa rosnące tak blisko siebie, iż można było zawiesić hamak. Piotr miał miłe wspomnienia w związku z tymi drzewami. Zaczepiały jego i Ewę zielonymi chwytnikami w pasie i poruszały miarowo w górę i w dół. Nagle ciała ocierały się delikatnie. Pojękiwali cicho ze wzruszenia i zadowolenia...

Ewa przywitała Piotra z radością. Likaona chłodno i z rezerwą. Niespodziewanie rozpadało się. Deszcz z sykiem parował na rozgrzanym tygodniami dachu obserwatorium. Jedli łapczywie, wygłodzeni po długim marszu. Uśmiech znikł z twarzy dziewczyny. Patrzyła teraz tak jakoś dziwnie, z tłumionym błyskiem przerażenia, może niechęci w oczach. Na skrwawioną, owiniętą leczniczymi liśćmi rękę Piotra, to znowu na Likaona. Na rękę i na Likaona.

Następnego dnia znikła z Ogrodu, w podobny sposób jak pojawiła się kiedyś. Nie zobaczyli jej już nigdy.

Dzień zszedł im na zwiedzaniu Ogrodu. Wieczorem wyjaśniał Likaonowi rzeczy, zjawiska zaobserwowane w Ogrodzie, których nie rozumiał. Napalili w kominku. Na dworze ochłodziło się, mogło lunąć lada chwila. Nadeszła pora deszczowa. Burza czaiła się za ciemnymi, postrzępionymi chmurami.

Piotr opowiadał właśnie o rozwoju Drzewa. Błysnęło. Prawie natychmiast po skałach i drzewach potoczył się grzmot i dotarł nad obserwatorium. Trwało to sekundę zaledwie, kilka pisków przestraszonego Likaona. Za rozświetloną szybą zobaczył ludzi; dopiero gdy huk odpłynął, usłyszał ich łomotanie w ramy okienne. Ludzie! Oprócz Ewy nie widział człowieka od chwili zakończenia wojny. Otworzył drzwi, mężczyźni weszli szybko zamykając je za sobą. Niski, barczysty, rozglądał się ciekawie po pokoju zadeptując wielkimi bucior- rami podłogę. Wyższy, ubrany w skórzaną kurtkę taksował Piotra zimnym, bladoniebieskim spojrzeniem. Obaj nosili na piersiach emblemat — skrzyżowane błyskawice, w środku łeb jakiegoś zwierzęcia. Przypatrzył się dokładniej. Ze zdziwieniem skonstatował, że jest to metalowy wizerunek jego przyjaciela Likaona.

— Jestem Hornst — wycedził przez zęby wyższy. — Zapamiętaj sobie to nazwisko. A to Glinsky — skinął głową w kierunku barczystego. Glinsky! Glinsky stuknął głośno obcasami.

— A ty jak się nazywasz?

— Piotr — odpowiedział zaskoczony.

— Jakie nazwisko?

— Nazwisko... nie pamiętam już. Witajcie. Kiedyś mówili na mnie Piotr-astronom lub po prostu Piotr.

— Słyszałeś? Oń nie pamięta... po prostu Piotr. — Hornst zaśmiał się nieprzyjemnie do barczystego.

Za oknami burza słabła. Deszcz przestał padać, wiatr uspokoił się. Tylko wciąż jeszcze groźnie błyskało. Piotr nie zauważył, że wokół pierścienia Glinskiego uformował się szary obłoczek.

— Wiesz co to jest — spytał dziwnie wibrującym, podniesionym głosem.

— Nie — odrzekł Piotr zgodnie z prawdą. Na podetkniętym pod nos pierścieniu zauważył identyczne insygnia jak na emblematach — skrzyżowane błyskawice i pysk Likaona.

— Nie — powtórzył.

— To — sam nie wiedział kiedy ręka Glinskiego zatoczyła łuk w powietrzu. Trafił go tuż za uchem. Pamiętał jak ktoś zrzucił na niego piłkę futbolową z trzeciego piętra. Teraz wydało mu się, że nie piłka, ale cegła i nie z trzeciego, ale dziesiątego piętra spadła i trafiła go w tył głowy. Głowa — ogień. Podłoga. Zapach kurzu. Drgała, jakby kryła w sobie wielkie serce. Zebrał myśli i przypomniał sobie. Kastet pola. Pierścień wytwarza małe pole, gdy tylko właściciel zaciśnie pięść. Pole dopasowuje się do dłoni, twarde i lekkie, zastępując ciężkie narzędzie. Chroni jednocześnie przed odbiciem kostek.

Myśli Piotra błądziły. Zastanawiał się kiedy kastet wyprodukowano. Kiedy wyprodukowano?

— To na początek — Glinsky mówił przez mosiężną tubę zatkaną ręcznikiem. Zobaczył ironicznie uśmiechniętego Hornsta. Wzięli go pod ramiona i posadzili na krześle.

— Mów teraz — wycedził w charakterystyczny dla siebie sposób — co to znaczy astronom?

Nie od razu odpowiedział. Spojrzał na obojętnego Likaona. Kapka śliny spływała mu po wargach: leżał na własnym ogonie; wygrzewał się.

— Zawód — starał się żeby nie wyczuli drżenia głosu, starał się mówić spokojnie:

Obserwuję gwiazdy, planety, planetoidy. Wyciągam wnioski, kreślę, obliczam. Gwiazdy i słońce mają znaczny wpływ na biosferę naszej planety. Zauważyłem, że aktywność Słońca w ostatnich miesiącach zmalała. W przyrodzie nastąpiło rozluźnienie, postęp. Zwierzęta gnują i rozumieją się z roślinami. Natura ożyła i złagodniała jednocześnie. Tylko człowiek nie nadąża za przemianami. Ja sam często boję się pokazać po sobie zachwyt — nad czymkolwiek. Albo zasnąć bez obawy w ciemną noc wśród kołyszących zapachem kwiatów ogrodu. Człowiek nigdy nie zespoli się z naturą. Jest zbyt obłudny. Uważa, że właśnie słabość i wrażliwość są jego słabościami. I dlatego miota się, piętrzy przed sobą górę żelazobetonu, dlatego sprawia ból i zabija. Tak jak wy, domyślam się, ludzie z równiny...

— Skończyłeś ojczulku? Wygadałeś się wreszcie — Hornst nadal uśmiechnął się ironicznie, a Glinsky oglądał sobie ręce. — Czasy się zmieniają. Tak. Przyszliśmy z równiny, z miasta... —

— Z miasta — zdziwił się Piotr. — Przecież miasto dawno nie istnieje....

— Ty głupcze! Siedzisz tu jak szczur w norze, nie wychodzisz na równinę. Skąd możesz wiedzieć co się dzieje na świecie. W mieście są ludzie. Gnojki takie jak ty. Rozklejeni, bawiący się całymi dniami. Utrzymują kontakty z tą całą zielenizną..

— To o roślinach — pomyślał Piotr.

— Ale na szczęście jesteśmy My. Młodzi, energiczni ludzie. Stworzymy na nowo miasto — z kominami i wspaniałymi maszynami. Wychowamy nową rasę ludzką — odważną i pracowitą. Podźwigniemy cywilizację!

Na twarzy Hornsta ukazały się rumieńce.

— I co zrobiliście dla tej waszej cywilizacji — spytał Piotr.

— Na razie usunęliśmy tego ich tłustego przywódcę Freda...

— Fred-poeta nie żyje— łzy zakręciły się Piotrowi w oczach. Wy dranie, wy wstrętni dranie — chciał się rzucić na Hornsta, ale Glinsky przytrzymał go mocno za ramiona.

— Nie denerwuj się ojczulku — Hornst poklepał go po ramieniu.

— Dla ciebie też mamy zadanie. Musisz się sprawdzić... Cholera wie czy nie knujesz przeciw nam jakiegoś spisku. Ordnung muss sein.

— Podaj mi atlas — zwrócił się do barczystego.

Glinsky podał atlas. Hornst otworzył na ostatniej stronie, skupisko gwiazd zaznaczone było białymi punkcikami.

— Masz czas do jutra rana — powiedział. — Musisz mi odpowiedzieć jaka konstelacja jest tu widoczna.

— Ależ to jest mapa nieba nie sklasyfikowanego. Jak mogę znaleźć konstelację, która pewnie nigdy nie została naszkicowana.

— Nic nas to nie obchodzi. Dajemy ci 10 godzin. Jeżeli rzeczywiście jesteś taki sprytny może się domyślisz.

Powiało zimnym powietrzem. Wyszli trzasnąwszy drzwiami.

Całą noc czytał w rozgorączkowaniu stare księgi astronomiczne, przerzucał sterty ilustrowanych pism. Kartkował atlasy gwiazdowe i opracowania naukowe. Nic z tego. Nigdzie nie było takiego gwiazdozbioru. Odrysował go sobie na kartkę. Pisakiem próbował różnych połączeń i kombinacji między gwiazdami. Wszystko na nie.

— To bluff — myślał Piotr. Chcieli mnie nastraszyć. To niemożliwe. Tu nie ma żadnej konstelacji. To niemożliwe, niemożliwe...

Przyszli tuż przed świtem. Likaona nigdzie nie było. Tylko na świeżo wyczyszczonych emblematach na ich piersiach. Błyskawice lśniły czerwonym blaskiem. Zastali go śpiącego na fotelu. W bezwładnej ręce trzymał zasmarowaną kartkę. W drugiej — pisak. Brutalnie wyrwali go ze snu. W oczach miał przerażenie.

— No i jak ojczulku — drwiąco powiedział Hornst. Glinsky uderzał pięścią o otwartą dłoń. Znalazłeś?

— Nnnnie... Ja nie wiem! Nie ma... nie — bełkotał w kółko. Słowa poplątały mu się.

Hornst wyjął Piotrowi z ręki pisak. Z dzikim wyrazem twarzy pociągnął nim po atlasie. Złączone gwiazdy utworzyły błyskawice. Krzyżujące się ze sobą błyskawice! Zamigotały czerwono. Odpowiedziały im te na emblematach rozżarzając się do czerwoności. — Znak. Godło. Konstelacja — odezwał się po chwili milczenia wzruszony Hornst. Wszystko to my. Najpiękniejsze. Wszędzie. Przewracał kartki i zarysowywał błyskawicami. Tam gdzie była poczciwa Wielka Niedźwiedzica teraz świeciły błyskawice. I tam gdzie odległa Andromeda, gdzie wirujące w biegu Psy Gończe; gdzie Strzelec również. Wszędzie.

Piotr patrzył osłupiały na dwóch ludzi, którzy zamalowywali cały pokój skrzyżowanymi błyskawicami... Zamalowywali na kolanach, na palcach, wykrzywiając tułowia, podtrzymując się wzajemnie. Likaon na ich piersiach ryczał. Ściany, szyby, meble. Wszystko. A kiedy chcieli narysować mu te błyskawice na czole, zaczął bronić się zaciekle. Szare obłoczki zakwitły wokół ich palców. Bili do nieprzytomności.

Powoli wracała świadomość. Budziło się szaleństwo. Dźwignął się na rękach i wstał. Szywne kroki — jeden za drugim — raz i dwa. Wszystko boli. Drzwi. Ciemny pokój. Światło. Otworzył szafę. W głębi leżała żelazna skrzyneczka. Wyciągnął ją i dotknął zamka. Otwarła się bezszelestnie. Chwila wahania. Wyjął dwie metalowe części. Szczęknęły złączone ze sobą. Przetarł szmatką szybkę laserowego celownika...

Zbliżał się świt i było jeszcze chłodno. Podkuliwszy uszy, bez zdobyczy Likaon wracał do domu.

Trzasnęło, jakby ktoś złamał wielką gałąź. Strzał wyrzucił Likaona w powietrze. Lecąc z rozoranymi kulą wnętrznościami jeszcze przez chwilę widział twarz swojego pana — była mokra od łez.

Warszawa, 30 czerwca 1982

kolumna ajencyjna

KOLUMNA DZIESIĄTA A
(bardzo bogato ilustrowana)

KAŻDY, KTO DRUKOWANE TU TEKSTY TRAKTUJE SERIO — CZYNI TO NA WŁASNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ!

FRASZKI Z RÓŻNYCH SZUFLAD

Jerzy Leszczyński (Kraków)

ZMIANA STOSUNKU

Czym narzeczona
jest urzeczona,
tym oburzona
może być żona

Ryszard Przymus (Warszawa)

NASZA CANOSSA

Pokuta
Bez buta

●

OD AJENTA: Z wielu, bardzo wielu fraszek (których — nie posiadając wyższego wykształcenia matematycznego — nie potrafimy niestety ani przeliczyć, ani scałkować, ani nawet zróżniczkować) wybieramy dwie kolejne, przepraszając przy okazji pana RYSZARDA PRZYMUSA, któremu przed dwoma tygodniami niechcący zmieniliśmy nazwisko na PRYMUS. Choć inna sprawa, że ładnie zmieniliśmy, bo byłoby niewątpliwie przyjemnie być prymusem w klasie fraszkopisarstwa.

Przy okazji wyrażamy wątpliwość, czy honorarium wysłane na numer skrytki pocztowej dotrze do zainteresowanego. Pełnego zaś adresu — nie posiadamy.

SERGIUSZ KUKUŁA

Pomoc drogowa

Silnik „Fiata" odmówił posłuszeństwa — jak zwykle — w najmniej stosownym miejscu: na zatłoczonej, ulicy niemal na skrzyżowaniu. Dychając jak szkapa przepchnąłem złośliwą bestię pod ironicznymi spojrzeniami przechodniów w niewielką zatokę przed sklepem i podniosłem maskę. „Sporo tych kabli" — przemknęło mi przez głowę, lecz nie traciłem nadziei. Sprawdziłem wszystkie śruby, zajrzałem nawet do chłodnicy — a ta cholera, nic, ani drgnie. Tylko złośliwe „błe, błe, błe" coraz słabszego rozrusznika. Nerwowo paląc usiłowałem przypomnieć sobie parę szczegółów z niedawnego kursu zakończonego otrzymaniem prawa jazdy, gdy nagle...

— Zobacz pan, czy jest iskra na świecy — dobiegło gdzieś z boku.

— Dziękuję — ucieszyłem się, a sięgając po klucze wystawiłem głowę spod maski, licząc — co tu ukrywać — na dalszą pomoc. Ale nikogo obok nie było. Nie zatrzymał się żaden solidarny zmotoryzowany, przed sklepem stało jedynie kilka dziecięcych wózków, jeden wraz z „zawartością".

— Co się pan gapisz, bierz pan klucz od świec i wykręcaj, pewnie nie zmieniane od nowości — doleciało z wózka.

— Mały, tttoo ty? — z przejęcia zacząłem się jąkać.

— Jąkała w kącie stała — rzucił spokojnie rozparty na poduszce bobas. — A mały to jest... — reszty nie dosłyszałem w smakowitym cmokaniu smoczka.

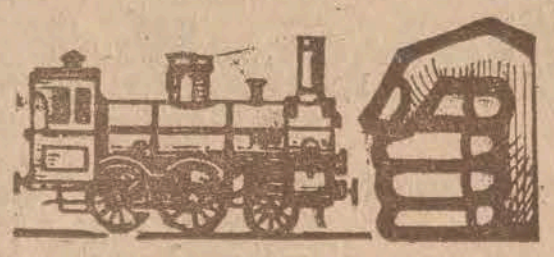

Oniemiały, nie bardzo wierząc własnym uszom, trzęsącymi się rękoma wykręcałem oporne świece. Zmieniłem komplet, ale nic, znów to jałowe jęczenie rozrusznika. „Doradca" milczał, spokojnie wystawiając pyszczycho do słońca.

— I co teraz, kierowco? — rzuciłem to pytanie ni do siebie, ni w stronę wózka.

— Spokojnie, bez nerwów — malec jednym ruchem wypluł smoczek. — Zmień mi pan pieluchę, bo mi „zawory nie wytrzymały", a nie będę się darł za mamą — to powiem. — Tylko łapska pan wytrzyj!...

Uszczypnąłem się dyskretnie, po czym spełniłem żądanie „pomocy drogowej". Maluch mógł mieć najwyżej dwa lata, przyglądał mi się ironicznie przymrużonymi oczami, bębniąc małymi paluchami o krawędź wózka.

— Co pan tak wybałuszasz oczęta — kpił lekko sepleniąc. — Koszulkę do środka — instruował — i śpiochy zapiąć, bo mnie zawieje. — A teraz tak — jakby lekko spoważniał — otwórz pan aparat zapłonowy, potrzebny będzie kawałek szmergla, sorry — papieru ściernego. — Oczyść pan styki przerywacza, sprawdzić trzeba przerwę na platynkach, nie zawadzi przetrzeć dokładnie całą kopułkę. — Potem zostanie już tylko — uśmiechnął się kpiąco — do sprawdzenia cewka zapłonowa, kondensator, no i te parę przewodów.

— No to startuj pan, łaski nie robi, musi „chodzić" — zażartował życzliwie, po czym znów przekręcił się do słonka, spokojnie żując „smoka".

Musiałem mieć niezbyt mądrą minę, bo z odrobiną niechęci i nonszalancji w głosie dodał: — Dobra, dobra, pierwsza porada gratis, następna kosztuje dwie „balonówy".

— Mam w domu paczkę „Humany" — próbowałem go zjednać. Na przyszłość.

— Wyrosłem z tych wiórków — skrzywił się — ale mogą być „Familijne", te wielosmakowe, albo „krówki-ciągutki" — rozmarzył się.

Od strony sklepu zbliżała się obładowana siatkami postawna blondynka. Bobas odwrócił się do mnie pupą, dając znak, że rozmowa skończona. Mama załadowała torby do wózka i ruszyli. Zerkając spod maski „Fiata" wydało mi się, że malec zwolnił przedtem jakąś dźwignię (hamulec ręczny?), mrugając do mnie porozumiewawczo. Na pewno zaś sięgnął pulchną ręką za pazuchę i dyskretnie upuścił na ziemię jakiś karteluszek. Gdy oddalili się na bezpieczną odległość, podniosłem go z chodnika. Niewielka wizytówka zadrukowana była kilkoma linijkami tekstu: „Mechanika pojazdowa — naprawy, konserwacje, przeglądy — szybko, z gwarancją. Pomoc drogowa całą dobę. Adres, godziny urzędowania. Zapraszają: inżynier B. Mikuta i synowie...".

A fe!

Jakiś redakcyjny Walasek (myślimy oczywiście o Robercie Walasku z filmu „Heleny", tak wspaniale zagranym przez pana Piotrusia) podrzucił do ajencyjnego archiwum to oto zdjęcie w brzydkiej nadziei, że się na nim nie poznamy, opublikujemy jako wzorzec współczesnej mody i bon tonu, co zakończy się publiczną kompromitacją.

A fe, koteczku, nie z nami te kawały! Peruki nie wrócą na salony, salony nie powstaną w przytulnych M-3, zaś dobrze wychowana panna nigdy nie trzyma paluszka w buzi. Reszta ujdzie, prawdziwy znawca wychwytuje jednak przede wszystkim drobne niuanse.

Rubryka do wynajęcia

Z okazji jubileuszu, kłopotów energetycznych, nierytmicznych dostaw towarów i innych przypadłości dnia codziennego postanowiliśmy wprowadzić nową, rewelacyjną rubrykę: RUBRYKĘ DO WYNAJĘCIA. Każdy autor — od Czcigodnego Jubilata po Zupełnego Debiutanta — nie tylko ma szansę podnająć tę rubrykę na dowolnie długi okres, ale nawet — jeżeli teksty uznamy za udane — otrzyma też skromne honorarium. Takie piękne perspektywy roztaczają się na przykład przed Eugeniuszem Iwanickim, do którego zgłaszamy tę jedynie pretensję, że druk fragmentów swojej nowej książki zaczął w „Szpilkach", nie zaś na naszej kolumnie.

I odwrotnie jednak: w przypadku wyjątkowych knotów starym, dobrym obyczajem będziemy przesyłać PT Twórcom rachuneczek do uiszczenia. Idąc z duchem czasu przewidujemy zarazem możliwość przedpłat i to w dowolnej walucie, bonach złotówkach, a nawet w bonach rewaloryzacyjnych. Prosimy jednak się nie pchać, zapisy przyjmuje sekretarka, obowiązuje kolejność zgłoszeń, wpłaty wyłącznie do rąk ajenta.

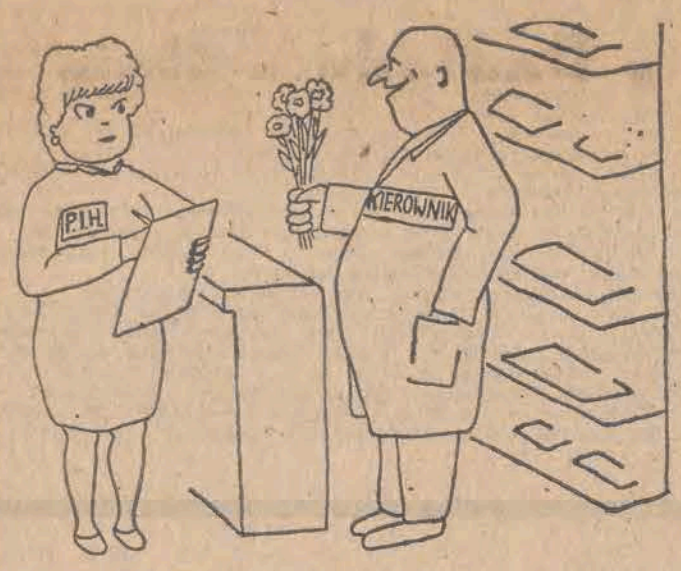

— Słyszałem, że lubi pani węszyć...

Znamy oczywiście wielu znakomitych rysowników, od Szymona Kobylińskiego po Karola Baranieckiego (ten ostatni, bądź co bądź mieszkając z „Odgłosami" po sąsiedzku, wsparłby może kiedyś łaskawie biednego ajenta jakimś zabawnym rysuneczkiem...), od początku mieliśmy jednak ambicję wylansować kogoś młodego, a obiecującego — no i próbujemy lansować.

Oczywiście można grymasić, że kreska jeszcze nie dość wyrobiona, że to, owo, tamto, ale coś w tym jest, są jakieś pomysły, resztą zaś — mamy nadzieję — przyjdzie z czasem.

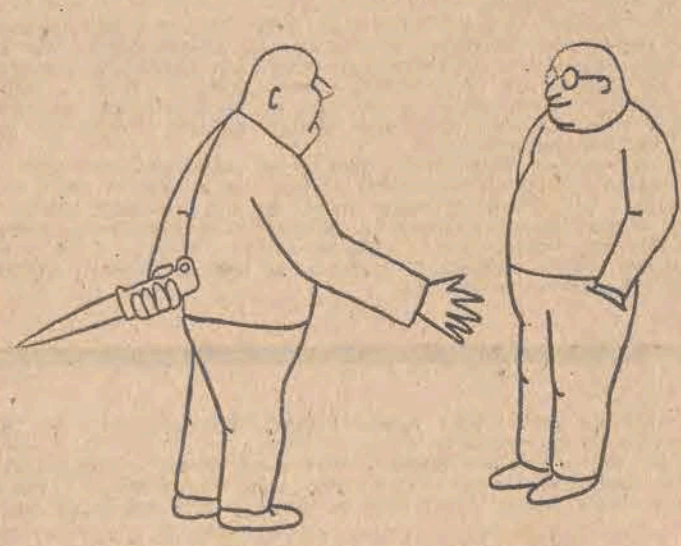

— Nie mam przed tobą żadnych tajemnic...

Rys. JAROSŁAW SZYMAŃSKI

Wciąż i wciąż jubileusz

Postanowiliśmy przedłużyć obchody jubileuszu KOLUMNY AJENCYJNEJ nie z rozrzutności — nasi autorzy wiedzą dobrze, jak skrzętnie unikamy nadmiernych wydatków — lecz z dwóch ważkich, acz odmiennych powodów.

PO PIERWSZE: dla uczczenia faktu, że akurat klasę dziesiątą przerabialiśmy ongiś wyjątkowo dokładnie, bo aż przez dwa pracowite lata. PO WTÓRE: pragniemy odsunąć moment niezbyt miłych rozliczeń z naszej radosnej działalności, sprawozdanie zaś obiecaliśmy przedstawić za pół roku. Wedle naszej numeracji i dokumentacji minęło wszelako zaledwie 10 tygodni, mamy więc niby trochę czasu... Cóż z tego jednak, gdy plajta i tak wydaje się być nieuchronna — otrzymujemy teksty za długie bądź za krótkie, za mało śmieszne lub wcale nie śmieszne, a strumyczek listów płynących początkowo wcale żwawo, zaczął ostatnio jakby wysychać.

Odpowiadamy więc na te nie napisane i nie nadesłane, prawdopodobnie z lenistwa lub braku kopert.

E. K. Łódź: Tak, Drogi Panie, pamiętamy, że jest Pan laureatem, trudno jednak znaleźć właściwą książkę dla kogoś, kto potrafi odróżnić sztukę Mrożka od sztuki — powiedzmy — Szekspira, nie potrafi jednak odróżnić nogi jednej kobiety od nogi drugiej kobiety. W sprawie doboru właściwego tytułu zasięgamy opinii ekspertów, a to — jak wiadomo — trwa długo.

G. O. Łódź: Posiada Pani pomysł, 496 miejsce w kolejce po meble przed łódzkim „Domusem" i 8 złotych. Czy ktoś skłonny jest dołożyć się do trzeciego, żeby przedyskutować pierwsze, bądź odkupić drugie?

Szczerze mówiąc — nie wiemy, interesują nas zresztą wyłącznie miejsca medalowe. A do tego czasu, przy oszczędnym trybie życia i intensywnym myśleniu — będzie Pani miała więcej pieniędzy, no i więcej pomysłów także. Załatwimy więc wszystko hurtem.

Klasztor dla ateistów czyli rozważania pana T.

*

— Gdzie kończy się granica nienawiści? — zapytano T.

Odpowiedział:

— Tam, gdzie zaczynamy gardzić sobą.

*

— Zrobiłbym łatwo karierę — mawiał T. — Lecz wówczas musiałbym zostać łajdakiem.

*

Dziennikarka nie posiadająca biustu i nosząca staniki wypchane gąbką poddawała krytyce kobiety o mocno rozwiniętych piersiach.

— Stworzone zostały by nas niepokoić — odezwał się T. — Pobudzają naszą wyobraźnię, gdy te bez biustów przypominają nam o pokucie.

*

— To człowiek wielkiej wiedzy — mówiono o profesorze K.

— Mylicie się — wtrącił T. — On jest po prostu lepiej poinformowany.

● Lektury przy jedzeniu

PROTEST BARANÓW

Opublikowana przed tygodniem „Świńska piosenka" Włodzimierza Krzemińskiego wywołała ostry protest baranów. Rzecznik baranów oświadczył, że są one — tj. barany — dyskredytowane przez autora, ajenta oraz władze i jeżeli natychmiast nie da się im — baranom — pełnej satysfakcji, to albo wyemigrują, albo przynajmniej wyłysieją, tak że będziemy mieli figę z makiem, zamiast kożucha. Chodzi zaś głównie o to, że szynka barania jest nie gorsza, lecz lepsza od wieprzowej i należy natychmiast podać w tej rubryce smakowity w lekturze przepis.

Pełni strachu czynimy to w ślad za książeczką Anny Czerni „Włoskie potrawy na polskim stole" (wyd. „Watra" 1973).

SZYNKA BARANIA DUSZONA

Szynka barania (ok. 2 kg), pół szklanki oliwy lub oleju, 2 ząbki czosnku, 150 g boczku, 1 cebula, kawałek selera, 2 marchwie, 2 szklanki białego wytrawnego wina, mała puszka koncentratu pomidorowego, pół pęczka zielonej pietruszki, 2 gałązki lebiody, sól, pieprz.

Szynkę obrać z błon i tłuszczu, umyć i osuszyć ściereczką. Natrzeć solą, pieprzem i czosnkiem. W dużej brytfannie rozgrzać oliwę, włożyć do niej szynkę i obsmażyć na złoto ze wszystkich stron. Po chwili dodać drobno pokrojony boczek, posiekaną cebulę, utarte na tarce marchew i seler; gdy warzywa zmiękną, podlać winem. Po wyparowaniu wina podprawić sos rozprowadzonym wodą koncentratem pomidorowym. Wrzucić drobno posiekaną pietruszkę i lebiodkę. Przykryć i dusić do miękkości, przewracając i podlewając wodą w miarę potrzeby.

Podać szynkę w całości razem z sosem: kroić w plastry przy stole. Jako jarzynę podać duszoną paprykę.

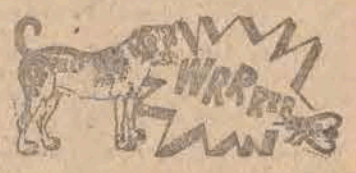

1 Zdarzenia i zwierzenia

Stanisław August

Od jakiegoś czasu znów odżył — toczony już kilkaset lat — spór o ocenę ostatniego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, zwanego zdrobniale acz lekceważąco „królem Stasiem" Opinia publiczna jest przeciw niemu, od lat trwa w narodzie przekonanie, że był to wyjątkowo zły polityk i nieudolny monarcha. Oczywiście tzw. opinia publiczna zawsze woli swoje własne wady i nieudolności zwalać na kogoś, i jest to nawet psychologicznie wytłumaczalne.

Realna rzeczywistość historyczna była jednak inna. Stanisław Cat Mackiewicz pisał przed laty o Stanisławie Auguście: „Jego program, aby wpierw zbudować w Polsce ład, (...) prowadzić politykę, która by odwróciła od nas klęskę rozbiorów, był oczywiście programem rozumnym, celowym i jedynym. (...) Nie potrafił jednak owej woli narzucić społeczeństwu. (...) Winę Stanisława Augusta pomniejsza nieudolność do życia państwowego naszego społeczeństwa w XVII wieku, jego anarchia, jego brak jakiegokolwiek porządku nawet w dziedzinie myśli, a, cóż dopiero czynów. (...) Przegrał Stanisław August, ponieważ miał do czynienia ze społeczeństwem, które konsekwentnie nie tylko działać nie umie, lecz nawet myśleć nie umie" — kończy Cat Mackiewicz.

Jeśli komuś nazwisko tego wybitnego publicysty nic nie mówi, dodam, że był to międzywojenny działacz polityczny z ramienia konserwatystów, poseł na Sejm RP oraz w połowie lat pięćdziesiątych premier emigracyjnego rządu w Londynie. Ale poza tym, że był świetnym pisarzem, był przede wszystkim realistą i zawsze obce mu były mrzonki i herezje polityczne, tak częste w naszych dziejach.

Podobne co u Cata opinie spotykamy i dziś, choćby w głośnym wykładzie prof. Andrzeja Zahorskiego, streszczonym na łamach „Argumentów".

Mówił Zahorski o Konfederatach Barskich, którzy króla chcieli zdetronizować. „Oni rzeczywiście pragnęli Polski niepodległej. Taki był cel. A program? Chcieli wrócić do stanu poprzedniego, odrodzić dawną szlachecką Rzeczpospolitą z jej anarchizmem, osadzić na tronie Sasa, przekreślić to, co zostało zrobione. To było głębokie nieporozumienie i tragedia".

Co robi wówczas Stanisław August? Oczywiście — jak zawsze w Polsce — liczy na Zachód. W obliczu rozbiorów śle listy do państw zachodnich. Odpisują mu, że naturalnie, to gwałt i skandal, i piszą jeszcze, że bardzo Polsce współczują.

Ale na tym — jak zwykle — się kończy. Nikt w kwestii Polski nawet palcem w bucie nie kiwnął na Zachodzie. Więc zostały dwie możliwości — albo realizm polityczny, albo puste gesty działające na wyobraźnię. Pozostał w historii ten gest Rejtana — pusty i bezsilny, ale jakże bardzo polski.

Król wybrał inną drogę, wraca pod protektorat carowej Katarzyny. Wybiera mniejsze zło, bo wie, że rejtanowskie gesty nie uratują narodu. Za to spotkała go infamia opinii publicznej, która ma tę przewagę nad historykiem, że nie musi znać faktów, że kieruje się emocją, że nie analizuje sytuacji...

Ludzie mądrzy doceniali jednak historyczną rolę Stanisława Augusta. Jeszcze przed wojną Jarosław Iwaszkiewicz napisał, że król nie mogąc uratować państwa — uratował przynajmniej naród. A już po wojnie prymas Stefan Wyszyński upomniał się o powrót do kraju trumny tego najnieszczęśliwszego z monarchów i oświadczył, że dla Stanisława Augusta otwarte są krypty grobowe w warszawskiej katedrze.

Tak z grubsza wyglądają dzieje sporów o „króla Stasia". Myślę, że nie dziwi czytelników, że spór ten dziś właśnie odżywa z nową siłą.

JERZY WILMAŃSKI

2 Felieton pesymistyczny

Piszcie ludzie anonimy...

Chlebek mieli przywieźć lada moment, „ogonek" przed sklepem rósł w szybkim tempie. Obok w spożywczym było go pełno, ale każdy woli mieć świeże pieczywo przez kilka dni, więc niecierpliwie czekaliśmy na ten od „prywaciarza"

Zajmowałem dobrą pozycję tuż za węgłem. Gdy pojawił się magister B. puściłem doń dyskretnie oko i zagadnąłem kolejkowym szyfrem. — Stałeś pan przede mną to nie spaceruj pan, bo inni potem nie wpuszczą... Zbył mój szlachetny uczynek niedbałym machnięciem. A w ogóle wzburzony był czegoś. Jak magister sapie — znaczy będzie dłuższa tyrada. I rzeczywiście zaczął „nadawać".

— Kochany, czym oni się w tych redakcjach zajmują! Okazuje się, za anonimami, o, proszę — wyciągnął z portfela niewielką informację rodem z „Głosu Robotniczego" zatytułowaną „Śladem jednego listu". Nie zdążyliśmy zagłębić się w treść, bo już relacjonował nam w skrocie:

— Ten „Życzliwy" pisze im, że na jakimś polu w Jedliczu u rolnika, leżą całe bele bawełny. Sugerując, że to z zakładów „Waltera", skradzione oczywiście, wyraźnie gazetę napuszcza. I cóż robią redaktorzy? Jadą, kontrolują, sprawdzają! Okazuje się, że to jakieś bezużyteczne zmiotki bawełniane, sprzedawane działkowiczom, jako że stanowią doskonały nawóz. Wydawałoby się, że ponieważ trop był fałszywy to z informacji nici. Ależ skąd! Chwalą się w „Głosie" że dostali anonim, przyznają, że nie wiedzieli o takim „nawozie", a na koniec dziękują autorowi za jego troskę o przejawy marnotrawstwa!

Uspokoiliśmy magistra. Jakieś niedzisiejsze te jego zarzuty. Faktycznie, anonim rzecz niesympatyczna, ale okazuje się potrzebna. Autora pochwalą (może kilka innych napisze?) w gazecie odnotują, jeszcze wdzięczni są. A jak to miło powęszyć trochę wokoło, żółci sobie upuścić, a sąsiada „obmalować". Takie to nasze, takie swojskie. Nawet jak kogoś skrzywdzę, oczernię — to nie dojdą kto, bo się przecież nie podpiszę. Za to jaka frajda, że się komuś kontrolę i redaktorów na głowę ściągnie!..

— Z tymi kontrolami to rzeczywiście przesadzają — wypaliła dość niespodziewanie babina z koszem zajmująca pozycję tuż przed nami. — Siostra w sklepie robi, to mówi, że więcej się tłumaczą jak handlują. A sprawdzają ich teraz wszyscy: wojsko, ci z PIH, NIK, Sanepidu, jeszcze jakieś kontrole wewnętrzne, społeczne, już połapać się nie mogą. Tylko na sprzedawanie czasu prawie nie ma. Sama widziałam, jak w sklepie chemicznym przy Wojska Polskiego, zawsze dobrze zaopatrzonym, kolejka oczekujących naskoczyła na kontrolerów, co sprzedaż poleciił przerwać. „— Po godzinach pracy przyjdźcie! Do uczciwej roboty się weźcie"! — tak ludzie wrzeszczeli i co tu gadać, trochę racji mieli...

Chleba jeszcze nie było, ale czas się nam nie dłużył, wymiana myśli szła wartko, sympatycznie się zrobiło zresztą jak w rodzinie. Z rozrzewnieniem oglądaliśmy trzech młodzieńców przed sklepem, pracowicie chłodzących spragnione gardła ożywczym „browarem".

— Za tych też się wezmą — wskazał dyskretnie na pijących stojący za nami gość w berecie. — Za handlarzy, nierobów, cwaniaków, niebieskich ptaków, meliniarzy, obiboków, waluciarzy, spekulantów, pasożytów... Z uznaniem przysłuchiwaliśmy się fachowo recytowanej wyliczance. — A na kontrole to teraz nawet robotnicy i studenci chodzą — kontynuował wywód z dużą znajomością przedmiotu.

— A ja myślałem, że jedni mają przede wszystkim wydajnie pracować, a drudzy tylko „wkuwać" wiedzę — wyrwał się niezręcznie magister.

— Teraz mamy na nich ustawę, Sejm ją zatwierdził, pospisuje się wszystkich, porejestruje, a któremu porządna praca niemiła — pójdzie rowy kopać, śnieg odgarniać albo nawet do „pudła" — rezonował przekonywująco Beret.

— Jezus Maria, jakie rowy? — przeraziła się kobiecina z koszem i zamilkła nie czekając odpowiedzi.

— Panie, panie, stuknij się pan w czoło — facet w kusej jesionce aż swe miejsce w kolejce opuścił i przycwałował do naszego kółeczka — Będziemy ewidencjonować — czyli znów rozbudujemy administrację, przybyła nam znów ustawa jakby innych bez liku już nie było, takie prawo karne czy ustawę karno-skarbową trzeba tylko autentycznie wykorzystać — wyliczał na palcach nieprzewidziany dyskutant. — A któż to w ogóle jest ten posożyt? A jak nazwać tego co łapówki bierze? Wierzysz pan, że tych waluciarzy czy meliniarzy, których wszyscy znają, naprawdę się zlikwiduje?...

Nie spodziewający się takiej riposty Beret rozejrzał się dookoła szukając naszego poparcia. Milczeliśmy. Podzielaliśmy, niestety, wątpliwości nerwowego klienta w jesionce. Orędownik ustawy o uchylających się od pracy postanowił zagrać „va banque".

— Ja bym ich wszystkich za morde i do obozów pracy — rzucił twardo. — Już by im się handelku i życia na nasz koszt niechciało!

— Jasne, to jest myśl — Jesionka jakby czekał na ten strzał. — Tylko kogo? 50 tysięcy czy 100? A może 200 albo jeszcze paru? I sądzisz pan, że jak taki ma od dziecka dwie lewe ręce do roboty to w obozie będzie tytanem pracy? On się tam będzie obijał, a ja i pan będziemy łożyć na jego utrzymanie! Z tymi robotami publicznymi to też jest paranoja; już widzę te efektowne akcje ratownicze w czasie powodzi czy „zimy stulecia" w wykonaniu życiowych obiboków. W duchy pan wierzysz?

— Ale chociaż się tych cwaniaków teraz rozliczy, po trzech miesiącach ze strachu do jakiejś roboty się taki najmie — amator brania „za mordę" wyraźnie spuścił z tonu.

— Oczywiście — triumfował jego interlokutor. — Sam się zgłosi. Dostanie stempelek w dowodzie osobistym, po czym spokojnie zajmie się swymi dotychczasowymi zajęciami. Przecież trzy miesiące ma „z głowy", potem będzie się martwił o kolejny stempelek.

— ... a w międzyczasie może jeszcze sprzedać przydziałowe buciki i robocze ubranko — wtrącił swoje trzy grosze magister.

— O, chleb przywieźli — klient w berecie z ulgą zmienił temat. W bojowym szyku, „gęsiego", z poczuciem społecznej dyscypliny, pryncypialnie i z godnością posuwaliśmy się powoli do przodu. Byliśmy już z magistrem na premiowanej pozycji, gdy od lady z pachnącym ciepłym bochnem oderwał się dyskutant w jesionce. Wyraźnie pragnął pozostawić po sobie dobre wrażenie, błysnąć jeszcze raz przed rozstaniem. Zagaił z uśmiechem:

— Znacie to? Przychodzi baba do lekarza i pyta: „W jakich porach pan zwykle przyjmuje?" A lekarz: „Zwykle w dżinsach"... Najgłośniej rechotał gość w berecie.

STEFAN ŻYCIOWY

Listy • Poglądy • Opinie

Niejednomyślna zbieżność

„Politycy starych siruktur zawsze są bardziej tolerancyjni wobec intelektualistów, niż politycy nowych struktur" — twierdzi Kazimierz Koźniewski w felietonie pt. „Horyzont" w tygodniku „Tu i Teraz" z 15 września br. Jest to twierdzenie słuszne pod warunkiem, że słowo „stare" rozumiemy jako „trwające wiele lat" a słowo „nowe" zastąpimy pojęciem „niedawno powstałe". Chodzi więc nie o zwykłe chronologiczne następstwo w czasie dwóch struktur (stare — nowe), tylko o czas ich trwania.

Takiemu rozumieniu cytowanego zdania zaprzecza jednak sam Koźniewski, pisząc: **„Rewolucje są zawsze fatalne dla intelektualistów, gdyż z natury każda rewolucja ogranicza ich prawa. Poszerza je — a jakże! — w chwili wybuchu i uszczupla potem, gdy następuje era stabilizacji."**

Tymczasem przekonanie powszechne, ugruntowane wielowiekowym doświadczeniem, ocenia sprawę akurat odwrotnie: rewolucja ogranicza intelektualistów i wszystkich, uzasadniając niemałe ofiary i krzywdy koniecznościami „etapu walki", a w okresach stabilizacji zaczyna przebąkiwać o „stu kwiatach", dopuszcza istnienie abstrakcyjnego malarstwa i godzi się z teorią względności.

„Socjalizm — jak każda idea opanowująca dopiero świat, szafuje obietnicami i złudzeniami, iż realizacje szczęścia doczesnego automatycznie wynikają ze zmian prawno-ustrojowych". To prawda: szafuje, a nie wynikają. Nie automatycznie nie wynika. Ale dalej: **„To dopiero socjalizm zaszczepił nam pragnienie jedności narodowej. To dopiero socjalizm stworzył w Polsce jakieś przeświadczenie o dobroci, jednomyślności zawodowej artystów między sobą, intelektualistów między sobą, czy też jednorodności interesów polityków i twórców."**

Jak zwykle, kiedy się chce zbyt dużo powiedzieć jednym tchem, łatwo o zadyszkę. Jedność narodowa to nie to samo co „zawodowa jednomyślność" artystów między sobą. Pragnienie jedności narodowej jest stare jak świat, socjalizm go nie stworzył. W jednej z dobrze znanych ksiąg sprzed dwóch tysięcy lat już się mówi o „jednej owczarni i jednym pasterzu", tworzył swoją jedność po swojemu Mahomet i jego późny kondotier — Mahdi, o niczym nie marzono goręcej w kancelarii brunatnej Rzeszy, niż o jedności narodu. Natomiast o jednomyślności zawodowej wśród artystów i intelektualistów nikt chyba nigdy nie był przekonany i socjalizm też takiego przekonania — jako stwierdzenia istniejącego stanu rzeczy, istniejącej jednomyślności — nikomu nie zaszczepił. Może w pewnych okresach, w niektórych częściach świata takie tendencje nurtowały ideologów socjalizmu. Nigdy nie głosili oni jednak, że oto już wszyscy artyści myślą jednakowo.

Nie ma więc — i nikt nigdy nie wyrażał przekonania, że jest — jednomyślności wśród artystów. A **„jednorodność interesów"** polityków i twórców? **„Tej jednorodności nie ma, nie było, nigdy nie będzie** — twierdzi Koźniewski. — **I pytanie** — powiada — **czy w ogóle byłaby ona ze społecznym pożytkiem i dla polityków, i dla artystów, i dla konsumentów sztuki?"**

Otóż właśnie o ile jednomyślności nie ma i doprawdy lepiej, żeby jej nie było, to zbieżność interesów polityków i intelektualistów istnieje i stanowi jeden z najsilniejszych czynników rozwoju państwa. Koźniewski jest przecież „państwowcem", argument z teki państwowotwórczej powinien mu szczególnie trafić do przekonania. Najlepiej rozwija się państwo, kiedy władza jest silna (a w tym leży interes polityków), a społeczeństwo — z elitą intelektualną na czele — ma instytucjonalne możliwości wyrażania swych wielorakich sądów, sprawowania krytyki, dyskutowania o wszystkim (a w tym leży interes myślącej jednostki). Albo inaczej: kiedy społeczeństwo potrafi i może wymusić od władzy tolerancję, a władza od społeczeństwa — lojalność. Jak powiadał Józef de Maistre, osiemnastowieczny filozof i polityk (sic! Jednocześnie polityk i intelektualista!), zresztą przeciwnik rewolucji francuskiej: **„Trzeba bez przerwy prawić ludziom o dobroczynności silnej władzy, a królom — o dobrodziejstwach wolności."**

Jeśli interesem nadrzędnym, obiektywnym, jest dobro państwa i społeczeństwa, to interes polityków i ludzi intelektu jest zbieżny. Mądra władza jest zainteresowana w tym, aby intelektualiści nie byli jednomyślni. Mądrzy filozofowie są zainteresowani w tym, aby nie niszczyć władzy, która stwarza im warunki dyskusji, jedynego zaczynu wszelkiego społecznego działania się na świecie.

„W każdym ustroju istniał konflikt między władzą a twórcami. W parlamentarnym kapitalizmie istnieje on równie jak w naszym ząbkującym socjalizmie. Zmieniają się wektory i elementy tego konfliktu, ale sama jego istota — starcia między racjami twórców, a racjami rządzących — pozostaje zawsze."

Starcia pozostają, owszem, ale chyba nie to jest „sama istota" że są starcia, tylko właśnie owe „wektory", czyli materia sporów. Inaczej musielibyśmy powiedzieć, że małżeństwo to to samo co sąsiedztwo, bo i tu i tam zdarzają się kłótnie. Po cóż więc się żenić? Po co szukać jakiejś tam możliwie korzystnej formy współżycia?

Jeszcze raz: jest jednorodność interesów, tylko nie ma jednomyślności co do sposobu ich osiągnięcia. I dobrze. Jednomyślność co do sposobów osiągnięcia wytyczonego celu, czyli inaczej mówiąc jeden zabsolutyzowany pogląd na to, co dla społeczeństwa jest jedynie dobre — to przecież po prostu dyktatura! Obojętne, czy ta z dalekiej prawicy, czy przeciwnie. Jeden tylko może być pewnik bezwzględny i nie podlegający dyskusji: żadna dyktatura nigdy nie leży w długofalowym interesie większości.

„Demokracja — to bardzo niezgrana orkiestra. Ale gdy przychodzi dyktator, to nie po to, aby tą orkiestrą dyrygować, tylko aby odebrać jej instrumenty. Nie ma kakofonii, ale i nie ma orkiestry." — napisał Mieczysław Szerer w swym znakomitym dziele: „Śmiertelni bogowie. Rzecz o demokracji i dyktaturze. Wyd. „Rój", Warszawa, 1939". Książka, którą miałbym ochotę cytować całymi stronicami. Gorąco polecam — oczywiście — można ją znaleźć tylko w zasobnych, szacownych bibliotekach. Antynomię pomiędzy dyktaturą a nie-dyktaturą (zwaną często, choć nie zawsze ściśle, demokracją) artykułuje Szerer tak:

„Dyktatura to nieodpowiedzialność władzy,
kult brutalnej ręki,
wzgardliwe traktowanie jednostki;
demokracja to poszanowanie godności człowieka (jednostki),
jawność życia publicznego,
odpowiedzialność wszelkiej władzy."

Zmianą struktur z dyktatorskich na demokratyczne lub odwrotnie nie przyniesie zwiększenia tolerancyjności, jeśli nastąpi w drodze gwałtownej rewolucji, szoku, wstrząsu i — co tu ukrywać — krwawych porachunków. Potem, po ostygnięciu emocji, nowe władze mogą się stać tolerancyjne, ale mogą też przerodzić się w nową, bezpardonową dyktaturę w imię tych samych haseł, dla których podejmowały walkę; ofiary staną się daremnymi. Efekt rozluźnionej nagle sprężyny stanowi tym większy przechył, im mocniej sprężyna była ściśnięta. Lepiej więc nie igrać sprężynami. Lepiej dla narodu, czyli dla wszystkich, w tym także dla polityków i intelektualistów. Oto i wspólny tych środowisk interes.

I na zakończenie jeszcze jeden — ostatni już — cytat z książki Szerera:

„Jest oczywiste, że na nic nie zdadzą się postępy demokratyzacji społeczeństwa, jeśli siła państwowa nie będzie stała na straży tych zdobyczy.

„Demokracja — ona właśnie! — jest jak najbardziej zainteresowana w tym, by nie wietrzały i nie osuwały się mury państwowe."

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

★ ☆ ★

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 28 (15.X.1982) „Odgłosów" podał Pan, że białoruski poeta Maksym Tank (Eugeniusz Skurko) urodził się we wsi Piłka-Uszczyzna w powiecie Mołodeczno. Otóż jest to błąd, bowiem Tank urodził się we wsi Piłkowszczyzna, po białorusku Piłkauszczyna, która do 1919 roku należała do gminy Miadzioł i powiatu Wilejka. Piłkowszczyzna leży o 12 km od Miadzioła i 39 km od Wilejki. Od 1919 do 1939 roku Piłkowszczyzna należała do Polski, wtedy również wieś Miadzioł była siedzibą gminy. Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich podaje, że w 1887 roku w Piłkowszczyźnie było 6 domów i 47 mieszkańców, prawosławnych. Obecnie Piłkowszczyzna należy do rejonu Miadzioł, obwód miński.

Łączę wyrazy szacunku:

Mieczysław Jackiewicz
ul. Żołnierska 12 B m. 37
10-559 Olsztyn

„Kilku takich i kooperacja będzie załatwiona"

W odpowiedzi na notatkę prasową w Nr 20 „Odgłosów" pt. „Kilku takich i kooperacja będzie załatwiona", Oddział Wojewódzki PZU w Olsztynie uprzejmie informuje, że ze względu na odległy okres czasowy od powstania upadków (lata 1974—1978) nie jesteśmy w stanie udzielić odpowiedzi w powyższej sprawie. Dokumentacja szkodowa, zgodnie z obowiązującymi przepisami, przechowywana jest 5 lat. Z informacji uzyskanej z Inspektoratu PZU w Olsztynie i Morągu wynika, że na podstawie zapisów w kontrolach szkodowych niemożliwe jest ustalenie danych dotyczących ewentualnych wypłat czy odmowy odszkodowania za padłe bydło i trzodę chlewną.

Olsztyn 20.V.III 82 r.

JAN KĄDZIELA
Naczelnik Wydziału PZU
w Olsztynie

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karaczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji), Jerzy Panasewicz (z-ca redaktora naczelnego), Igor Sikirycki (kier działu literackiego), Karol J Stryjski, Janusz Szymański-Glanc (grafik), Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler (fotoreporter)

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Krystyna Namysłowska, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch", Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96 kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 2371. F-2.

Więcej smagłych niż pijanych

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Siedzieliśmy na ławce przy sopockim molo, a tego gościa znałem już od wielu lat. Nie to, żeby był niebieskim ptakiem, naciągał z umiarem, dwadzieścia, pięćdziesiąt, w tych czasach rzecz jasna, kiedy pieniądz miał jeszcze jakieś znaczenie, rewanżował się przy tym wedle miary, że to ja mu dam na bombę piwa, on zapłodni moją wyobraźnię. Teraz też.

Wytknął palcem człowieka, który szedł powolnym, starczym krokiem gdzieś z okolic Grand Hotelu, i mówi:

— Widzisz go? Tego z torbą?

— Widzę.

— Zgadnij, kto to jest.

— To jest — powiadam — jednostka przegrana, zmęczona życiem, jeden z tych, którym nigdy nic się nie udało.

— Aha! — on na to. — Akurat odwrotnie. — I wymienia nazwisko, które jeszcze niedawno znał cały kraj.

Wstaję z ławki. Mówię:

— Zaczekaj!

Wchodzę do pawilonu handlowego, co jest naprzeciwko „Algi", bo właśnie tam zginął ten z torbą. W pawilonie, bez długiego czekania, można dostać pieczywo, warzywa, nabiał, konserwy rybne, ale jest tam również takie stoisko, gdzie zażywny, z lekka łysawy mężczyzna odbiera butelki. Wszystkie po osiem: od piwa po osiem, od coli po osiem. Zgarnia je, zgrabnie odrzucając kapsle i wpuszcza do skrzynki z nonszalancją fachowca, a liczy je wzrokiem i przemnaża przez sumę zastawną, jakby miał w głowie komputer, więc, powiadam wam, ludzi z pustym szkłem jest dużo, lecz nie widać żadnej kolejki, aż do chwili, kiedy nie podszedł ten, co to niby znał go kiedyś cały kraj.

Nie chciałem być za bardzo wścibski. Nie miałem po prostu odwagi, żeby spojrzeć mu tak bezczelnie, z metra, w twarz. Z drugiej strony, korciło mnie, żeby zdobyć pewność.

Zmniejszyłem trochę kąt i dystans, ciągle jednak widziałem tylko profil twarzy: niby już dwoje oczu i cały nos, ale jeszcze nie dwoje uszu.

Powiedziałem do siebie: a tam! nie paś się czyimś nieszczęściem, odejdź!

A przecież patrzyłem. Na tę brodę. Na ten płaszcz wytarty, wełniany, za ciepły trochę, jak na tak gorącą jesień; na ręce niepewne, rozedrgane, które stawiały powoli, jedna za drugą, puste flaszki na ladzie.

Ten zażywny nie pośpieszał go. Wiedział na pewno, kim jest. Ja też wiedziałem. I równocześnie: nie wiedziałem. Znacie chyba to uczucie: wiesz i nie wiesz, poznajesz — nie poznajesz.

Och, tyn Cysorz to miał życie!

Wróciłem na ławę, akurat w momencie, kiedy gość, który niegdyś naciągał z umiarem, chciał już iść.

— I co? — zapytał.

— Nic.

— Jak to, nic? Totalna degrengolada.

— Ty też jesteś totalna degrengolada.

— A ty, to co? Nie jesteś?

Potem włóczyliśmy się przez parę godzin dwoma głównymi ciągami miasta, a on mówił:

— Sopot był dobry, jest dobry, i będzie dobry, choćby bez festiwalu piosenki. Dlaczego nie przyjechałeś w sezonie?

— Nie miałem czasu.

— Takiego sezonu to ja, bracie, nie pamiętam. Popatrz sobie!

W tym lokalu, gdzie była kiedyś swing-buda, widać przez okno zdjęcie roznegliżowanej panienki. Napisy także, jak na Sankt Pauli w Hamburgu. Notuję:

STRIP TEASE
SEX NA ŻYWO
SEX — PRZEZROCZA
DISCO

Na szybie, wołami:

KIEROWNIK ARTYSTYCZNY — EWA STACHOWIAK-SKWIERCZ.

Po drugiej stronie ulicy inny kompleks rozrywkowy. RIVIERA, MARAGO, NIGHT CLUB, FUNKY SOUL DISCO MUSIK, SALON GIER HAZARDOWYCH. GŁÓWNA NAGRODA — 6000.

Ciągnąc w stronę Grand Hotelu mijasz dwie lodziarnie: CAPRIGIANI oraz GIUSTI i GALERIĘ SZTUKI (Współczesne Portrety Polaków podmieniono właśnie na malarstwo Leonarda Tomaszewskiego). Przed galerią stoi znakomita, ekspresywna rzeźba w miedzi: kobieta z otwartymi udami, brzuchem i płucami, z głową odchyloną tak, jakby chciała złapać na swoje udręczone czoło resztki jesiennego słońca; w głębi natomiast, bliżej molo, można zwiedzić SALON FOTOGRAFICZNY, gdzie pod egidą Akademickiego Komitetu Kształtowania i Ochrony Środowiska Ryszard Wiliński prezentuje swoją wystawę pod tytułem ALARM TRWA!

Frontowe zdjęcie wystawy jest tak surrealistyczne i smutne, że doprawdy boli serce. Oto brzegiem pustej, całkowicie wyludnionej plaży maszeruje jakaś niewielka grupka manifestantów unoszących nad głową nieczytelne transparenty przeciwko zanieczyszczaniu morza.

Fu! Te wstrętne tankowce. Ta oliwa, te smary, te wypróżniane chyłkiem zbiorniki z marynarskimi fekaliami; my, jednostki polskiej bandery, robimy to ukradkiem na innych akwenach, a obce statki rewanżują nam się tym samym w naszej strefie przybrzeżnej. I włóż teraz kąpielówki, wejdź w taki szlam...

Nawiasem mówiąc — Bałtyk wygląda pięknie, jest spokojny, wydaje się przezroczysty; wydmy czyściutkie, piasek na plaży miałki jak mąka, dróbniutki, rzadko zobaczysz coś takiego na innych plażach świata.

Mówię do tego, co naciąga z umiarem i co twierdzi, że sezon w Sopocie był bajeczny:

— Ale zabrakło turystów z zagranicy.

— Nie zabrakło.

— Kiedyś roiło się od Skandynawów i Niemców.

— Teraz, bracie, roi się od czegoś innego. Wejdźmy do Grandu.

Wchodzimy. Ulegam wrażeniu, że znowu jestem w Algierii, Syrii albo Libanie, w czasach kiedy Bejrut był jeszcze przewspaniałym, ledwie tkniętym nalotami miastem, a w obozach palestyńskich ludność wiodła swą haniebną egzystencję.

W sopockim Grandzie, w kawiarni i restauracji, nie widzisz nikogo poza Arabami. Arabami w garniturach, Arabami w modnych skórzanych kurtkach i Arabami w nędzarskim bez mała stroju. Do kelnera podchodzę. Pytam:

— Panie, i co z utargiem?

— Kiepsko.

— Za potopu szwedzkiego było lepiej?

— Oczywiście. Arab wódki, bal, nawet piwa nie przeciągnie. Siedzi godzinami nad kawą, ćmi śmierdzące papierosy, bo białego tytoniu, to oni nie lubią.

— Lubią za to blondynki?

— Tak jest. I tylko dlatego tu siedzą.

— I nabierają się na te nasze polskie, tlenione piękności?

— Niech pan tylko uważnie popatrzy, kto tu na kogo się nabiera...

Fakt. Smagła, Kędzierzawa, męska połowa sali siedzi w pozie luźnej i pogardliwej: noga na nodze, głęboki odchył na poręcz fotela; ledwo taki drań włoży peta do ust, już cztery podskakują mu z ogniem, piąta tuli się do niego z wyrazem udanej miłości w oczach, a cztery inne, kłusujące prostytutki, w wieku od piętnastu do szesnastu lat (te, które nie wkupiły się jeszcze w łaski starszych koleżanek i nie mają odwagi wejść do środka), czekają w zimnie, przed wejściem, na podjeździe dla samochodów, z cichą i nie zawsze bezpodstawną nadzieją, że któryś z młodych szejków pozna się na ich niekłamanej, świeżej jeszcze urodzie.

Dolar stoi w Polsce tak wysoko, że za głupie dwa dolary warto iść w krzaki w Łazienkach Północnych. W każdym razie, bardziej to opłacalne, niż normalna, uczciwa płaca... Ale...

Coś mi się ta wszechobecna, dostrzegalna w całej Polsce inwazja nie podoba. Proszę mnie tylko dobrze zrozumieć. Te kraje arabskie, które poznałem, zachwyciły mnie, i to zarówno swą egzotyką jak i gościnnością. Niech mnie także nikt nie posądzi o rasizm. Jestem przeciwnikiem wszelkiej dyskryminacji, niepotrzebnie zresztą o tym wspominam, gdyż według antropologów Arabowie uchodzą za rasę białą. Czemu więc drażni mnie widok szczupłych, wysokich, smagłych mężczyzn? Ano, bo coś mi się zdaje, że wyczuli bluesa, że zaczęli watahami ściągać do Polski w momencie, kiedy ta zubożała gwałtownie, podupadła, stając się dla nich doskonałym żerowiskiem.

Skandynawowie żerowali kiedyś na polskiej wódce i nikomu to nie przeszkadzało. Arabowie żerują na polskich dziewczynach. Staje się to zjawiskiem.

Ktoś powie: Makowiecki jak zwykle przesadza. Kiedyś, kilkanaście lat temu, powiedziano to samo, kiedy, bodajże jako jeden z pierwszych w Polsce, zwróciłem w „Polityce" i „Odgłosach" uwagę na zjawisko narkomanii. Miałem z tego tytułu masę nieprzyjemności, wzywano mnie przed oblicze wysokich władz, pokrzykiwano, że wyssałem wszystko z palca.

Teraz raczej nikt na mnie krzyczeć nie będzie. Nie jestem żadnym cholernym purytaninem, ale proces deprawacji trwa. I przybiera na sile. Jest to symptom tak samo groźny społecznie jak uchylanie się od pracy, tylko nikt jakoś jeszcze tego nie ośmielił się sprecyzować. Obibok nie idzie do pracy, bo woli pić pod kioskiem piwo, dziewczyna nie idzie do pracy, bo woli... i tak dalej. Mogę was zapewnić z ręką na sercu, że mimo wszystko obibok mniej gardzi normalną, znojną pracą, niż nastolatka, która przejechała się parę razy zagranicznym samochodem, zabalowała w hotelu i dostała w rękę zwitek ogólnowymiennych banknotów.

Zmieńmy temat. Napisałem w odniesieniu do Sopotu: Więcej smagłych niż pijanych. Ale tych ostatnich też nie brakuje. W Sopocie można grać aż miło, w delikatesach przed stoiskiem z wódką nie ma najmniejszego tłoku. To samo można powiedzieć o sklepach monopolowych. Kupujesz na kartki, kupujesz bez kartek. Aż zazdrość bierze. W każdym barze dostaniesz kielicha, tyle że... wyszynk zaczyna się dopiero w godzinach popołudniowych. W Warszawie natomiast wolno katować od rana, nie ma natomiast w sprzedaży, a w każdym razie bardzo rzadko, alkoholu nie objętego reglamentacją.

W zaopatrzeniu, podobnie jak w naturze, panuje równowaga. Jeden region ma więcej tego, inny tamtego. Włosy stanęły mi sztorcem na głowie, kiedy kończąc pisać pewne dzieło, stwierdziłem że zabrakło mi nagle papierosów. Obszedłem wszystkie kioski w Sopocie i wszędzie usłyszałem tę samą odpowiedź:

— Papierosów nie objętych reglamentacją brak!

Tych na kartki też zresztą nie widać. Smarkacze podnoszą niedopałki z chodnika. Dziewczyny napraszają się jak żebraczki w Afryce. Usłyszałem dialog:

— Błagam, niech mi pan da papierosa!

— A ty, co mi za to dasz, kochanie?

— Buzi!

Dziewczyna była tak piękna, że za buzi dałbyś jej dziesięć kartonów Marlboro, nie tylko pociągnąć.

Człowiek, który naciąga z umiarem, snuje nić swoich błyskotliwych przemyśleń:

— Sopot, to jest prawdziwy. Zachód, kolego. Jest bilardziarnia? Jest. Jest tajna ruleta? — A jakże! Pokaż mi w jakimkolwiek innym polskim mieście tyle salonów gier zręcznościowych. Maszyny, tak jak kiedyś grające (muzyczne) szafy, wstawia się teraz do barów i restauracji. W domach szaleje poker. Zajrzymy na molo?

— Proszę bardzo.

— Ty płaciszi

Nim jeszcze zaczyna się właściwy, obstawiony ławkami wąski pomost, mamy kolejną, stojącą na wolnym powietrzu galerię automatów do gry. Ale nie o to chodzi. Oto po jednej stronie funkcjonuje bar FREGATA: WINO, KAWA, KONIAKI, LIKIERY, a po drugiej: skromny sklep RUCHU. W klubie RUCHU można kupić widokówki i gazety, nie to jednak przykuwa moją uwagę. Przed klubem, jak w hiszpańskiej kawiarni, widzisz otoczony balustradą rząd stolików i przy tych stolikach mężczyźni w różnym wieku i różnej konduity młócą na pieniądze w karty. Podobne obrazki spotkasz oczywiście w łódzkim parku „śledzia" i w parku 3 Maja, tyle że w Łodzi gra się cienko, a w Sopocie przechodzą z kieszeni do kieszeni tysiące

Urzekające jest pełne powściągliwego milczenia skupienie graczy. Widać od razu, że mamy do czynienia z dżentelmenami, którzy nie mają zamiaru kłócić się o głupie pięćset złotych. Profesjonaliści! Wdychając ozon, który łagodna bryza nawiewa z Bałtyku, oddają się z umiłowaniem pasji swojego życia, która jest silniejsza niż narkotyki i alkohol. Jeden z milicjantów powiedział mi: — Uważajcie, kolego, na alkohol, szczególnie jeśli piecie z dziewczynami. Wystarczy, żeby taka cwaniara prysnęła panu do butelki albo kieliszka parę kropel eteru, a już jesteś pan Gregory Peck.. Ale na hazardzistów też trzeba uważać: bywały takie wypadki, że gość przyjeżdżał do Sopotu z nabitym portfelem, a potem musiał pożyczać na bilet powrotny.

Ten, co z umiarem naciąga, mieszka na stałe w Oliwie, ale tak naprawdę, to kocha tylko Sopot. Pyta:

— Powiedz tak, prawdę... podróżowałeś po świecie, widziałeś wiele różnych miast. Sopot jest piękny?

— Piękny.

— Chciałbyś tu mieszkać?

— Chciałbym.

— Wiesz, pracować nie trzeba. Gdybyś nie miał pieniędzy, zawsze mógłbyś trochę zacinkociować...

On swoje, a ja układam dla Zbigniewa Kuźmińskiego dialog, który w tej chwili, być może, został już wypowiedziany przez aktorów na planie filmowym...

Bar Rekord w Łodzi.

Kolejarz do Koguta: — Idź do pracy, Miruś ustatkuj się...

Kogut do Kolejarza: — Po co?

Kolejarz: — Żeby ci było lepiej.

Kogut: — Lepiej, to mi będzie w niebie.

Kolejarz: — Oj, Miruś, Miruś!... Każdy chce iść do nieba, ale nikt nie chce umierać.

Budzi się we mnie pod wpływem tych myśli moralista i mówię do gościa, co naciąga z umiarem:

— Pora najwyższa, żebyś zaczął pracować.

— Ależ ja pracuję!

— Gdzie?

— W takim jednym nocnym lokalu.

— W Sopocie?

— Nie, w Gdyni.

— I co tam robisz?

— Sprzedaję karty konsumpcyjne, a jak nieraz trzeba kogoś wyregulować, to w dziób!

— Bardzo ładnie — mówię. — Bardzo ładnie.

Opuszczamy molo i przez dwie minuty obserwujemy człowieka, którego znał jeszcze do niedawna cały kraj. Idzie powoli, z wysiłkiem, niby rekonwalescent, którego po resekcji żołądka doktor po raz pierwszy puścił z łóżka na krótki spacer po korytarzu.

Nie mówię, że mi się kręci w oku łza. Jestem przerażony. Uwielbiam tego człowieka, chociaż nigdy go osobiście nie znałem. Gdzieś tam, z zakamarków pamięci, nawiedza mnie zapomniany dialog z powieści Irwina Shawa. Kobieta zapytuje:

— Dlaczego mężczyźni po czterdziestce zaczynają niszczyć sami siebie?

Mężczyzna odpowiada:

— Właśnie dlatego, że są po czterdziestce.

Pożycz pięćsota? — wyrywa mnie z zamyślenia facet, który jeszcze do niedawna naciągał z umiarem.

Odpowiadam odruchowo, z uprzejmym uśmiechem, frazą, której nauczyłem się w Szwecji od muzyków:

— Piećsota? Ależ oczywiście! Powiedz mi tylko przedtem, ile masz lat?

— Czterdzieści sześć — mówi gość, a twarz ma taką, jak każdy pijak, który poczuł w powietrzu czarowną woń alkoholu.

Ja mu na to:

— Nie mogę ci pożyczyć piećsota. Jak ty masz czterdzieści sześć lat i nie dorobiłeś się nawet pięciuset złotych, to kiedy ty mi je zwrócisz?

Wciskam mu w kieszeń setkę i odchodzę. Tyle akurat warte były jego informacje i tyle akurat wart jest mój reportaż, biorąc pod uwagę, że nie obciążyłem redakcji kosztami delegacyjnymi.

Foto: M. Zajdler